

ANDREÏ
MAKINE

FRANCUSKI
TESTAMENT



CZYTELNIK

ANDREÏ MAKINE
FRANCUSKI
TESTAMENT

Przełożyła Małgorzata Hołyńska



CZYTELNIK
Warszawa 1997

Dla Marianne Véron i Herberta Lottmana
Dla Laury i Thierry de Montalembert
Dla Jean-Christophe'a

(...) z dziecinną radością i głębokim wzruszeniem, skoro nie sposób mi przytoczyć nazwisk tylu innych ludzi, co na pewno zachowali się podobnie i dzięki którym Francja ocalała, wpisuję tutaj prawdziwe ich nazwisko (...)

Marcel Proust, *Czas odnaleziony*
(Tłum. Julian Rogoziński)

*Czy Sybirak będzie prosił niebo o oliwki,
a Prowansalczyk o klukwę?*

Joseph de Maistre, *Wieczory
w Sankt Petersburgu*

Zapytałem pisarza rosyjskiego o metodę jego pracy i wyraziłem zdziwienie, że sam swoich książek nie tłumaczy, bo mówił bardzo czysto po francusku z odrobiną powolności, jako że umysł miał subtelny.

Wyznał mi, że mrozi go Akademia i jej słownik.

Alphonse Daudet, *Trzydzieści lat
w Paryżu*

I

I

Już w dzieciństwie odgadywałem, że ten szczególny uśmiech był dla każdej z tych kobiet jakby małym zwycięstwem. Tak, krótkotrwałym odwetem za niespełnione nadzieje, za grubiaństwo mężczyzn, za niedostatek na świecie rzeczy pięknych i prawdziwych. Gdybym umiał to wyrazić w tamtych czasach, nazwałbym go „uśmiechem kobiecości”... Ale mój język był wtedy nazbyt konkretny. Zadowalałem się oglądaniem fotografii w naszych albumach i tropieniem odbicia tego piękna na niektórych twarzach kobiecych.

Ponieważ kobiety z albumów wiedziały, że aby wypięknąć, należy przez kilka sekund, zanim oślepi je rozbłyskujący flesz, powtarzać zagadkowe sylaby francuskie, dla niewielu z nich zrozumiałe: *pe-tite-pomme*... Wówczas, jakby za sprawą czarów, wargi, zamiast rozciągnąć się w udawanym zadowoleniu lub krzywić w lęklwym grymasie, zaokrąglą się wdzięcznie. Cała twarz ulegnie przeobrażeniu. Brwi utworzą delikatne łuki, wydłużą się policzki. Mówią: *pe-tite-pomme* i łagodny cień marzeń zasnuwa ich spojrzenie, wy-

subtelnia rysy, utrwała na kliszy mgliste światło minionych dni.

Podobnej magii fotograficznej zawierały różne kobiety. Na przykład nasza krewniaczka z Moskwy, występująca na jedynym kolorowym zdjęciu w albumie. Była żoną dyplomaty, cedziła słowa przez zęby i wzdychała, zawczasu znudzona tym, co mamy do powiedzenia. Ale na jej twarzy natychmiast zauważyłem efekt francuskiego „jabłuszka”.

Dostrzegłem też jego blask na bezbarwnej twarzy prowincjuszki, jednej z anonimowych ciotek, której imię padało tylko wtedy, gdy rozmawiano o kobietach owdowiałych po męskiej hekatombie ostatniej wojny. Nawet Głazę, spokrewnioną z nami chłopkę, opromieniał ten cudowny uśmiech na nielicznych pozostałych po niej zdjęciach. Młode kuzynki — a było ich sporo — wydymały policzki, starając się przez kilka nieskończenie długich sekund utrzymać to ulotne francuskie zakłęcie. Szepcząc *pe-tite-pomme* wierzyły, że przyszłe życie będzie utkane wyłącznie z takich błogosławionych chwil...

Wśród defilujących twarzy i spojrzeń ukazywała się z rzadka twarz kobiety o subtelnych, regularnych rysach i wielkich szarych oczach. W najstarszych albumach jej młody uśmiech odznaczał się tajemnym urokiem *pe-tite-pomme*. W albumach nowszych, bliższych naszej epoki, przygasał, stawał się bardziej melancholijny, bardziej zwyczajny.

Ona to właśnie, ta Francuzka zagubiona w śnieżnym bezmiarze Rosji, nauczyła inne kobiety sto-

sowania formułki, która dodawała im urody. Moja babka po kądzieli... Urodzona we Francji na początku stulecia, córka Albertyny i Norberta Lemonnier. Tajemnica *petite pomme* była zapewne pierwszą legendą, jaka oczarowała nas w dzieciństwie. A także pierwszym wyrażeniem w języku, który to język nazywała żartobliwie moja matka: „twoja babcina mowa ojczysta”.

Pewnego dnia trafiłem na zdjęcie, którego nie powinienem był oglądać... Spędzałem wakacje u babki w rosyjskim miasteczku na obrzeżu stepów, gdzie osiadła po wojnie. Zmierzch, nadchodzący po upalnym dniu rozleniwionego lata, zalewał pokój fiołkoworóżowym światłem. Ten trochę nierealny blask kładł się na fotografii w albumie, który kartkowałem przy otwartym oknie. Zdjęcia w nim były starsze wiekiem od zdarzeń tak niepamiętnych jak rewolucja 1917 roku, wskrzeszały panowanie caratu i, co więcej, rozdzierały żelazną kurtynę, naonczas bardzo solidną, przenosząc mnie bądź to na placyk przed gotycką katedrą, bądź to w aleje ogrodu, którego roślinność zdumiewała mnie swoją nieskazitelną geometrią. Nurkowałem w prehistorię naszej rodziny...

I oto nagle... ta fotografia!

Zobaczyłem ją, kiedy przez zwykłą ciekawość zajrzałem do wielkiej koperty wsuniętej między ostatnią kartkę i okładkę. Dzielila los fotografii niegodnych figurowania na szorstkim kartonie, los pejzaży trudnych do rozpoznania, portretów

nie budzących żadnych uczuć ani wspomnień. Los, na który powołujemy się, ilekroć trzeba zdecydować o dalszym przeznaczeniu wszystkich dusz pokutujących.

Zobaczyłem ją wśród obcych ludzi i obcych mi krajobrazów. Ubranie jej kłóciło się z elegancją osób na pozostałych zdjęciach. W watowanej brudnoszarej kufajce, w męskiej czapie z opuszczonymi nausznikami. Pozowała przed obiektywem przyciskając do piersi niemowlę okutane w wełniany koc.

„Jak mogła wśliznąć się w tłum wyfraczonych panów i wystrojonych dam?” — zastanawiałem się w osłupieniu. Na innych zdjęciach z koperty widniały majestatyczne kolumnady, aleje, pejzaże śródziemnomorskie. Jej obecność była tu anachroniczna, nie na miejscu, niewytłumaczalna. Na tle przeszłości rodziny robiła wrażenie intruza, odziana tak, jak teraz ubierają się jedynie kobiety sprzątające śnieg na ulicach...

Nie słyszałem wchodzącej babki. Dotknęła dłonią mego ramienia. Wzdrygnąłem się i wskazując jej na zdjęcie spytałem:

— Kim jest ta kobieta?

W oczach babki, zazwyczaj bardzo spokojnych, ujrzałem błysk przerażenia. Odpowiedziała pytaniem na pytanie, tonem niemalże lekceważącym.

— Jaka kobieta?

Umilkliśmy oboje, zaskoczeni dziwnym hałasem. Babka odwróciła się i radośnie, jak mi się zdawało, wykrzyknęła:

— Trupia główka! Popatrz, trupia główka!

1 Duży brunatny motyl, mroczny sfinks, wirował, usiłując zanurzyć się w zwodniczej toni lustra. Zbliżyłem się do niego, czując już łaskotanie aksamitnych skrzydełek w mojej garści... Nagle zdałem sobie sprawę z niezwyklej wielkości motyla. Podszedłem jeszcze bliżej i nie mogłem się powstrzymać od okrzyku:

— Ależ to dwa motyle! Bracia syjamscy!

Wyglądały istotnie na zrosnięte i dygotały gorączkowo. Ku memu zdziwieniu ów podwójny sfinks w ogóle nie zwracał na mnie uwagi i nie próbował umknąć. Zanim go schwyciłem, dostrzegłem na grzbiecie białe plamki — słynną trupią główkę.

Nie wróciliśmy do rozmowy o kobiecie w waciaku. Powiodłem wzrokiem za wypuszczonym motylem-sfinksem, rozdwoił się na niebie i wtedy zrozumiałem, tak jak może zrozumieć dziesięcioletni chłopiec, co oznaczała ta unia. Zakłopotanie babki było usprawiedliwione.

Polowanie na kopulujące sfinksy obudziło we mnie dwa wspomnienia. Pierwsze, gdy miałem osiem lat, wiązało się z paroma słowami starej piosenki, którą babka nieraz śpiewała, a raczej nuciała na swoim balkonie, zajęta naprawianiem ubrania — najczęściej był to wytarty kołnierzyk i obluźowane guziki. Ostatni wers piosenki wprawił mnie w zachwyt:

...Wśród kwiatów spać będziemy do końca tego świata.

Tak długo trwający sen dwojga zakochanych przekraczał moje dziecięce wyobrażenie. Wiedziałem już, że ludzie, którzy umarli, zasnęli na wieki (wy tłumaczono mi to zimą przy okazji zniknięcia naszej sąsiadki, staruszki). Jak ci kochankowie z piosenki? Miłość i śmierć stworzyły wówczas dziwny aliaż w mojej młodej głowie. A smutne piękno melodii potęgowało jeszcze bardziej ten niepokój. Miłość, śmierć, piękno... I nocne niebo, wiatr, zapach stepu odbierałem dzięki tej piosence tak, jakbym dopiero zaczynał żyć w tym momencie.

Trudno ustalić datę drugiego wspomnienia, bo jest bardzo odległe. W pomroce czasów zatraciło się nawet moje „ja”. Zastępowały je dojmujące wrażenia jasności, ostrej woni ziół i srebrzystych linii przecinających gęsty błękit powietrza — w wiele lat później utożsamie je z babim latem. To nieuchwytnie i nieokreślone doznanie będzie mi jednak drogie, bo uda mi się wmówić sobie, że była to reminiscencja prenatalna. Tak, echo wysyłane mi przez mój francuski rodowód. Przecież w jednym z opowiadań babki odnalazłbym wszystkie elementy tego obrazu: jesienne słońce, gdy jechała do Prowansji, zapach lawendowych pól i nawet nitki babiego lata rozkołysane w wonnym powietrzu. Nigdy nie odważyłbym się jej wyznać, że w dzieciństwie miałem wizję przeszłości.

W lecie następnego roku widzieliśmy, moja siostra i ja, płaczącą babkę... Po raz pierwszy w naszym życiu.

Była dla nas bóstwem sprawiedliwym i życzliwym, zrównowazona, spokojna i nad wyraz pogodna. Dzieje babki, od dawna będące mitem, nie pozwalały przypisywać jej zmartwień i trosk zwykłych śmiertelników. Nie, nie zobaczyliśmy łez w jej oczach. Tylko bolesne skrzywienie warg, lekkie drżenie przebiegające policzki, szybkie trzepotanie rzęs...

Siedzieliśmy na dywanie zarzuconym skrawkami zmiętego papieru, pochłonięci pasjonującą grą: rozwijaliśmy kolejno białe „papiloty” i porównywaliśmy owinięte w nie kamyki — niektóre połyskiwały kwarcem, niektóre były gładkie, przyjemne w dotyku. Napisy na „papilotach” braliśmy, w naszej niewiedzy, za nazwy minerałów: Fécamp, La Rochelle, Bayonne... I Verdun, chropowaty, pokryty rdzą kawałek żelaza... W ten sposób obnażyliśmy już mnóstwo eksponatów tej kolekcji. Babka weszła w momencie, kiedy zabawa przybierała charakter bardziej ożywiony. Klóciliśmy się o to, które kamyki zaliczyć do najładniejszych, sprawdzaliśmy ich wytrzymałość, pocierając jedne o drugie i nieraz je krusząc. Te uznane za brzydkie, na przykład Verdun, wyrzucaliśmy przez okno na klomb dalii... Podarliśmy też sporo „papilotów”...

Babka znieruchomiała nad polem bitwy usianym strzępami białego papieru. Podnieśliśmy głowy. Zanim szare oczy napęłniły się łzami, zdążyły nam rzucić ostre, przejmujące spojrzenie.

Nie, nie była nieczułą boginią ta nasza babka. Ona także miała swoje słabości, swoje kłopoty.

I jej także — choć sądziliśmy, że pewnym krokiem przemierza spokojną amfiladę dni — zdarzało się walczyć ze łzami!

Od tamtego lata zacząłem dostrzegać w życiu babki nowe, całkiem nieoczekiwane aspekty. Zwłaszcza zaś bardziej osobiste.

Do tej pory o jej przeszłości mówiło tylko parę talizmanów, kilka rodzinnych relikwii, jak ten jedwabny wachlarz w kształcie klonowego liścia czy słynna „torebka z Pont-Neuf”. Według naszej legendy znalazła ją na paryskim moście czteroletnia Charlotte Lemonnier, która biegła przed matką i zatrzymała się nagle, wołając: „Torebka!”. Z górą pół wieku później jej dźwięczny głos, niby osłabione echo, rozlegnie się w miasteczku zagnubionym w rosyjskiej nieskończoności, pod słońcem stepów. W torebce ze świńskiej skóry, ozdobionej błękitną emalią dokoła zamka, moja babka przechowywała zbiór historycznych kamyków.

Stara torebka należała do pierwszych wspomnień Charlotte’y, a przed nami otwierała bajkowy świat jej pamięci. Paryż, Pont-Neuf... Przedziwna galaktyka, ledwie się kształtująca, o konturach jeszcze niezbyt wyraźnych dla naszych zafascynowanych oczu.

Wśród tych szczątków przeszłości (pamiętam, z jaką rozkoszą dotykaliśmy gładkich pozłaczanych brzegów książeczek z różowej serii: *Przygody pu-delka*, *Siostra głuptaska...*) znalazły się świadectwa jeszcze dawniejsze: zdjęcia robione na Syberii. Albertyna, Norbert, a przed rodzicami, na wysokim postumencie, typowym meblu zakła-

dów fotograficznych, dwuletnia Charlotte w ob-
szytym koronką czepeczku, w lalczynej sukienecz-
ce. Odbitka na twardym kartonie z podpisem
fotografa i wianuszkiem medali bardzo nas in-
trygowała. „Co wspólnego ma ta śliczna kobieta
o czystej, delikatnej twarzy, otoczonej jedwabis-
tymi lokami, ze starcem, którego sztywna biała
broda, rozdzielona na dwie równe części, przypo-
mina kły morsa?”

Wiedzieliśmy już, że to nasz pradziadek, star-
szy od Albertyny o dwadzieścia sześć lat. „Tak
jakby się ożenił z własną córką!” — oburzała się
moja siostra. Związek tej pary był w naszym po-
jęciu dwuznaczny, niemoralny. W szkolnych lek-
turach czytaliśmy mnóstwo historii o dziewczę-
tach bez posagu wydawanych za starców skąpych
i łasych na ich młodość. Wszelkie inne motywy
takich małżeństw uważaliśmy za niemożliwe
w społeczeństwie burżuazyjnym. W rysach pra-
dziadka Norberta chcieliśmy dopatrzeć się jakiejś
występnej złośliwości, grymasu źle maskowanej
satisfakcji. Ale jego oblicze pozostawało wciąż
niewzruszenie prostoduszne i szczere jak oblicza
nieustraszonych odkrywców na ilustracjach po-
wieści Jules’a Verne’a. A przecież ów starzec
z długą białą brodą miał w tamtym okresie zaled-
wie czterdzieści osiem lat...

Co do Albertyny, domniemanej ofiary miesz-
czańskich obyczajów, znajdzie się ona niebawem
nad otwartym grobem, do którego sypią się już
pierwsze grudki ziemi. Będzie się tak gwałtownie
wyszarpywać z rąk przytrzymujących ją ludzi,

będzie krzyczała tak rozpaczliwie, że wprawi w osłupienie rosyjskich żałobników na dalekim cmentarzu syberyjskiego miasta. Przyzwyczajeni do tragicznych wybuchów podczas pogrzebów w ich ojczyźnie, do potoków łez i patetycznych lamentów, ludzie ci znieruchomieją na widok udręki tej pięknej, młodej Francuzki, która miotając się nad grobem woła w swym dźwięcznym języku: „Wrzućcie i mnie! Wrzućcie mnie!”

Przejmująca skarga Albertyny długo rozbrzmiewała w naszych dziecięcych uszach.

— Bo może ona... może ona go kochała — rzekła do mnie pewnego dnia starsza siostra. I spłoneża rumieńcem.

Ale niezwykła para, Albertyna i Norbert, budziła we mnie mniejszą ciekawość niż sama Charlotte na fotografii z początku stulecia. Moją uwagę zwróciły zwłaszcza jej bose stópki. Przypadkiem czy może przez mimowolną kokieteryę zgięła oba duże paluszki. Gest drobny, a nadawał szczególnego znaczenia tej właściwie bardzo pospolitej fotografii. Niezdolny sformułować inaczej mojej myśli, powiedziałem sobie w rozmarzeniu: „Ta dziewczyneczka siedzi nie wiadomo dlaczego na tym cudacznym stoliku w pewien letni, miniony bezpowrotnie dzień 22 lipca 1905 roku na dalekich krańcach Syberii. Ta mała Francuzeczka, obchodząca swoje drugie urodziny, wpatrzona w aparat i kapryśnie kurcząca niewiarygodnie drobne paluszki, pozwala mi wnikać w tamten dzień, rozsmakować się w jego nastroju, czasie, barwie...”

Przymknąłem oczy, tak zawrotna wydała mi się tajemnica jej dziecięcej obecności.

Tym dzieckiem była... nasza babka. Kobieta, która tego wieczoru pochyliła się i w milczeniu zbierała z dywanu resztę kamyków. Zawstydzeni i z ciężkim sercem staliśmy oparci plecami o ścianę; żadne z nas nie ośmieliło się prosić o wybaczenie ani pomóc jej w zgarnianiu rozrzuconych talizmanów. Podejrzewaliśmy, że spuszczone oczy babki są pełne łez...

Po świętokradczej zabawie tego wieczoru ujrzeliśmy nie nasze dawne bóstwo, dobrą wróżkę opowiadającą bajki o Sinobrodym i Śpiącej Królownie, lecz kobietę wrażliwą i łatwą do zranienia mimo jej siły ducha. Przeżywała moment lęku, kiedy człowiek dorosły nagle zdradza się odsłaniając własne słabości i czuje się jak nagi król pod bystrym spojrzeniem dziecka. Przypomina wtedy linoskoczka, który — po zrobieniu fałszywego kroku — w ciągu paru sekund utrzymuje równowagę dzięki spojrzeniom widza, zażenowanego swoją nieoczekiwaną mocą...

Babka zamknęła „torebkę z Pont-Neuf”, wyniosła ją do swego pokoju i zawołała nas na kolację. Pomilczawszy trochę, odezwała się głosem spokojnym i łagodnym po francusku, nalewając nam jak zwykle herbatę.

— Jeden z wyrzuconych kamyków bardzo bym chciała odnaleźć.

I nie zmieniając tonu, wciąż po francusku, choć w czasie posiłków (ze względu na przyjaciół i sąsiadów odwiedzających ją często bez zapowiedzi)

rozmawialiśmy przeważnie po rosyjsku, zaczęła nam opowiadać o defiladzie Wielkiej Armii i o brunatnym kamyku nazwanym „Verdun”. Z trudemłowiliśmy sens słów, urzeczeni jej głosem — mówiła do nas jak do dorosłych! Widzieliśmy tylko przystojnego oficera, który opuszcza szeregi maszerujących zwycięzców, zbliża się do wciśniętej w rozentuzjasmowany tłum dziewczyny i składa jej w darze brunatny odłamek pocisku...

Po kolacji, zaopatrzwszy się w latarkę elektryczną, daremnie przeczesywałem klomb dali pod naszym oknem — nie znalazłem kamyka z Verdun. Nazajutrz rano zobaczę go na chodniku wśród niedopałków, szkła stłuczonych butelek i piasku. Pod moim spojrzeniem dawał się wyrywać z banalnego otoczenia, niczym meteor z nieznanej galaktyki, który omal nie zmieszał się ze zwirem ścieżki...

Odgadliśmy więc przyczynę skrywanych łez naszej babki, domyśliwszy się, że zachowuje ona w sercu miłość do Francuza, poprzednika naszego dziadka Fiodora. Do dziarskiego oficera Wielkiej Armii, który wsunął w jej dłoń chropowaty odłamek pocisku spod Verdun. Poruszyło nas to odkrycie. Odtąd czuliśmy się związani z babką sekretem, o którym zapewne nie wie nikt z rodziny. Daty i anegdoty rodzinnej legendy zaczęły się teraz ożywiać, ukazując się w pełni swej bolesnej kraszy.

Wieczorem usiedliśmy koło babki na małym

balkoniku, który zdawał się unosić ponad ciepłymi oparami stepów. Słońce z rozżarzonej miedzi ocierało się o horyzont i znikło za nim po krótkiej chwili wahania. Na niebie zadrżały pierwsze gwiazdy. Nocne, przenikliwe zapachy podpłynęły ku nam z wieczornym wiatrem.

Milczeliśmy. Babka, póki było widno, reperowała rozłożoną na kolanach koszulę. Gdy powietrze przybrało odcień ultramaryny, przestała szyc i zapatrzyła się w przymgloną dal równiny. Nie mając odwagi przerwać milczenia, zerkaliśmy na nią raz po raz. Może wyzna nam coś jeszcze, coś znacznie bardziej sekretnego, a może — jak gdyby nic się tego dnia nie stało — wniesie na balkon lampę z turkusowym abażurem i przeczyta nam parę stroniczek Daudeta czy Verne'a; obaj często dotrzymywali nam towarzystwa w długie letnie wieczory. W cichości ducha czekaliśmy na jej pierwsze słowa, na ich intonację. W tym naszym oczekiwaniu — w oczekiwaniu widzów śledzących ruchy linoskoczka — kryła się dość okrutna ciekawość i odrobina niepewności. Odnosiliśmy wrażenie, że zakładamy sidła na kobietę samotnie stawiającą nam czoło.

Babka tymczasem jakby nie zauważyła naszego napięcia. Ręce wciąż nieruchomo trzymała na kolanach, oczy utkwiała w przejrzystym niebie. Cień uśmiechu rozjaśniał jej twarz.

I nas z wolna ogarniał spokój. Przechyleni przez balustradę wytrzeszczaliśmy oczy, żeby objąć wzrokiem największą połąć nieba. Balkonik kołysał się lekko, ugiął pod naszymi nogami,

gotował się do lotu. Widnokrąg przybliżał się, mknęliśmy ku niemu wraz z oddechem nocy.

Nad linią horyzontu dostrzegliśmy słabe migotanie, można by rzec: cekiny drobnych fal na powierzchni rzeki. Z niedowierzaniem badaliśmy ciemność, która obejmowała nasz latający balkon. Tak, w głębi stepów połyskiwało rozlewisko ciemnej wody, wzbierało, niosło z sobą cierpką świeżość wielkich deszczów. Zwierciadło wody pokrywało się stopniowo światłem matowym, zimowym.

Zobaczyliśmy teraz, jak z tego fantastycznego przyływu wynurzają się skupiska domów, szczyty katedralnych wież, słupy latarni — miasto! Ogromne, tworzące harmonijną całość pomimo zalanych ulic, zjawiskowe miasto wyrastało przed naszymi oczyma.

Nagle zdaliśmy sobie sprawę, że babka coś do nas mówi.

— Byłam wtedy mniej więcej w waszym wieku... Zimą 1910 roku. Sekwana przeistoczyła się w prawdziwe morze. Paryżanie pływali na łodziach. Ulice przypominały rzeki, place — rozległe jeziora. A najbardziej zadziwiała mnie cisza...

Z naszego balkonu słyszeliśmy tę senną ciszę Paryża dotkniętego powodzią. Czasem plusk fal roztrącanych przepływającą barką, stłumiony głos na drugim końcu zatopionego bulwaru...

Francja naszej babki, niczym spowita mgłą Atlantyda, wyłaniała się z wodnych odmętów.

— Nawet Prezydent musiał ograniczać się do zimnych posiłków.

Było to pierwsze zdanie, jakie rozległo się w stolicy naszej Francji-Atlantydy. Wyobrażaliśmy sobie czcigodnego starca, który łączył w sobie powagę pradziadka Norberta i faraonską sztywność Stalina; starzec z bujną brodą, siedzący przy stole w skąnym blasku świecy.

Zdanie to wypowiedział mężczyzna czterdziestoletni, o bystrym spojrzeniu i pewnej siebie minie, występujący na fotografiach w najstarszych albumach rodzinnych. Zatrzymał on barękę przy murze kamienicy, rozciągnął drabinę i wspiał się po niej ku jednemu z okien na pierwszym piętrze. Był to Vincent, wuj Charlotte'y, reporter „Excelsiora”. Od kiedy zaczęła się powódź, przemierzał w ten sposób paryskie ulice w pogoni za sensacją dnia. Z tej swojej barki Vincent zrobił też zdjęcie, które, gdy je oglądaliśmy na pożółkłym wycinku prasowym, zapierało nam dech w piersi: trzech mężczyzn w kruchej łódeczce na szerokim przestworze wodnym, obrzeżonym mieszkalnymi budynkami. Podpis wyjaśniał: „Panowie deputowani w drodze na sesję Zgromadzenia Narodowego”...

Vincent przeskakiwał parapet okna i rzucał się w objęcia swojej siostry Albertyny i siostrzenicy Charlotte'y, które gościły u niego w czasie pobytu w Paryżu... Atlantyde, do tej pory milczącą, wypełniły dźwięki, emocje, słowa. Opowieści

babki co wieczór wzbogacały o nowy fragment ów wszechświat pochłonięty przez czas.

Wiedzy o nim dostarczał nam także skarbiec ukryty w walizie pełnej starych papierów, która przerażała nas swoją wielkością, kiedy myszkowaliśmy pod dużym łóżkiem w pokoju babki. Otwieraliśmy zamki, podnosiliśmy wieko. Ileż się tu mieściło papierzyśk! Dorosłe życie z jego troskami i niepokojącą powagą dławilo nas wonią zaduchu i kurzem. Czy mogliśmy przypuszczać, że wśród mnóstwa gazet i listów noszących niewyobrażalne wprost daty, nasza babka odnajdzie dla nas zdjęcie trzech deputowanych w łódce!

...To Vincent przekazał Charlotte'cie upodobanie do reportaży i namówił ją, by kolekcjonowała wycinki prasowe, efemeryczne odbitki rzeczywistości. Z czasem — myślał prawdopodobnie — nabiorą one całkiem innego blasku, jak srebrne monety znaczone patyną wieków.

W pewien letni wieczór, ożywiony oddechem wonnym stepów, wyrwał nas z naszych rojeń na balkonie głos jakiegoś przechodnia:

— Tak, mogę przysiąc, gadali o tym przez radio, wyleciał w powietrze!

A z większej odległości dobiegł nas inny głos pelen niedowierzania:

— Idiotę ze mnie robisz, czy co? „Wyleciał!”

Ależ tam w górze nie ma dokąd lecieć! Jakbyś skoczył bez spadochronu z samolotu!

Ta dyskusja przywiodła nas do teraźniejszości. Dokoła rozciągało się przeogromne imperium, czerpiące szczególną dumę z podboju niezgłębio- nego nieba nad naszymi głowami. Imperium ze swoją groźną armią, z atomowymi łamaczami lodu, które rozpruwają brzuch bieguna północ- nego, z fabrykami, które wkrótce będą produkowa- ły więcej stali niż wszystkie razem wzięte kraje świata, z polami zbóż, które falują od Morza Czarne- go po Ocean Spokojny... ze stepem bez granic.

A na naszym balkonie pewna Francuzka mówi nam o barce, która krąży po zalanym wodą mieście i dobija do murów paryskiej kamienicy... Otrząsnęliśmy się, usiłując zrozumieć, gdzie jeste- my. Tutaj? Tam? W naszych uszach przyci- chał plusk fal.

Nie, nie po raz pierwszy zauważaliśmy dwoja- kość naszego życia. Wystarczyła sama obecność babki, byśmy czuli, że żyjemy gdzie indziej. Idąc przez podwórko Charlotte nigdy nie przysiadła na ławce koło babuszek — bez babuszek podwór- ko rosyjskie nie jest w ogóle do pomyślenia. Po- zdrowiała je tylko przyjaźnie, pytała o zdrowie sąsiadkę, jeśli nie widziała którejś od paru dni, świadczyła im drobne przysługi, radząc na przy- kład, jak pozbyć się kwaskowego smaku solonych produktów mlecznych... Zwracała się do nich

uprzejmie, ale utrzymywała pozycję pionową. I stare gawędziarki podwórkowe uznawały tę odmienność. Wszyscy wiedzieli, że Charlotte nie jest babuszką rosyjską z krwi i kości.

Co nie znaczyło, że odcinała się od świata lub hołdowała przesądom społecznym. Wczesnym rankiem nieraz budziło nas z dziecięcego snu wołanie rozbrzmiewające pośrodku podwórka.

— No, dalej! Ruszajcie po mleko!

W półśnie poznawaliśmy głos, a zwłaszcza trudny do naśladowania akcent Awdokii, mleczarki z sąsiedniej wioski. Gosposie schodziły na dół z naczyniami i obstępowały dwa wielkie aluminiowe baniaki, które ta krzepka pięćdziesięcioletnia chłopka taszczyła od domu do domu. Obudzony kiedyś krzykiem Awdokii nie od razu zasnąłem... Pochwyciłem lekkie skrzypienie otwieranych drzwi i szepty w jadalni, a po chwili westchnienie błogiej ulgi:

— Och, jak tu u ciebie dobrze, Szura! Całkiem jakbym se legła na obłoczku...

Zaintrygowany uchyliłem zasłonę dzielącą nasz pokój od jadalni. Awdokia leżała na podłodze, rozrzuciła ramiona i nogi, na pół przymknęła oczy. Ciało jej, od zakurzonych stóp po czubek rozkudłaczonej głowy, syciło się głębokim wypoczynkiem. Uśmiechała się bezmyślnie półotwartymi wargami.

— Jak tu u ciebie dobrze, Szura! — powtórzyła jeszcze ciszej, nazywając naszą babkę tym zdrobnieniem, którym przeważnie zastępowano jej obco brzmiące imię.

Niemal fizycznie odczuwałem zmęczenie tej zwa-
listej kobiety, rozciągniętej na podłodze w jadalni.
Rozumiałem, dlaczego tylko w mieszkaniu mojej
babki Awdokia mogła sobie pozwolić na taki re-
laks. Bo tutaj była pewna, że nikt jej za to nie
ofuknie, nikt jej tego nie weźmie za złe... Koń-
czyła swój uciążliwy obchód, zgięta pod ciężarem
wielkich baniaków. A kiedy baniaki opróżniano,
szła do „Szury” na drętwych nogach, z obolałymi
plecami. Goła podłoga, zawsze czysta, zachowy-
wała przyjemny chłód poranka. Awdokia kładła
się na niej, od progu pozdrowiwszy moją babkę
i zsunawszy z nóg grube buciory. „Szura” przy-
nosiła jej szklanek wody, siadała obok na niskim
stołku. Gawędziły po cichu, póki Awdokia nie
odzyskała dość odwagi i sił przed drogą powrotną.

Tamtego ranka usłyszałem kilka zdań z roz-
mowy babki z mleczarką pogrążoną w błogosta-
nie. Mówiły o pracach w polu, o zbiorach gryki...
Byłem zaskoczony, że Charlotte wypowiada się
o życiu na wsi z absolutną znajomością rzeczy.
Dziwił mnie zwłaszcza jej rosyjski; zwykle tak
poprawny, tak wyszukany, nie klócił się ani tro-
chę z dosadnym, wulgarnym i obrazowym języ-
kiem Awdokii. Mówiły również o wojnie, temat
to nieunikniony; mąż mleczarki zginął na fron-
cie. Żniwa, gryka, Stalingrad... A wieczorem
babka będzie nam znów opowiadać o powodzi
w Paryżu albo przeczyta parę stron Hectora Ma-
lot! Wyczuwałem odległą, ciemną przeszłość —
rosyjską tym razem — budzącą się w głębinach
jej poprzedniego życia.

Awdokia podnosiła się i uściskawszy Charlotte'ę ruszała w drogę, która wiodła ją przez niezmierzone pola, pod stepowym słońcem, w tiele-dze tonącej w oceanie wysokich traw i kwiatów... Gdy wyszła z jadalni, widziałem, jak zgrubiałym palcem wieśniaczki ostrożnie i z wahaniem dotyka delikatnej statuetki na komódce w przedpokoju: nimfa sperlona wodą, spowita w meandry lodyg, figurynka z początku stulecia, jeden z nielicznych promyków cudownie ocalonej przeszłości.

Może się to komuś wydać niezwykle, ale właśnie dzięki miejscowemu pijaczynie Gawryliczowi dociekliśmy istoty owej dziwnej inności, jaka charakteryzowała naszą babkę. Gawrylicz przerażał wszystkich już w chwili, kiedy idąc chwiejnym krokiem ukazywał się za topolami na podwórku. Gawrylicz rzucał wyzwanie milicjantom hamując ruch na głównej ulicy, którą przechodził kapryśnymi zygzakami. Gawrylicz pomstował na władze, od jego gromkich przekleństw drżały szyby i pustoszały ławki zajmowane przez babuszki. A jednak ten sam Gawrylicz na widok mojej babki zatrzymywał się i, usiłując połknąć swój ziejący wódką oddech, powiadał z wyjątkowym szacunkiem:

— Dzień dobry, Szarlota Norbertowna!

Tak, tylko Gawrylicz używał na podwórku jej francuskiego imienia, trochę je, co prawda, rusyfikując. W dodatku, nie wiadomo jak i kiedy dowiedziawszy się o imieniu naszego pradziadka, posługiwał się egzotycznym patronimikiem — Norbertowna — szczyt ugrzecznienia i unізono-

ści z jego strony. Mętne oczy Gawrylicza rozjaśniały się, olbrzymia postać odzyskiwała względną równowagę, głowa wykonywała serię ukłonów, niezupełnie udanych; zmuszał też swój język wymoczony w alkoholu do popisowego numeru akrobacji słownej.

— Dobrze się miewacie, Szarlota Norbertowna?

Babka odpowiadała mu na pozdrowienie, nie raz zamieniała z nim kilka słów nie pozbawionych ukrytej treści dydaktycznej. Podwórko w takich przypadkach reagowało w sposób szczególny: babuszki, spłoszone hałaśliwym wejściem na scenę pijaka, szukały schronienia na obszernych ganekach drewniaka, stojącego naprzeciw naszego domu, dzieciarnia chowała się za drzewami, w oknach pojawiały się twarze na pół ciekawe, na pół przerażone. A na arenie babka „Szarlota” prowadziła dyskurs z oblaskawionym Gawryliczem. Nie był on zresztą głupi. Od dawna pojął, że jego rola nie ogranicza się tylko do pijackiej rozróby i skandalów. Poczował się w pewnym stopniu do odpowiedzialności za psychiczne zdrowie podwórka. Stał się kimś ważnym, typem, osobliwością — rzecznikiem nieprzewidywalnego losu, jednym z tych dziwaków tak drogich rosyjskim sercom. Gawrylicz — pomyśleć tylko! — i ta Francuzka o spokojnych szarych oczach, elegancka, choć w skromnej sukience, i wcale niepodobna do kobiet w jej wieku, do babuszek-kwok spędzanych z grędy przez pijaka.

Pewnego razu, pragnąc uhonorować Charlot-

te'ę czymś więcej niż zwykle „dzień dobry”, Gawrylicz odkaszlnął w potężną garść i wybełkotał:

— Ot i jesteście tu całkiem sama w tych naszych stepach, Szarlota Norbertowna...

Niezręczna wypowiedź Gawrylicza sprawiła, że wyobraziłem sobie babkę samotną w swoim pokoju zimą po naszym wyjeździe (nigdy dotychczas o tym nie pomyślałem).

W Moskwie czy w Leningradzie wszystko ułożyłoby się inaczej. W mrowisku ludzkim wielkiego miasta zatarłaby się odmienność Charlotte'y. Ale mieszkała ona w małej Saranzie, wprost idealnej, by pędzić tu długie dni, niczym się od siebie nie różniące. Jej przeszłość była tu wciąż obecna, jakby przeżyta dopiero wczoraj.

Taka była ta Saranza, przycupnięta na skraju stepów, zdumiona nieskończonością rozwierającą się tuż za jej progiem. Kręte, zapyłone uliczki niestrudzenie pięły się na pagórki, drewniane płoty okalały zielenią ogródków. Słońce, złudne perspektywy. Przechodnie zdawali się iść całe wieki, nim dotarli do ciebie na drugi koniec ulicy.

Dom babki znajdował się na peryferiach miasteczka, w miejscu zwanym Zachodnią Polaną; ta zbieżność (z Zachodem — Europą — Francją) bardzo nas bawiła. Trzypiętrowa kamienica z pierwszej dekady dwudziestego wieku miała zapoczątkować budowę szerokiego, nowoczesnego bulwaru — zgodnie z projektem ambitnego gubernator-

tora. Owszem, dom był daleką repliką stylu z początków stulecia. Można by powiedzieć, że wszystkie esy-floresy, wygibasy i krzywizny architektury napływały wartkim strumieniem z europejskiego źródła i osłabione, na pół zwietrzałe docierały aż w głąb Rosji. Pod wpływem lodowatych wiatrów stepowych potok moderny objawił się w kamienicy o cudacznych owalnych okienkach i dekoracyjnych rozetach dookoła drzwi wejściowych. Upadł projekt światłego gubernatora. Rewolucja październikowa położyła kres dekadentckim tendencjom sztuki mieszczańskiej. Jako jedyny jej przedstawiciel pozostał ten trzypiętrowy dom, drobny fragment wymarzonego bulwaru. Zresztą po licznych naprawach i remontach kamienica zachowała ledwie cień dawnego kształtu. Straszliwy cios zadała jej prowadzona oficjalnie kampania „przeciw przeladowaniom architektonicznym” (w dzieciństwie byliśmy jej świadkami). Wtedy wszędzie doszukiwano się „przeladowań”; robotnicy zdarli gipsowe girlandy, zamurowali owalne okienka. Ale że zawsze znajdują się ludzie chcący pochwalić się nadgorliwością (dzięki nim kampania naprawdę się udała), sąsiad babki z dołu postarał się oczyścić fasadę z najbardziej rzucającego się w oczy ornamentu: z płaskorzeźby pięknych bachantek, które uśmiechały się do siebie melancholijnie po obu stronach balkonu Charlotte’y. Aby ten cel osiągnąć, gorliwiec nie zawahał się przed ryzykiem i stojąc na zewnętrznym parapecie swego okna manipulował długim żelaznym łomem. Twarze bachantek, kolejno od-

klejane od muru, runęły na ziemię. Jedna roztrzaskała się na asfalcie w drobne kawałki; druga, obrawszy inną trajektorię, zaryła się w gęstych krzaczkach dalii, co zamortyzowało upadek. Z nastaniem nocy odnaleźliśmy ją tam i przynieśliśmy do domu. Od tego czasu w długie wieczory letnie spędzane na balkonie kamienne oblicze z przywiedłym uśmiechem i tkliwymi oczami spoglądało na nas zza doniczkowych kwiatów, wsłuchane w opowieści Charlotte'y.

Po przeciwnej stronie podwórza, przesłonięty gęstymi koronami lip i topoli, stał obszerny, dwupiętrowy, szerniały od starości drewniak. Podobne drewniaki o ciemnych podejrzliwych okienkach zamierzał kiedyś zburzyć gubernator, zastępując je pełnymi wdzięku budynkami w stylu moderny. W tym domiszczu, liczącym sobie dwa stulecia, gnieździły się babuszki, najbardziej charakterystyczne okazy folkloru, wywodzące się w prostej linii z baśni — okutane w grube chusty, chorobliwie blade, zaciskające na kolanach kościaste, niemalże sine ręce. Ilekroć zdarzyło nam się wejść do mrocznego wnętrza, chwytła mnie za gardło woń ciężka, ostra, ale nie odrażająca. Zapach w posępnych korytarzach był zapachem dawnego życia; było to życie szare i bardzo prymitywne, jeśli chodzi o stosunek do śmierci, narodzin, miłości, cierpienia. Klimat przytłaczający i pełen niezwyklej witalności, w każdym razie jedyny, jaki odpowiadał mieszkańcom wielkiego

drewniaka, czyli *izby*. Tchnienie rosyjskie... Zdumiewała nas ilość niesymetrycznie usytuowanych drzwi, odgradzających zakopcone klitki.

Gawrylicz, wraz z trzema obcymi rodzinami, zajmował suterенę. Wąskie piwniczne okienko tuż przy ziemi zarastało bujnymi chwastami już wczesną wiosną. Babuszki, wysiadujące na swojej ławce o kilka metrów dalej, bojaźliwie zezowały w stronę okienka — jeśli było otwarte, nierzadko pojawiała się wśród zielska szeroka gęba „bezenika”. Ale w chwilach kontemplacji Gawrylicz zachowywał się spokojnie. Zadzierał głowę, która zdawała się wystawać wprost z ziemi; chciał pewnie zobaczyć niebo i blask zachodu przesiewany przez gałęzie topoli... Zapuściwszy się kiedyś na strych, aż pod rozgrzany słońcem dach wielkiej czarnej izby, podnieśliśmy ciężką klapę dymnika. Na horyzoncie płonął step, jeszcze trochę, a groźne chmury przyćmią słońce...

W spokojnym zakątku, jakim była Saranza, rewolucja wprowadziła ostatecznie tylko jedną innowację. Cerkiew, wznoszącą się na odległym krańcu podwórza, pozbawiono kopuły, na miejscu usuniętego ikonostasu powieszono ogromną kwadratową zasłonę — ekran uszyty z jedwabnych firanek zarekwirowanych w burżujskich mieszkaniach „dekadenckiej” kamienicy. Kino „Barykada” było gotowe do przyjęcia pierwszych widzów.

Tak, nasza babka, która potrafiła spokojnie rozmawiać z Gawryliczem i która przeciwstawiała się wszelkim kampaniom, rzekła pewnego dnia,

mrugając do nas znacząco: „Temu kościołowi ścięto głowę...” A my natychmiast ujrzelśmy zgrabną złocistą bulwę i krzyż na krępych budynku o nie znanej nam przeszłości.

Tego typu drobiazgi bardziej podkreślały jej odrębność niż wygląd czy sposób ubierania się. Co do języka francuskiego, uważaliśmy go raczej za nasz dialekt rodzinny. Każda rodzina zresztą ma swoje nawyki, swoje utarte powiedzonka, nigdy nie przekraczające progu domu — intymny żargon.

Odrębność babki stanowiły nieszkodliwe dziwactwa — niektórzy mówili, że jest oryginalna, inni, że ekstrawagancka. Aż tu nagle odkryliśmy, że przyczyną jej łez może być zardzewiały odłamek pocisku i że familijne narzecze, język francuski, może dzięki swej magicznej dźwięczności wyczarować z ciemnej wzburzonej wody widmowe miasto, z wolna powracające do życia.

Z damy o wątpliwym, bo nie rosyjskim pochodzeniu, Charlotte przeobraziła się tamtego wieczoru w zwiastunkę Atlantydy pogrążonej w otchłani czasów.

3

Neuilly-sur-Seine składało się mniej więcej z dwunastu domów, budowanych z okrągłaków, prawdziwych „izb”, pokrytych wąskimi deszczułkami, które lśniły srebrem w dniu zimowej niepogody; drewniane ramy okienne były pięknie

cyzelowane, na płotach suszyła się bielizna. Młode kobiety dźwigały na ramionach wiadra pełne wody, która z chlupotem rozbryzgiwała się tu i ówdzie w kurzu głównej ulicy. Mężczyźni ładowali ciężkie wory zboża na tielegi. Stadko krów z leniwą powolnością wracało do obory. Słyszeliśmy stłumione brzęczenie dzwoneczków, ochryple pianie koguta. Miła woń palących się szczap przesycała powietrze zapowiadając bliską porę obiadu.

A to wszystko widzieliśmy i słyszeli dlatego, że babka, opisując nam swoje rodzinne miasto, westchnęła:

— Och, Neuilly... była to wtedy zwykła wioska...

Village — a my znaleźliśmy tylko wioski rosyjskie. Wieś w Rosji to długi szereg „izb” — nawet słowo *dieriewnia* pochodzi od *dierewa*, drewna. Takie mylne wyobrażenie trzymało się nas uporczywie, pomimo sprostowań, jakich dostarczały nam dalsze historie babki. Mówiła „Neuilly” i od razu ukazywały się nam chałupy z bierwion, krowy i kogut. Gdy zaś latem następnego roku po raz pierwszy wspomniała nam o jakimś Marcelu Prouście, bo widywano go w Neuilly grającego w tenisa przy bulwarze Bineau, ów dandys o tęsknie rozmarzonych oczach (znaleźliśmy go już z fotografii) objawił nam się na tle rosyjskich „izb”.

Rzeczywistość rosyjska często prześwitywała spoza kruchej patyny francuskich słów. Na portrecie, jaki szkicowała nasza fantazja, Prezydent Republiki miał w sobie coś ze Stalina. Neuilly roiło się od kołchoźników. Paryż stopniowo otrzą-

sał się po klęsce powodzi i doznawał całkiem rosyjskich emocji — chwilowej ulgi po kolejnym kataklizmie dziejowym, radości z powodu zakończenia lub przetrwania śmiertelnych represji. Wędrowaliśmy po wilgotnych paryskich ulicach, zapiaszczonych, pokrytych mułem. Paryżanie gromadzili przed drzwiami sprzęty i odzież, by je wysuszyć — jak to robią Rosjanie pożegnawszy zimę, która dla nich trwała całe wieki.

A potem, gdy Paryż znów oddychał świeżością wiosennej aury, której urok chłonałem instynktownie, feeryczny pociąg z ukwieconą lokomotywą wytracał szybkość, by zatrzymać się u bram miasta przed pawilonem dworca Ranelagh.

Młody człowiek w zwykłym mundurze wojskowym wysiada z wagonu i kroczy naprzód po rozsyłanym purpurowym kobiercu. Towarzyszy mu kobieta, także bardzo młoda, w białej sukni, w boa z piór na ramionach... Starszy od nich mężczyzna we fraku, ze wspaniałym wąsem, z piękną błękitną wstęgą w poprzek piersi, występuje z gromady dostojników zebranych pod portalem pawilonu i rusza gościom na spotkanie. Łagodny wietrzyk kołysze orchidee i szkarłaty zdobiące kolumny, trąca ergetę na białym aksamitnym kapeluszu młodej damy. Obaj panowie ściskają sobie dłonie...

Władca wyłonionej z wody Atlantydy, Prezydent Félix Faure, wita Cara Wszechrosji, Mikołaja II i jego małżonkę.

Ta carska para w otoczeniu dygnitarzy Republiki oprowadzała nas po Paryżu. Dużo później dowiemy się właściwej daty owej historycznej wizyty. Mikołaj i Aleksandra odwiedzili Paryż nie wiosną 1910 roku po powodzi, lecz w październiku 1896, czyli znacznie wcześniej... Normalny bieg rzeczy niewiele nas jednak obchodził. Liczyła się tylko chronologia zachowywana w długich relacjach babki. W tym samym legendarnym czasie, kiedy Paryż powracał do życia i rozbłyskiwało słońce, my słyszeliśmy już gwizd carskiego pociągu. Taką kolejność wydarzeń była równie prawdopodobna jak pojawienie się Prousta wśród wieśniaków z Neuilly.

Wąski balkon Charlotte'y szybował w korzennym zapachu równiny na pograniczu uśpionego miasteczka, które odgradzała od świata milcząca wieczystość stepów. Każdy wieczór przypominał cudowną retortę alchemika — przeszłość ulegała w niej dziwnym przemianom. Elementy tej magii były dla nas nie mniej tajemnicze niż ingrediencje kamienia filozoficznego. Charlotte rozkładała starą gazetę, przesuwał ją bliżej lampy z turkusowym abażurem, i pokazywała nam jadłospis bankietu wydanego na cześć suwerenów rosyjskich po ich przybyciu do Cherbourg.

Zupa z krewetek

Kasoleta à la Pompadour

Pstrąg z Loary duszony w białym winie

Polędwica jagnięca z borowikami

Przepiórki à la Lukullus

Pulardy z Mans Cambacérès

Lody muszkatołowe
Poncz po rzymsku
Pieczone kuropatwy i ortolany
 nadziewane truflami
Paszтет z gęsich wątróbek z Nancy
Sałata
Szparagi w sosie holenderskim
Lody „Sukces”
Deser

Czyż mogliśmy rozszyfrować te kabalistyczne nazwy francuskie? *Bartavelles et ortolans! Cailles de vigne à la Lukullus!* Nasza babka, pełna wyrozumiałości, szukała terminów zastępczych, wymieniając podstawowe produkty spożywcze, jeszcze dostępne w sklepach Saranzy. Zachwyceni próbowaliśmy rozsmakować się w tych wyimaginowanych potrawach, zaprawionych świeżą mgiełką oceanu (Cherbourg!), ale znów musieliśmy podążać śladami Cara.

Podobnie jak on, wchodząc do Pałacu Elizejskiego byliśmy spłoszeni widokiem wszystkich tych czarnych fraków zeszywniałych w oczekiwaniu — pomyślcie tylko, ponad dwustu senatorów i trzystu deputowanych (którzy zgodnie z naszą chronologią ledwie przed kilkoma dniami płynęli łódką na posiedzenie Rady...)! Głos babki, dotychczas spokojny i trochę rozmarzony, zabarwił się teraz z lekka dramatyczną wibracją.

— Rozumiecie, twarzą w twarz stanęły przed sobą dwa światy. (Patrzcie na zdjęcie! Szkoda, że gazeta tak długo była złożona...) Monarcha abso-

lutny, Car, i przedstawiciele ludu francuskiego! Przedstawiciele demokracji...

Umykał nam głębszy sens tego spotkania. Dostrzegliśmy jednak, że nie wszystkie oczy z pięciuset par utkwionych w Cara wyrażają powszechny entuzjazm, chociaż nie było w nich niechęci. A przecież dzięki tej zagadkowej „demokracji” mogły sobie na niechęć pozwolić! Oburzyło nas takie niekontrolowane zachowanie. Uważnie lustrowaliśmy szeregi czarnych fraków, by wykryć potencjalnych wichrzycieli. Prezydent powinien był ich zidentyfikować, wygonić za drzwi pałacu!

Następnego wieczoru babka znów zapaliła na balkonie lampę, przyniosła z sobą plik gazetowych wycinków z syberyjskiej walizy. Zaczęła mówić i balkon z wolna odrywał się od muru, by ulecieć w ciężką od zapachów ciemność stepów.

— ...Mikołaj zajął honorowe miejsce przy stole; na stole rozłożono wspaniałe girlandy medioli. Słuchał wdzięcznych replik pani Faure, siedzącej po jego prawej stronie, słuchał aksamitnego barytonu Prezydenta, gdy ten zwracał się do imperatorowej. Lśnienie kryształów i sreber imponującej zastawy oślepiało biesiadników... Kiedy przyszła kolej na desery, Prezydent wstał z kielichem w rękę i rzekł:

— Obecność Waszej Wysokości wśród nas pieczętuje, przy poparciu całego narodu, więzy jednoczące dwa kraje w zgodnym działaniu i we wzajemnej ufności w ich przyszłe losy. Unia potężnego mocarstwa i republiki ludu pracującego... Wzmocniona wypróbowaną wiernością...

Jako wyraziciel woli całego narodu odnawiam, Wasza Wysokość, przyjaźń... Ku chwale Jego panowania... Za szczęście Jej Wysokości Imperatorowej... Wznoszę toast na cześć Jego Wysokości Cara Mikołaja i Jej Wysokości Aleksandry Fiodorowny.

Orkiestra gwardii republikańskiej zaintonowała rosyjski hymn... A wieczorem wielka gala w Operze była prawdziwą apoteozą.

Poprzedzani przez dwóch ludzi z pochodniami Car i carowa wchodzą po schodach. Mają wrażenie, że idą wzdłuż spływającego z góry potoku; na tle mundurów i fraków bielą się pochylone plecy kobiet, kwiaty rozkwitają przy dekoltach, klejnoty błyszczą na obnażonych ramionach, kunsztowne fryzury rozsiewają zapach perfum. Gromki okrzyk: „Niech żyje Cesarz!” unosi majestatyczny plafon i zrównuje go z niebem... Na zakończenie spektaklu orkiestra gra *Marsyliankę*. Car obraca się z wyciągniętą ręką do Prezydenta...

Babka zgasła lampę i parę minut siedzieliśmy po ciemku. Dość czasu, by wypłoszyć wszystkie muszki, szukające świetlanej śmierci pod abażurem. Powoli odzyskiwaliśmy zdolność widzenia. Gwiazdy na nowo ułożyły się w konstelacje. Droga Mleczna nasyciła się fosforem. Z kąta balkonu, spomiędzy splątanych pnączy pachnącego groszku, posyłała nam swój kamienny uśmiech spostonowana bachantka.

Charlotte zatrzymała się w drzwiach i łagodnie westchnęła.

— Wiecie, moi drodzy, *Marsylianka* to właś-

ciwie zwykły marsz wojskowy. Trochę jak rosyjskie pieśni rewolucyjne. W takich okresach krew nikogo nie przeraża...

Weszła do pokoju i stamtąd dobiegły nas zwrotki, które deklamowała półgłosem niczym dziwną litanie z przeszłości.

— *...l'étendard sanglant est levé... Qu'un sang impur abreuve nos sillons...*

Kiedy słowa rozplynęły się w ciemności, wykrzyknęliśmy w nagłym porywie:

— A Mikołaj? A Car? Czy wiedział, o czym jest ta piosenka?

Francja-Atlantyda objawiała się gamą dźwięków, barw, woni. Idąc za naszymi przewodnikami, poznawaliśmy rozmaite jej tony, składające się na tajemniczą francuską istność.

Pałac Elizejski ukazywał się w blasku zyrandoli, w migotaniu zwierciadeł. Opera olśniewała nagością kobiecych ramion, upajała perfumą sztucznych koafiur. Katedra Notre-Dame przywodziła na myśl zimny kamień pod burzowym niebem. Tak, niemal dotykaliśmy szorstkich porowatych murów, gigantycznej skały wymodelowanej, jak sądziliśmy, przez pomysłową erozję stuleci...

Te ułamkowe odczucia kreśliły niepewne jeszcze kontury francuskiego uniwersum. Wynurzający się przed nami ląd zaczął wypełniać się rzeczami i ludźmi. Caryca modliła się na „klęczniku”, który z niczym nam się nie kojarzył. „To

rodzaj krzesła z obciętymi nogami” — tłumaczyła Charlotte, a wizja okaleczonego mebla wprawiała nas w osłupienie. Tak jak Car Mikołaj pałaliśmy chęcią pogłaskania purpurowego płaszcza z gro-nostajami, który przywdział Napoleon w dniu koronacji. Odczuwaliśmy wręcz potrzebę święto-kradczego dotknięcia... Naszej Atlantydzie w fa-zie stawania się brakowało jeszcze realiów. Tęsk-notę za nimi obudził w nas chropowaty stary pergamin z Sainte-Chapelle. Charlotte pouczyła nas, że długie litery manuskryptu kreśliła przed tysiącem lat królowa Francji — Rosjanka Anna Jarosławna, małżonka Henryka I.

Najbardziej jednak podniecał nas fakt, że Atlan-tyda buduje się na naszych oczach. Mikołaj chwyt-tał złotą kielnię i rozprowadzał zaprawę na wiel-kim granitowym bloku, na kamieniu węgiel-nym pod most Aleksandra III. Po czym odda-wał kielnię Prezydentowi Félixowi Faure. „Pa-na kolej, panie Prezydencie!” A swobodny wiatr, marszczący powierzchnię Sekwany, unosił strzę-py przemówienia ministra handlu, który siłą gło-su starał się zapanować nad łopotaniem sztan-darów.

— Sire! Francja zapragnęła poświęcić jeden z wielkich pomników swojej stolicy pamięci Wa-szego Dostojnego Ojca. W imieniu rządu Republiki proszę Waszą Cesarską Wysokość, by zechciał przyjąć ten hołd i wraz z Prezydentem Republiki położył kamień węgielny pod most Aleksan-dra III, co nawiąże do paryskiej wystawy roku 1900 i umocni wielkie dzieło cywilizacji i pokoju,

jakie rozpoczynamy za aprobatą Waszej Wysokości i pod łaskawym patronatem Cesarzowej.

Prezydent ledwie zdążył dwa razy symbolicznie uderzyć kielnią w granitowy blok, gdy zdarzyła się rzecz zgoła nieoczekiwana. Jakieś indywiduum, nie należące ani do świty carskiej, ani do orszaku notabli francuskich, pojawiło się przed cesarską parą. Człowiek ten zmierzył wzrokiem Mikołaja i z gestem światowca ucałował rękę Aleksandry! Zaskoczeni takim wybrykiem wstrzymaliśmy oddech...

Z wolna jednak scena nabierała klarowności. Słowa intruza pokonywały odległość w czasie i niedostatki naszej francuszczyzny. W rozgorączkowaniu łowiliśmy ich echa.

Wielki Carze, rozległych ziem Imperatorze!
Francja, którą zaszczyca dziś twoja wizyta,
W języku Bogów ciebie moim głosem wita,
Gdyż jedynie poeta władców tykać może.*

Uff, odetchnęliśmy z ulgą. Bezczelny zuchwalec był poetą i Charlotte powiedziała, jak się nazywał: José Maria de Heredia!

A ty, u jego boku Jaśnie Monarchini,
Która byś sama blasku przydała tej fecie,
Pozwól w twym majestacie pozdrowić poecie
Boską słodycz, co pełną cnej łaski cię czyni!*

Porywała nas kadencja tych wierszy. Dźwięczność rymów, które w sposób zadziwiający koja-

* Wiersze oznaczone gwiazdką przełożył Józef Waczków.

rzyły z sobą wyrazy odległe znaczeniowo: *fleuve—neuve, or—encor...* Myśleliśmy, że w tej zręczności werbalnej może zawierać się cały egzotyzm naszej francuskiej Atlantydy:

Oto Paryż! Tak nagle do festynów skory,
Gdy was ujrzal — w krąg mnoży flagi i wiwaty;
W krąg więc i gdzie pałace, i gdzie nędzne chaty,
Jednoczy dwu narodów naszych trójkolory...

Sekwana, którą złotych topól rząd ocienia,
Radosną wrzawę swego ludu do was niesie,
Bo dziś do was, Szlachetni, wzrok i serce rwie się,
I cała prężna Francja śle wam pozdrowienia!

Za wzorem Aleksandra podjęła trud szczerzy:
Oto most, co przerzuca przeszło w jutra stronę,
By z wiekiem nowym sprzęgnąć stulecie skończone
I pokojem połączyć narody i ery...

Niech tu podniosłe myśli rozjaśnią wam lica:
Serca nam w jednym rytmie biją, Mili Goście,
Więc ku brzegom historii idźmy po tym moście,
Którym Francja czci, Carze, twój Rodzica.

Silny jest on, bądź ludzki jak on — i pałasza
Nie wyjmuj z pochwy, pokój ludziom niosąc w darze,
I zapewniwszy światu równowagę, Carze,
Patrz, jak obraca się w twej dłoni Ziemia nasza.

Niech jej rozkwitu władcze twoje oczy strzegą,
Mając siłę podwójną, siłę niezmożoną,
Bo Ojciec twój wraz z Carstwem zapisał ci honor
Cieszenia się miłością narodu wolnego.★

„Honor cieszenia się miłością narodu wolnego”
— zaskoczeni byliśmy tym zdaniem, które początkowo uszło naszej uwagi w potoku melodyjnych

wierszy. Francuzi, naród wolny... Pojęliśmy, dlaczego poeta ośmielił się udzielać rad władcy najpotężniejszego imperium świata. I dlaczego miłość wolnych obywateli miała mu przysporzyć tyle honoru. Tamtego wieczoru w przegrzanym stepowym powietrzu wydała nam się ta wolność cierpkim, odświeżającym tchnieniem wiatru, który marszczył powierzchnię Sekwany, a teraz napełniał nasze płuca upajającym niemal do szaleństwa oddechem.

Później nauczymy się dostrzegać napuszoną tę deklamację. Na razie jednak pod wpływem wzniosłych okoliczności odnajdywaliśmy w tych strofach „coś, nie wiedzieć co francuskiego”, czego chwilowo nie umieliśmy bliżej określić. Francuskie *esprit*? Francuska grzeczność? Nie mieliśmy pojęcia, jak to nazwać.

Poeta tymczasem stanął twarzą do Sekwany i wyciągniętym ramieniem wskazywał kopułę Pałacu Inwalidów na przeciwległym brzegu. W swej rymowanej oracji zbliżał się do momentu bardzo bolesnego w przeszłości francusko-rosyjskiej: Napoleon, płonąca Moskwa, Berezyna. Przygryzaliśmy wargi, z niepokojem wsłuchując się w głos poety, który podejmował jakże ryzykowny temat. Oblicze Cara spochmurniało. Aleksandra spuściła oczy. Czyż nie lepiej pominąć milczeniem przeszłość, udać, że nic się nie wydarzyło, i przejść bezpośrednio do Piotra Wielkiego, do „serdecznego porozumienia” — *entente cordiale*?

Ale Heredia, przeciwnie, zdawał się mówić jeszcze głośniejsze:

I ta olśniewająca Kopała w oddali
Trwa z herosami z czasów, gdy, klęsk się nie wstydząc,
w turnieju bez nienawiści, jutro jasnowidząc,
Francuzi i Rosjanie krew swoją miesza*li*.★

Oszołomieni, nie przestawaliśmy zadawać sobie pytania: dlaczego tak bardzo nienawidzimy Niemców, wciąż im wypominając zarówno teutońską agresję sprzed siedmiu wieków za panowania Aleksandra Newskiego jak i ostatnią wojnę? Dlaczego nie możemy zapomnieć o grabieżach polskich i szwedzkich najeźdźców trzy i pół wieku temu? Nie mówiąc już o Tatarach... A dlaczego straszliwa katastrofa roku 1812 nie naruszyła naszej opinii o Francuzach? Czy nie z powodu elegancji wystawiania się, z powodu „turnieju rozgrywanego bez nienawiści”?

Przede wszystkim jednak to „coś, nie wiedzieć co francuskiego” należało przypisać obecności kobiety, Aleksandry, skupiającej na sobie dyskretną uwagę, pozdrawianej w każdym przemówieniu ze znacznie bardziej umiarkowaną grandilokwencją niż jej małżonek, lecz z tym większą kurtuazją. I nawet w murach Akademii Francuskiej, gdzie krztusiliśmy się od zapachu starych mebli i opasłych tomów, owo „coś, nie wiedzieć co francuskiego” pozwalało jej zachować wdzięk. Tak, była kobieca nawet w otoczeniu starców, których podejrzewaliśmy o zgryźliwość, pedanterię i częściową głuchotę z racji krzaczastych włosków w uszach. Jeden z tych wiekowych panów, dyrektor, wstał i z zasepioną miną zapowiedział otwarcie sesji... Po czym umilkł, chyba

skupiając się przed wystąpieniem, które — byliśmy tego pewni — rychło da odczuć słuchaczom, jak twarde są drewniane fotele. Woń kurzu zgęstniała. Stary dyrektor uniósł głowę — iskierka przebiegłości błysnęła w jego oczach — przemówił:

— Sire, Madame! Przed niespełna dwustu laty Piotr Wielki zjawił się niespodziewanie w tym oto miejscu, gdzie zbierają się członkowie Akademii, i wziął udział w ich pracach... Wasza Wysokość czyni nam dziś podwójny zaszczyt, nie przychodząc samotnie — tu skłonił się przed Carową. — Pani obecność, Madame, przyda naszym poważnym obradom tego, co niezwykle... wdzięku.

Mikołaj i Aleksandra wymienili szybkie spojrzenia. Mówca zaś, stwierdziwszy zapewne, że pora przejść do rzeczy zasadniczej, wzmocnił głos, kierując do siebie pytanie na sposób bardzo retoryczny.

— Czyż wolno mi to powiedzieć? Okazana życzliwość Waszej Wysokości nie odnosi się tylko do Akademii, lecz i do języka naszego narodu... który nie jest dla Waszej Wysokości językiem obcym; odczuwa się w tym chęć bliższego poznania predylekcji francuskich i francuskiej mentalności...

„Język naszego narodu!” Tknięci tą samą myślą, siostra i ja porozumieliśmy się wzrokiem ponad czytaną przez babkę gazetą: ...„który nie jest dla Waszej Wysokości językiem obcym”. A więc to jest klucz do naszej Atlantydy! Język, tajemnicza materia, niewidzialna i wszechobecna, której naturalna dźwięczność sięga do wszystkich

zakątków uniwersum, jakie właśnie odkrywaliśmy. Język kształtujący ludzi, rzeźbiący przedmioty, użyźniający poezję, krzyczący na ulicach opanowanych przez tłum, język wywołujący uśmiech młodej carycy przybyłej z końca świata... Czuliśmy, jak pulsuje w naszych sercach niby cudowny przeszczep, wypuszczający już liście i kwiaty, niosący w sobie owoc całej cywilizacji. Tak, ten przeszczep, język francuski.

I dzięki tej gałązce, która się w nas rozwinęła, weszliśmy wieczorem do loży przeznaczonej dla carskich gości w Komedii Francuskiej. Zajrzeliśmy do programu. *Kaprys Musseta*, fragmenty *Cyda*, trzeci akt *Uczonych białogłów*. Nie znaleźliśmy dotychczas żadnej z tych sztuk. Ale drobna zmiana w tonie głosu babki pozwoliła nam odgadnąć, jakie znaczenie miały owe tytuły dla mieszkańców Atlantydy.

Kurtyna poszła w górę. Cały zespół w ceremonialnych strojach był na scenie. Najstarszy wiekiem aktor postąpił naprzód, skłonił się i zaczął recytować. Nie od razu zrozumieliśmy, o jakim kraju mówi.

Jest pewien kraj rozległy jak glob, kraj dorodny,
Gdzie daleki horyzont końca nie mieć zda się,
Kraj o duszy żywotnej, płodnej,
Z dawna wielki, a jeszcze większy w przyszłym czasie.

Ma śnieg najbielszy, zboża, które zlocą niebo,
Synów kroczących pewnie — czy wódz, czy żołnierze.
Niech nad nim, nad dziewiczą jego glebą
Czuwa łaskawy los, niech czystych plonów strzeże!★

Po raz pierwszy w życiu oglądałem mój kraj od zewnątrz, z daleka, jak gdybym już do niego nie przynależał. Przeniesiony do wielkiej europejskiej stolicy, odwracałem się, by ogarnąć zachwyconym wzrokiem pola zbóż i śnieżne równiny w blasku księżyca. Widziałem Rosję oczyma Francuza! Byłem gdzie indziej, poza granicami mego rosyjskiego życia. I to rozdarcie było tak ostre, a jednocześnie podniecające, że przymknąłem powieki. Bałem się, że nie potrafię wrócić do siebie, że zostanę w tym wieczorze paryskim. Mrużąc oczy odetchnąłem głęboko. Owionął mnie znów ciepły wiatr nocnego stepu.

Pewnego dnia postanowiłem ukraść babce jej magię. Chciałem ubiec Charlotte'ę, znaleźć się przed nią w świętującym mieście i nie czekając, aż turkusowy abażur roztoczy swój zaczarowany krąg, dołączyć do cesarskiego orszaku.

Był to szary, nijaki dzień letni, bezbarwny i smutny — jeden z tych, które, o dziwo, pozostają w pamięci. Pachnący wilgotną ziemią wiatr szarpał firanką w otwartym oknie — biały tiul to wydymał się, to opadał, wpuszczając do pokoju jakąś niewidzialną istotę. Uszczęśliwiony samotnością, zabrałem się do realizowania mego planu. Na dywan przed łóżkiem wyciągnąłem syberyjską walizę. Zamki ustąpiły z cichym szcękaniem, który słyszeliśmy co wieczór. Uniosłem wieko i pochyliłem się nad starymi papierami niczym korsarz nad skarbem ukrytym w kufrze...

Rozpoznałem niektóre zdjęcia leżące na samym wierzchu: Car i Caryca przed Panteonem, Car i Caryca nad brzegiem Sekwany. Nie, to, czego szukałem, musiało znajdować się głębiej, pod grubym złożem gazet szerniałych od znaków drukarskich. Ze starannością archeologa usuwałem jedną warstwę po drugiej. Mikołaj i Aleksandra ukazali mi się w miejscach, których nie znałem. Kolejna warstwa i straciłem ich z oczu. Zobaczyłem natomiast długie pancerniki na pełnym morzu, zabawne samoloty z krótkimi skrzydłami, żołnierzy w okopach. W pogoni za carską parą przekopywałem się dalej, bezładnie rozrzucając wycinki prasowe. Mignął mi przed oczyma Car na koniu, z ikoną w ręku, przed szeregiem klęczących piechurów... Postarzał się, posmutniał. Ja zaś chciałem znów zobaczyć bohatera entuzjastycznych wierszy, młodego monarchę u boku pięknej Aleksandry i wiwatujący tłum.

Wreszcie na samym dnie walizy trafiłem na jego ślad. Wielkie czcionki tytułu nie budziły wątpliwości, o kogo chodzi: „Chwała Rosji!” Rozłożyłem gazetę na kolanach, jak to robiła Charlotte, i półgłosem zacząłem sylabizować:

Och! ta nowina serca rozwesela —
Patrzcie, na niebie rozbłyskuje tęcza,
Skoro już w gruzach legła cytadela,
W której niewolnik z bólu jęczał!

Oto lud dumnie w górę podniósł czoło
I z pochodniami w dłoni rażno kroczy;
Flagi rozwieście, przyjaciele, w kolo
I cieszcie wielkim świętem oczy!★

Dopiero gdy doszedłem do refrenu, zatrzymałem się ogarnięty z wątpieniem. „Chwała Rosji!”? Ale gdzie jest ten kraj jaśniejący pozłotą łąnów, biały białością śniegu? Kraj płodnego ducha? Co w nim robi niewolnik jęczący z bólu? I kim jest tyran, którego upadek celebryje się z takim zapalem?

Zbity z tropu przeczytałem refren:

Ludu Rosji i żołnierze,
Bądźcie, bądźcie zdrowi!
Przynosicie ocalenie
Swojemu krajowi!
Wołać bądźcie też gotowi:
Chwała, cześć i pozdrowienie
Naszemu parlamentowi,
Który z myślą o przyszłości
Zrywa z naszych rąk okowy.★

Nagle rzuciły mi się w oczy wielkie litery tekstu zamieszczonego nad wierszami:

**ABDYKACJA MIKOŁAJA II. REWOLUCJA: ROK 1789
W ROSJI. ROSJA ODNAJDUJE WOLNOŚĆ. KIERENSKI —
ROSYJSKI DANTON. BASTYLIA ROSYJSKA, WIĘZIENIE
PIOTRA I PAWŁA, ZDOBYTA. KONIEC SYSTEMU AUTO-
KRATYCZNEGO...**

Większość słów nic mi nie mówiła. Uchwyciłem tylko ich sens. Mikołaj nie był już carem, a jego upadek spowodował wybuch szalonej radości tych, którzy jeszcze wczoraj wieczorem wiwatowali na jego cześć, życząc mu długich, pomyślnych lat panowania. Przecież doskonale pamiętałem poemat Heredii, pobrzmiwający jeszcze echem na naszym balkonie.

Francję i Ruś twój Ojciec złączył najlaskawiej
Więzią wspólnej nadziei, nićmi braterskimi —
Dziś twoje i twojego Ojca święte imię,
Carze, słuchaj, jak Francja i Ruś błogosławi. ★

Podobny obrót sprawy wydał mi się wprost niepojęty. Nie mogłem uwierzyć w tak podłą zdradę. Zwłaszcza w zdradę popelnioną przez Prezydenta Republiki!

Trzasnęły drzwi wejściowe; zgarnąłem w pośpiechu papiery, zamknąłem walizę i wepchnąłem ją pod łóżko.

Wieczorem, jako że padał deszcz, Charlotte zapaliła lampę w pokoju. Usiedliśmy koło niej jak podczas wieczornych pogawędek na balkonie. Słuchałem jej opowieści. Mikołaj i Aleksandra w loży oklaskujący *Cyda*. Obserwowałem ich twarze smutne i zawiedzione. Znałem już ich przyszłość. Brzemię tej wiedzy przytłaczało moje dziecięce serce.

„Gdzie jest prawda?” — pytałem samego siebie w roztargnieniu śledząc babciną historię (Car i Caryca wstają, publiczność obraca się ku nim, wznosi okrzyki). „Ci widzowie będą ich wkrótce przeklinać. I nic nie zostanie z tych kilku świętecznych dni! Nic!” ...

Zakończenie, którego niestety byłem już świadomy, uznałem nagle za tak absurdalne i niesprawiedliwe, zwłaszcza w szczytowym momencie święta, w rześście oświetlonej Komedii Francuskiej, że rozbeczałem się i, odpychając taboret, uciekłem do kuchni. Nigdy jeszcze nie wylałem tylu łez. Odtrącałem z wściekłością ręce siostry,

kiedy usiłowała mnie pocieszać (miałem żal do niej, choć ona nic nie wiedziała!). Szlochając wykrzykiwałem z rozpaczą:

— To wszystko fałsz! Zdrajcy, zdrajcy! To kłamca ten z wężami... ten Prezydent... Ohyda... Kłamstwa...

Nie wiem, czy Charlotte domyśliła się przyczyny mojej desperacji (zapewne zauważyła bałagan w walizie syberyjskiej, może nawet wpadła jej w oko ta prorocza stroniczka gazety). W każdym razie była poruszona moim nieoczekiwanym atakiem płaczu. Siadła przy łóżku, chwilę wsłuchiwała się w moje spazmatyczne westchnienia, potem chwyciła mnie w ciemności za rękę i wsunęła w nią chropowaty kamyczek. Zacisnąłem go w pięści. Nie otwierając oczu, dotykiem rozpoznałem „Verdun”. Od tej pory należał do mnie.

4

Pod koniec wakacji opuszczaliśmy dom babki. Atlantyda zacierała się wówczas w mgłach jesiennych i burzach śniegowych — w naszym rosyjskim życiu.

Albowiem miasto, do którego wracaliśmy, nie było w niczym podobne do cichej Saranzy. Półtoramilionowe miasto rozciągało się po obu brzegach Wołgi, jego zakłady zbrojeniowe, szerokie ulice, wielkie bloki mieszkalne w stylu stalinowskim — mówiły o potędze imperium. Gigantyczna wołżańska elektrownia wodna i metro w budo-

wie, ogromny port rzeczny harmonizowały z *image* naszego ziomka: triumfował on nad siłami natury, żył dla promiennej przyszłości i w swym dynamicznym wysiłku nie dbał o błahe ślady przeszłości. Co więcej, nasze miasto, ze względu na produkcję swych fabryk, było zamknięte dla cudzoziemców... Tak, w tym mieście bardzo wyraźnie wyczuwało się puls imperium.

Po powrocie z wakacji natychmiast poddawaliśmy się temu rytmowi: zmieniał się nasz sposób bycia i myślenia. Oddychaliśmy śnieżnym oddechem ojczyzny. Ani mojej siostrze, ani mnie przeszczep francuski nie utrudniał podjęcia egzystencji, jaką wiedli nasi koledzy; język rosyjski znów stawał się językiem codziennym, szkoła formowała nas na wzór młodych sowieckich modeli, gry paramilitarne oswajały nas z zapachem prochu, z wybuchem ćwiczebnych granatów, z myślą o zachodnim wrogu, którego kiedyś trzeba będzie pokonać.

Wieczory na balkonie babki uważaliśmy już tylko za dziecinne rojenia. A kiedy na lekcjach historii nauczyciel mówił o Mikołaju II, nazywanym przez lud Krwiopijcą, ten mityczny kat nie kojarzył nam się z młodym monarchą oklaskującym *Cyda*. Nie, ci dwaj wcale się nie znali.

Pewnego dnia jednak, raczej przypadkowo, zestawilem z sobą te dwie postaci: nie pytany zacząłem opowiadać o Mikołaju i Aleksandrze, o ich wizycie w Paryżu. Wyrwałem się tak niespodziewanie i podawałem takie mnóstwo szczegółów biograficznych, że zbiłem z pantafelku nau-

czyciela, a klasa zareagowała oburzeniem i szyderstwem; uczniowie wahali się, czy uznać moje wystąpienie za prowokację, czy za zwykłe majaczenie. Nauczyciel zdążył w porę opanować sytuację.

— To car był odpowiedzialny za straszliwą masakrę na polu Chodynki — mówił akcentując każde słowo — tysiące ludzi zostało zmiażdżonych. To car kazał otworzyć ogień do pokojowej manifestacji 9 stycznia 1905 roku: setki ofiar. To jego reżym winien jest tragedii nad Leną: sto dwie osoby zabite. I nie bez powodu wielki Władimir Iljicz Uljanow nazwał siebie Leninem: chciał w ten sposób napiętnować zbrodnię caratu!

Ale gwałtowny ton profesorskiej diatryby nie zrobił na mnie takiego wrażenia, jak wątpliwości, które zrodziły się w mojej głowie podczas pauzy, gdy koledzy zaczęli się ze mnie wyśmiewać. („Spójrzcie tylko! Przecież on nosi koronę, ten car!” — wołał jeden z napastników, ciągnąc mnie za włosy). Mój problem wydawał się pozornie bardzo prosty. „Tak, wiem, był to krwawy tyran, nie inaczej piszą o nim w naszych podręcznikach. Co jednak począć ze świeżym wiatrem wiejącym nad Sekwaną, co począć z dźwięcznymi poematami, które pachnący morzem wiatr unosi z sobą, co począć ze zgrzytem złotej kielni na granicie, z tamtym odległym dniem? Ponieważ przeżywam jego atmosferę tak intensywnie!”

Nie, nie chodziło mi o zrehabilitowanie Mikołaja II. Wierzyłem podręcznikom i nauczycielowi. Ale co z paryskim dniem, z wiatrem, ze słoneczną aurą? Gubiłem się w tych rozważaniach —

ni to w myślach, ni to w obrazach. Odpychając rozbawionych kolegów, których kpiny mnie ogłuszały, zacząłem im nagle zazdrościć. „Jak to dobrze nie czuć w sobie tamtego wietrznego dnia, ciężaru przeszłości pozornie całkiem zbędnej. Tak, mieć tylko jedno spojrzenie na życie. Nie patrzeć na nie tak, jak ja patrzę”.

Ostatnia myśl wydała mi się do tego stopnia niezwykła, że przestałem bronić się przed atakami kolegów. Obróciłem się do okna, za którym leżało ośnieżone miasto. A więc ja widziałem wszystko inaczej. Czy to przywilej? Czy też handicap, ułomność? Nie umiałem na to odpowiedzieć. Sądziłem, że potrafię wytłumaczyć moje podwójne widzenie, uciekając się do pomocy obu języków. Istotnie, gdy wymawiałem po rosyjsku car, stawał przede mną okrutny tyran, natomiast słowo car wymawiane po francusku wypełniało się jasnością, radosnym zgiełkiem, wiatrem, blaskiem żyrandoli, ciepłem nagich kobiecych ramion, mieszaniną perfum, niepowtarzalnym urokiem naszej Atlantydy. Zrozumiałem wtedy, że trzeba ukryć to drugie spojrzenie na rzeczy, bo może ono wywołać jedynie śmiech otoczenia.

Tajemniczy sens słów objawił mi się raz jeszcze w okolicznościach równie tragikomicznych, jak podczas lekcji historii.

Stałem przed sklepem spożywczym w długiej kolejce. Dopadłszy progu, ludzie klębili się we wnętrzu. Sprzedawano zapewne jakiś produkt

rzadko dostępny zimą, pomarańcze lub całkiem zwyczajnie jabłka, nie pamiętam. Przekroczyłem już limit psychologiczny najważniejszy w czasie oczekiwania: drzwi sklepu, za którymi szurały jeszcze po brudnym śniegu dziesiątki osób. W tej właśnie chwili nadbiegła moja siostra; we dwójkę mieliśmy prawo do podwójnej ilości racjonowanego towaru.

Nie zrozumieliśmy, co sprowokowało nagły gniew tłumu. Stojący za nami myśleli chyba, że siostra chce wcisnąć się do kolejki — zbrodnia to niewybaczalna! Rozległy się okrzyki protestu, zwarto szeregi, otoczyły nas groźne twarze. Na nic się zdało przekonywanie, że jesteśmy rodzeństwem. Tłum nigdy nie przyznaje się do błędu. Ludzie czekający na ulicy sarkali najgłośniej, nie bardzo wiedząc, na kogo się oburzają. A że każdy masowy ruch w sposób absurdalny powiększa zasięg swego wysiłku, mnie teraz wypychano z kolejki. Wąz ludzki drgnął, zeszywniały plecy. Jedno szarpnięcie i znalazłem się za drzwiami obok siostry, naprzeciw zwartego kręgu zaciętych w nienawiści twarzy. Staralem się odzyskać moje miejsce, ale łokcie niby tarcze utworzyły mur nie do przebycia. Rozjątrzony, z drżącymi wargami, napotkałem spojrzenie siostry. Na pół świadomie uzmysłowiłem sobie, jak niewiele trzeba, żeby nas zranić. Piętnastoletnia wówczas siostra nie miała jeszcze atutów młodej kobiety, a straciła już atuty dziecka, mogącego roztkliwić zaślepiony tłum. Podobnie ja, o półtora roku od niej młodszy, nie dysponowałem siłą agresji nastolatków. Zosta-

liśmy zatem w tyle, żywiąc nadzieję, że uda nam się przesunąć bodaj o kilka metrów bliżej. Ale nasz widok kolejka zaciskała się i niebawem znaleźliśmy się daleko za progiem, na topniejącym śniegu. Chętnych wciąż przybywało, pomimo ostrzeżeń sprzedawczyni: „Hej, wy tam za progiem, nie macie na co czekać, dla wszystkich nie starczy!”.

Powlekliśmy się na sam koniec kolejki, zahipnotyzowani anonimową potęgą tłumu. Bałem się podnieść wzrok, poruszyć, rozdygotane ręce wsunąłem w kieszenie. Głos siostry dobiegł mnie wtedy jakby z innej planety — parę słów zabarwionych uśmiechniętą melancholią.

— Pamiętasz, *bartavelles et ortolans truffés rôtis...*?

I zachichotała cichutko.

Patrząc na jej bladą twarz, w oczy odbijające zimowe niebo, wciągnąłem w płuca nowe powietrze — powietrze Cherbourga, pachnące słoną mgłą i wilgocią kamieni na plaży, rozdzierane przenikliwym piskiem mew nad nieskończonym oceanem. Oślepiło mnie to na chwilę. Kolejka posuwała się naprzód, popychając mnie ku drzwiom. Dawałem się popychać, nie tracąc z oczu tamtej świetlistej wizji.

Bartavelles et ortolans... Uśmiechnąłem się, mrugając porozumiewawczo do siostry. Nie, nie czuliśmy się lepsi od reszty kolejkowiczów. Byliśmy podobni do nich, może nawet żyliśmy skromniej niż wielu z nich. Wszyscy należeliśmy do tej samej klasy: do mieszkańców dużego przemys-

lowego miasta, drepczących przed sklepem w nadziei, że załadujemy do toreb dwa kilogramy pomarańczy.

A jednak na dźwięk tych magicznych francuskich słów z bankietu w Cherbourgu doznałem wrażenia, że jest między nimi i nami pewna różnica. Nie z powodu mojej erudycji (wtedy jeszcze nie miałem pojęcia, co to takiego ortolany i skalne kuropatwy). Po prostu chwila, która we mnie trwała — z mglistym światłem, z morską wonią — sprawiła, że wszystko stało się relatywne. Miasto w całej swej stalinowskiej okazałości, denerwujące oczekiwanie w kolejce i wzburzenie tępego tłumu. Rzecz dziwna, zamiast złościć się na tych ludzi, zacząłem im współczuć: nie mogli oni, z lekka przy-mrużywszy powieki, znaleźć się w tamtym dniu pełnym świeżego zapachu alg, krzyku mew, zamglonego słońca. Ogarnęła mnie przemożna chęć, by im to powiedzieć. Ale jakich słów użyć? Musiałbym wymyślić nowy język, a na razie znalazłem z niego tylko pierwsze wyrazy: *bartavelles et ortolans*.

5

Po śmierci pradziadka Norberta biały bezmiar Syberii z wolna zamykał się za Albertyną. Oczywiście, kilka razy odwiedzała Paryż, zabierając z sobą córkę. Ale planeta śniegów nigdy nie oddaje dusz zniewolonych przestrzenią bez granic, czasem uśpionym.

Wizyty w Paryżu były zresztą zaprawione goryczą i tego babka w swych opowieściach nie potrafiła ukryć. Czyżby jakieś niesnaski rodzinne, których przyczyn nie znaleźliśmy? A może bardzo europejski chłód okazywany przez bliskich, nie do przyjęcia dla nas, Rosjan, z naszym wybujałym kolektywizmem? Albo też całkiem zrozumiała postawa skromnych ludzi wobec jednej z czterech sióstr, czarnej owcy, awanturnicy, która zamiast pięknych marzeń przywoziła z sobą za każdym razem lęk przed dzikim krajem i własnym rozbitym życiem.

Tak czy owak, naszej uwagi nie uszedł fakt, że Albertyna wolala mieszkać u brata w Paryżu niż w rodzinnym domu w Neuilly.

Ilekcroć wracała do Rosji, ulegała coraz bardziej wrażeniu, że Syberia staje się jej fatum, nieuniknionym przeznaczeniem. Ze złodowaciałą ziemią wiązała ją nie tylko mogiła Norberta, wiązało ją także mroczne rosyjskie bytowanie, ta odurzająca trucizna, która wsiąkała w jej żyły.

Kiedy umarł Norbert Lemonnier, ogólnie znany i szanowany w mieście lekarz, wdowę po nim zaczęto traktować jak obcą, jak Francuzkę nie mogącą zdecydować się na wyjazd do swego kraju. Co gorsza, zawsze stamtąd wracała.

Była jeszcze zbyt młoda i ładna, aby nie wzięła jej na języki towarzyska śmietanka Bojarska. I zbyt się od nich różniła, by mogli ją przyjąć do swego grona. A wkrótce również stała się zbyt uboga, by utrzymywać z nią kontakty.

Charlotte zauważyła, że po każdej podróży do

Francji przenosiły się do coraz mniejszych mieszkań. Na pensji, gdzie przyjęto ją dzięki wstawienictwu jednego z byłych pacjentów ojca, mówiono o niej „ta mała Lemonnier”. Pewnego dnia dama klasowa, jak tytułowano przed rewolucją wychowawczyni, wezwała dziewczynkę do tablicy, ale nie po to, by przepisać ją z lekcji... Spojrzała na nogi Charlotte’y i ze wzgardliwym uśmiechem zapytała:

— A w cóż to się panna obuła, mademoiselle Lemonnier?

Trzydzieści uczennic podniosło się z ławek, wyciągnęło szyje i wytrzeszczyło oczy. Na dobrze wypastowanym parkiecie stała panna Lemonnier w filcowych kapcach własnej roboty. Przygwożdżona przez te wszystkie spojrzenia, zwiesiła głowę i mimo woli podkurczyła duże palce u stóp — miała niewątpliwie ochotę podkurczyć też obie nogi...

Mieszkały wówczas w starej „izbie” na peryferiach miasta. Dziewczynki nie dziwiło, że matka niemal bez przerwy wyleguje się na wysokim chłopskim łóżku za kotarą. Kiedy Albertyna wstawała, w oczach jej, choć szeroko rozwartych, pełgały czarne strzępy snów. Nie starała się już uśmiechać do córki. Miedzianą chochlą czerpała wodę z wiadra, piła długo i znów się kładła. Charlotte od dawna wiedziała, że utrzymuje je przy życiu blask kilku klejnotów ze szkatułki inkrustowanej masą perłową...

Lubiła tę „izbę” oddaloną od pięknych dzielnic Bojarska. Na wąskich, krętych, zaśnieżonych

uliczkach ich ubóstwo mniej rzucało się w oczy. Poza tym przyjemnie było po przyjsciu ze szkoły wspinać się na stary drewniany ganek, trzeszczący pod jej krokami, mijać ciemną sień, której bierwionowe ściany pokrywał szron, popychać ciężkie drzwi, które ustępowały wydawszy krótki jęk. A w pokoju przyjemnie było posiedzieć chwilę nie zapalając lampy, wyjrzeć przez małe okienko zasnutę fioletowym zmierzchem, posłuchać, jak podzwaniają szyby, gdy wiatr obrzuca je śniegiem. Oparta plecami o szeroki bok wielkiego pieca czuła, jak ciepło z wolna rozchodzi się pod jej paltem. Skostniałe z zimna ręce przykładala do gorących kamieni — piec wydawał się ogromnym sercem starej chaty. Na podszwach filcowych kapców topniały ostatnie brylki lodu.

Rozkruszyła kiedyś pod nogą taką bryłkę lodu i zdziwiła się: od pół godziny była w domu, palto i czapka zdążyły już na dobre wyschnąć, a kruszony lód wydał jakiś inny dźwięk. A może ten lód...? Pochyliła się, żeby go zgarnąć. Był to kawałek szkła, bardzo cienkiego szkła, z jakiego robi się ampułki...

Tak oto przerażające słowo *m o r f i n a* weszło w jej życie. I wyjaśniło ciszę za kotarą, cienie w oczach matki, Syberię absurdalną i nieuniknioną jak los...

Albertyna nie miała już nic do ukrycia przed córką. To Charlotte'ę widywano odtąd w aptece. „Przyszłam po lekarstwo dla pani Lemonnier” — bąkała nieśmiało.

Do domu wracała zawsze samotnie przez roz-

ległe, nie zabudowane tereny, które dzieliły ich osiedle od ostatnich ulic miasta ze sklepami i latarniami. Na tym martwym pustkowiu często szalała śnieżna zamieć. Charlotte, zmęczona walką z wiatrem siekącym kryształkami lodu, ogłuszona jego wyciem, zatrzymała się pewnego wieczoru pośrodku białej pustyni, plecami do wiatru, wpatrzona w zawrotny taniec białych płatków. Intensywnie odczuła swoje życie, ciepło wychudzonego ciała, skupionego w maleńkim „ja”. Czowała łaskotanie kropli, która ześlizgnęła się na szyję z nausznika czapki, czuła bicie swego serca, a przy sercu kruchą ampulkę, którą dopiero co kupiła. „To ja — odezwał się jakiś wewnętrzny stłumiony głos. — Jestem tutaj, wśród zawiei śnieżnej, na krańcach świata, w Syberii, ja, Charlotte Lemonnier, i nie mam nic wspólnego z tym dzikim krajem, z tutejszym niebem, ze złodowaciałą ziemią, z ludźmi. Jestem sama i niosę morfinę dla mamy”... Miała wrażenie, że jej umysł waha się przed pograżeniem się w otchłani, gdzie ten cały ujawniony absurd stanie się naturalny. Otrząsnęła się; nie, pustynia syberyjska musi się gdzieś kończyć, a tam dalej jest miasto, są szerokie aleje, wysadzone kasztanami, oświetlone kawiarnie, mieszkanie wuja i te wszystkie książki otwierające się na słowach jakże drogich przez sam wygląd czcionek. Tam jest Francja...

Miasto z alejami w cieniu kasztanów przeobraziło się w delikatny złocisty cekin połyskujący

w jej spojrzeniu, ale nikt tego nie zauważał. Charlotte ukrywała ten blask starannie, nawet gdy przyglądała się pięknej broszce zdobiącej suknię młodej panny, wyniośle i kapryśnie uśmiechniętej — siedziała ona we wspaniałym fotelu pośrodku wielkiego, elegancko umeblowanego pokoju, z jedwabnymi zasłonami w oknach.

— *La raison du plus fort est toujours meilleure* — wycedziła przez zęby młoda osóbką.

— *...est toujours la meilleure* — skorygowała ją dyskretnie Charlotte i spuściwszy wzrok dorzuciła: — Bardziej poprawnie brzmi *meilleure* niż *meillaire*. *Meill-eu-eure...*

Zaokrągliła wargi i przeciągała sylabę kończącą się aksamitnym r. Dziewczyna podjęła z nadąsaną miną:

— *Nous l'allons vous montrer tout à l'heure...*

Była to córka gubernatora Bojarska. W każdą środę Charlotte dawała jej lekcje francuskiego. Początkowo miała nadzieję, że zaprzyjaźni się z tą rozpieszczoną pannicą, niewiele od niej starszą. Straciwszy na to nadzieję, starała się już tylko dobrze wykonywać swoje obowiązki. Nie docierały do niej przelotne drwiące spojrzenia uczennicy, wysłuchiwała recytacji, od czasu do czasu robiła jakieś uwagi z oczyma utkwionymi w pięknej broszce z bursztynu. Jedynie córce gubernatora wolno było na pensji nosić sukienkę z otwartym kołnierzykiem spiętym broszką. Charlotte pilnie wychwytywała wszystkie błędy w akcentowaniu i w gramatyce. W złocistej głębi bursztynu wyrastało miasto w jesiennej szacie. Wiedziała, że przez

całą godzinę musi znosić drobne uszczypliwości, jakich nie szczędzi jej to duże, pulchne, ślicznie ubrane dziecko. Potem w kącie kuchni odbierze z rąk pokojówki pakuneczek z resztkami śniadania, a na ulicy będzie czyhać na okazję, by znaleźć się sam na sam z aptekarką i wymamrotać: „Poproszę lekarstwo dla pani Lemonnier...” Lodowaty wiatr pustych terenów szybko pozbawi jej palto tej odrobiny ciepła, ukradzionego w aptece.

Kiedy Albertyna pojawiła się na ganku, dorożkarz zmarszczył brwi i uniósł się z kozła. Tego się nie spodziewał. Chatę pokrywał zapadający się dach, spróchniały ganek zarastał pokrzywą. No i to osiedle z uliczkami zasypianymi szarym piaskiem...

Drzwi otworzyły się i w ich wypuczonym obramowaniu ukazała się kobieta w długiej sukni, doskonale skrojonej, podobnej do tych, jakie dorożkarz widywał tylko na eleganckich damach wychodzących wieczorem z teatru w centrum Bojarska. Zwinięte w kok włosy osłaniał kapelusz. Wiosenny wiatr poruszał woalkę zarzuconą na szerokie, wdzięcznie wygięte rondo kapelusza.

— Jedziemy na dworzec! — zawołała, jeszcze bardziej zdumiewając dorożkarza dźwięcznym i obcym brzmieniem głosu.

— Na dworzec — powtórzyła dziewczynka, która sprowadziła go tu z miasta. Ona z kolei mówiła biegle po rosyjsku, z lekkim syberyjskim akcentem.

Charlotte wiedziała, że pojawienie się Albertyny na ganku poprzedziła długa i bolesna walka, przerywana kilkoma upadkami. Przypominało to walkę człowieka tonącego w pokrytej krą rzece. Charlotte zobaczyła go przechodząc przez most w pewien wiosenny dzień. Uczepiony długiej żerdzi, którą ku niemu popychano, czołgał się po śliskim brzegu, posuwał się na brzuchu centymetr po centymetrze i już wyciągał zaczerwienioną rękę do ratowników, gdy nagle drgnął i zaczął osuwać się w czarną wodę. Uniósł go prąd i trzeba było całą akcję zacząć od nowa...

Ale w tamto letnie popołudnie, pełne światła i zieleni, obie czuły się lekko i swobodnie.

— A duża waliza? — wykrzyknęła Charlotte, kiedy usadowiły się w dorożce.

— Zostawimy ją. Są w niej tylko stare papiery i gazety twego wujaszka... Kiedyś po nią przyjdziemy.

Minęły most, minęły dom gubernatora. Syberyjskie miasto odchodziło już w dziwną przeszłość, kiedy łatwo przebaczać z uśmiechem...

Tak, właśnie tym spojrzeniem pozbawionym urazy spojrzą na Bojarsk zadomowione w Paryżu. A gdy latem Albertyna postanowi wrócić do Rosji (żeby definitywnie zamknąć syberyjski okres swego życia, jak sądzili jej bliscy), Charlotte nawet trochę jej pozazdrości: ona także chciałaby po być tydzień czy dwa w mieście rojącym się od postaci z przeszłości, w mieście, którego domy

nie wyłączając ich chaty, stały się pomnikami dawnych czasów. W tym mieście nic nie mogłoby ich zranić.

— Mamo, nie zapomnij sprawdzić, czy myszy jeszcze się gnieźdzą koło pieca, pamiętasz? — wołała do matki stojącej w oknie wagonu.

Działo się to w lipcu 1914 roku. Charlotte miała lat jedenaście.

Życie jej nie doznało rozdarcia. Tylko ostatnie zdanie — „Nie zapomnij o myszach!” — wydawało jej się z biegiem czasu coraz głupsze, dziecinne. Należało milczeć, uważnie przypatrywać się matce stojącej w oknie wagonu, napełnić oczy rysami jej twarzy. Miesiące, lata upływały, a ostatnie słowa rozbrzmiewały wciąż tym głupim szczęściem. Oczekiwanie było jedynym wyznacznikiem czasu Charlotte’y.

Ów czas („czas wojenny” — pisały dzienniki) był jak szare niedzielne popołudnie na opustoszałych, wyludnionych uliczkach prowincjonalnej miejsciny; podmuch wiatru wypadał z za rogu domów, wzbijał tumany pyłu, gdzieś trzaskała lekko okiennica, człowiek łatwo zatracą się w takiej bezbarwnej aurze, znika bez powodu.

Tak zniknął wuj Charlotte’y — „padł na polu chwały”, „poległ za Francję” — według prasowych formułek. I za sprawą tej figury retorycznej jego nieobecność jeszcze bardziej zbijała z tropu — niczym zostawiony na biurku ołówek, we tknięty w temperówkę czy parę cienkich ostrużyn

nie uprzątanym, odkąd wyjechał. Pustoszał też stopniowo dom w Neuilly — kobiety i mężczyźni pochylali się, żeby uścisnąć Charlotte'ę i z poważną miną przypominali, że powinna być grzeczna.

Dziwny czas miewał swoje kaprysy. Rejestrował zdarzenia z szybkością taśmy filmowej w kinach z epoki: któraś z ciotek wkładała białą suknię i otoczona krewnymi drobnym kroczeniem ruszała do kościoła, gdzie czekał wąsaty mężczyzna z gładko wypomadowaną czupryną. I niemal zaraz potem — w pamięci Charlotte'y poślubiona para nawet nie zdążyła odejść od ołtarza — młoda żona przywdziewała żałobę i nie mogła podnieść oczu ciężkich od łez. Można by pomyśleć, że względu na szybkość dokonywanych zmian, że już na progu kościoła ciotka była sama, w ciężkiej żałobie, osłaniająca przed słońcem zaczerwienione oczy. Dwa dni zlewały się w jeden dzień, jaśniejący pogodnym niebem, ożywiony głosem dzwonów i letnim wiatrem, który jakby przyspieszał kroki wchodzących i wychodzących gości. I ten sam ciepły powiew wiatru zarzucał na twarz młodej kobiety to biały welon ślubny, to czarną wdowią krepę.

Nieobliczalny czas odzyskał później swój zwykły rytm, a narzucały go bezsenne noce i długie procesje okaleczonych ciał. Godziny odbijały się teraz echem w obszernych salach liceum w Neuilly, przerobionych na szpital. Tam po raz pierwszy poznała męskie ciało rozszarpane pociskami i krwawiące. Nocne niebo tamtych lat na zawsze

zachowało bladą potworność dwóch niemieckich zeppelinów wiszących między stalagmitami reflektorów.

Nadszedł wreszcie dzień 14 lipca 1919 roku, kiedy nieprzeliczone szeregi żołnierskie przeciągały ulicami Neuilly w drodze do stolicy. Buńczuczni, zapięci na ostatni guzik, w wypucowanych butach — wojna przybierała znów wygląd parady. Czy wśród maszerujących był żołnierz, który wcisnął w rękę Charlotte'y mały brunatny kamyk, odłamek zardzewiałego pocisku? Czy zostali kochankami, narzeczonymi?

Spotkanie to w niczym nie zmieniło decyzji podjętej przez nią parę lat wcześniej. Przy pierwszej okazji, okazji cudownej, wyjechała do Rosji. Żadna łączność nie istniała jeszcze między Francją i krajem zdewastowanym wojną domową. Był rok 1921, Misja Czerwonego Krzyża przygotowywała ekspedycję w rejony nadwołżańskie, gdzie z głodu umierały tysiące ludzi. Charlotte'ę przyjęto w charakterze pielęgniarki. Jej kandydaturę natychmiast zatwierdzono, niewiele osób zgłaszało się na ochotnika. A co najważniejsze, Charlotte mówiła po rosyjsku.

Tam właśnie poznała prawdziwe piekło. Z daleka wydawało się, że to spokojne rosyjskie wioski — „izby”, studnie, opłotki — majaczące we mgle, która ciągnęła znad wielkiej rzeki. Z bliska piekło nieruchomiało na zdjęciach robionych w tych posępnych dniach przez fotografa misji:

gromadka chłopów i chłopek w tołubach przed stosem okaleczonych trupów, poszarpanych ciał nie do rozpoznania, nagie zawszone dziecko siedzące na śniegu — długie zmierzwione włosy, przenikliwe starcze spojrzenie — na zlodowaciałej drodze samotna głowa, otwarte szklane oczy. Co gorsza, takie widoki nie pozostawały jedynie utrwalone na papierze. Fotograf składał swój trójnóg, a wieśniacy opuściwszy kadry — te okrutne obrazy kanibalizmu — na nowo zaczęli żyć w przerażającej prostocie codziennych gestów. Tak, żyli nadal! Jakaś kobieta zbliżając się do dziecka poznawała w nim własnego synka. I nie wiedziała, co począć z tym zawszonym starcem, ona, od tygodnia żywiąca się ludzkim mięsem. Z jej gardła dobywało się wycie wilczycy. Żadna fotografia nie mogła odtworzyć tego krzyku... Jakiś chłop z westchnieniem zajrzał w oczy obciętej głowy walającej się po drodze. Schylił się i niezdarnie wepchnął ją do swego worka. „Pochowam to to — mruknął — przecież my nie Tatarzy”.

I trzeba było wejść do chaty w tym spokojnym piekle, by przekonać się, że staruszka wyglądająca przez szybę jest mumią młodej dziewczyny martwej od wielu tygodni, beznadziejnie oczekującej przy oknie na ratunek.

Po przyjeździe do Moskwy Charlotte opuściła misję. Wyszła po prostu z hotelu, dała nurka w skłębiony na placu tłum i znikła. Na targu Sucharówki, gdzie kwitł handel wymienny, zdobyła dwa

bochenki razowego chleba za srebrną pięciofrankówkę (kontrahent wypróbował monetę w zębach i sprawdził, jak dźwięczy na ostrzu siekiery). Chleb miał jej zabezpieczyć pierwsze dni podróży. Przebrała się za Rosjankę i na dworcu podczas chaotycznego szturmowania wagonów nikt nie zwracał uwagi na dziewczynę, która poprawiając obsuwający się z pleców worek szamotała się w rozgorączkowanym tłumie.

Wyjechała i nic nie zostało oszczędzone jej oczom. Rzuciła wyzwanie bezmiarowi kraju, jego nieogarnionym przestrzeniom, gdzie dni splatają się z latami. Posuwała się naprzód brnąc w zastygłym czasie. Pociągami, koleją, piechotą...

Widziała wszystko. Okulbaczone wierzchowce, całe ich stado, galopujące bez jeźdźców po równinie; konie przystawały raz po raz i, nagle spłoszone, podejmowały szaleńczy bieg, szczęśliwe i przerażone odzyskaną wolnością. Jeden z nich zwłaszcza przyciągał wszystkie spojrzenia. Wbita w siodło szabla sterczała na jego grzbiecie. Gdy galopował, długie ostrze tkwiące w grubej skórze kołysało się lekko, połyskując w świetle zachodu. Ludzie śledzili wzrokiem szkarłatne przebłyski, które z wolna zacierała mgła pól. Zdawali sobie sprawę, że ta szabla z ciężką ołowianą głowicą musiała przeciąć na pół czyjeś ciało — od ramion do podbrzusza — nim zagłębiła się w siodle. I te dwie połowy ciała spadły na zdeptaną ziemię, każda po swojej stronie.

Widziała także, jak wyciągano martwe konie ze studni. Jak kopano nowe studnie w glebie tłustej

i ciężkiej. Paliki klatki szybowej, którą chłopi spuszcza­li się w ciemny dół, pachniały świeżym drewnem.

Widziała, jak mieszkańcy miasteczka ciągnęli grubą linę owiniętą dokoła kopuły cerkiewnej, dokoła krzyża. Ich entuzjazm zdawał się wzrastać za każdym skrzypnięciem liny. W innym miasteczku wczesnym rankiem widziała staruszkę, która klęczała przed złocistą bulwą, leżącą wśród grobów na cmentarzu bez ogrodzenia, otwartym na szemrzącą ciszę pól.

Przemierzyła puste wioski. Przejrzałe owoce w sadach gniły na ziemi lub schły na gałęziach. Zatrzymała się na odpoczynek w mieście, gdzie na rynku jeden z handlarzy okaleczył dziecko usiłujące mu ukraść jabłko. Wszyscy, których spotykała, zdawali się albo zdążać do jakiegoś nieznanego celu — oblegali pociągi, dawali się miażdżyć na peronach — albo czekali nie wiadomo na co przed zamkniętymi sklepami, przed wejściem do gmachów publicznych pilnowanych przez żołnierzy, i nieraz, całkiem zwyczajnie, na poboczu drogi.

Przestrzeń, którą pokonywała, nie miała złote­go środka: nieprawdopodobnie zatłoczona, stawała się nagle miejscem odludnym; wobec ogromu nieba i gęstwiny lasów obecność człowieka była tu nie do pomyślenia. I nagle, bez żadnego przejścia, pustkowiem zaczynało roić się od rozjątrzo­nych wieśniaków, tłoczących się na gliniastym brzegu rzeki wezbranej po jesiennych deszczach. Tak, Charlotte i to widziała. Długimi żerdziami

wieśniacy odpychali od brzegu barkę, skąd dochodziły nie kończące się lamenty. Chorzy na tyfus, zdani na łaskę losu, wyciągali chude ramiona; od wielu dni dryfowali na swoim pływającym cmentarzu. Ilekroć chcieli dobić do brzegu, miejscowi ludzie mobilizowali się, by im w tym przeszkodzić. Barka znów udawała się w swój żałobny rejs... chorzy umierali także z głodu. Wkrótce zabraknie im sił do kolejnej próby lądowania i ostatni pozostali przy życiu obudzą się pewnego dnia, słysząc potężny i rytmiczny szum fal i ujrzą obojętny horyzont Morza Kaspijskiego...

Na skraju lasu, w świetlisty poranek skrzący się szronem widziała cienie wiszące na drzewach... wisielców nikt nie zamierzał pochować. A wysoko w górze, po rozświetlonym błękitnie nieba przelatowały wędrowne ptaki pogłębiając ciszę echem donośnych krzyków.

Już jej nie przerażał ciężki, synkopowany oddech rosyjskiego świata. Od chwili wyjazdu nauczyła się wielu rzeczy. Wiedziała, że w wagonie kolejowym czy w tieledze należy trzymać w ręku torbę wypchaną słomą z kilkoma kamkami na spodzie, ponieważ bandyci na takie właśnie worki polowali podczas swoich nocnych wypraw. Wiedziała, że na dachu wagonu najdogodniejsze jest miejsce przy otworze wentylacyjnym. Przywiązany do niego sznur pozwala szybko zejść i szybko wleźć z powrotem. A kiedy szczęście jej

dopisało i jechała w zatloczonym korytarzu, wiedziała, że nie trzeba się dziwić na widok wylęknionego dziecka, które ludzie skuleni na ziemi podawali sobie z rąk do rąk; ci siedzący najbliżej wyjścia uchylali drzwi, by dziecko mogło załatwić się ponad stopniami wagonu. Owo „podaj dalej” zdawało się ich raczej bawić, uśmiechali się z rozczuleniem, patrząc na małą istotkę, która ulegle pozwalała sobą manipulować, wzruszeni jej potrzebą, jakże naturalną w tym nieludzkim wszechświecie... Nie okazywała też żadnego zdziwienia, gdy terkot kół przerywały nocą szepty: powiadamiano się wzajemnie o śmierci któregoś z pasażerów zagrzebanego w gąszczu pomieszanych żywotów.

Podczas długiej wędrówki znaczonej cierpieniem, krwią, chorobą, raz tylko udało się jej, jak sądziła, napotkać odrobinę pogody ducha i ludzkiej mądrości. Było to już za Uralem. W pobliżu miasteczka, częściowo strawionego przez pożar, na pagórku wyścielonym suchymi liśćmi, zauważyła kilku siedzących w kucki mężczyzn. Ich twarze, zwrócone ku łagodnemu słońcu jesieni, wyrażały błogi spokój. Chłop podwożący ją tielegą potrząsnął głową i rzekł półgłosem: „Biedacy! Ze dwunastu się ich tutaj kręci. Przytułek poszedł z dymem... No cóż, wariaci...”

Nie, nic już Charlotte’y nie mogło zaskoczyć.

Często, wciśnięta w duszną ciemność wagonu, miewała sny, krótkie, olśniewające, całkiem niewiarygodne. Tak niewiarygodne jak olbrzymie wielbłądy na śniegu, wzgardliwie obracające głowy w stronę świątyni. Czterej żołnierze wywle-

kali z niej duchownego, który upominał ich łamiącym się głosem. Garbate wielbłądy, pokryte śniegiem, świątynia, wesoły tłum... W swoim śnie Charlotte pamiętała, że ich garbate sylwetki nieodmiennie kojarzyły się jej z palmami, pustynią, oazą...

I nagle opuszczało ją zdumienie. Nie, nie był to sen! Stała pośrodku gwarne bazaru w nieznanym mieście. Ludzie podchodzili i obmacywali srebrny medalion, który spodziewała się wymienić na chleb. Wielbłądy górowały nad targowiskiem niczym dziwne drakkary na postumentach. Pod rozbawionym spojrzeniem tłumu żołnierze wrzucali kapłana do sanek wymoszczonych słomą.

Po tym fałszywym śnie jej przechadzka wieczorna była zwyczajna, zupełnie realna. Przeszła przez ulicę po bruku lśniącym w mdłym świetle latarni. Pchnęła drzwi piekarni. Jasne, ciepłe wnętrze było jej dobrze znane aż po lakierowaną ladę, aż po kompozycję ciastek i czekoladek w witrynie. Właścicielka uśmiechnęła się do Charlotte'y życzliwie jak do stałej klientki i podała jej chleb. Na ulicy Charlotte zatrzymała się zdjęta niepokojem. Dlaczego nie kupiła więcej chleba? Dwa, trzy, nie, cztery bochenki! Musi zapamiętać ulicę, przy której znajduje się ta wspaniała piekarnia. Zbliżyła się do narożnika, uniosła wzrok, chciała odczytać nazwę. Ale litery miały dziwaczny kształt, zespalały się z sobą, drgały. „Jakaż ja jestem głupia! — pomyślała. — Przecież na tej ulicy mieszka wujek!”

Obudziła się raptownie. Pociąg stał w szczerym polu, panowało w nim zamieszanie. Banda napastników zabiła maszynistę. Rozbiegli się teraz po wagonach, grabiąc wszystko, co im pod rękę wpadło. Charlotte zarzuciła sobie chustkę na głowę, rogi chustki związała pod brodą, jak to robią stare chłopki. Po czym, jeszcze uśmiechnięta na wspomnienie snu, położyła na kolanach torbę z kamieniem owiniętym szmatami...

A jeśli oszczędził ją los podczas dwóch miesięcy wędrowania, to dlatego, że rozległy kontynent był już przesycony krwią. Co najmniej na parę lat śmierć straciła na atrakcyjności, stała się zbyt banalna, niewarta zachodu.

Charlotte szła ulicami Bojarska, syberyjskiego miasta jej dzieciństwa, i nie zadawała sobie pytania, czy to jeszcze sen, czy już rzeczywistość. Była za słaba, żeby o tym myśleć.

Na fasadzie domu gubernatora powiewał czerwony sztandar. Dwóch uzbrojonych w strzelby żołnierzy przytupywało na śniegu po obu stronach drzwi... Niektóre okna teatru były wybite i z braku laku zatkano je kawałkami dekoracji ze sklejki: raz ukazywała gałązkę okrytą białymi kwiatami, chyba z *Wiśniowego sadu*, raz skrawek frontonu jakiejś daczy. Dwaj robotnicy rozwieszali nad portalem długi czerwony transparent: „Wszyscy na mityng ludowy zrzeszenia niewierzących!” — przeczytała Charlotte, nieco zwalniając kroku. Jeden z robotników wyjął trzy-

many w zębach gwózdź i wbil go tuż obok wykrzyknika.

— Ano i skończyliśmy przed nocą, chwała Bogu! — zawołał do kolegi.

Charlotte uśmiechnęła się i poszła dalej. Nie, nie śniła.

Żołnierz na warcie koło mostu zagroził jej drogę żądając dokumentów. Obejrzał podane mu papiery, a że prawdopodobnie nie umiał czytać, zdecydował się je zatrzymać. Sam zresztą wyglądał na zaskoczonego własną decyzją. „Możesz je dostać z powrotem, jak się już sprawdzi w radzie rewolucyjnej” — oznajmił najwyraźniej powtarzając wyuczoną formułkę. Charlotte nie miała siły dyskutować.

Tutaj, w Bojarsku, od dawna panoszyła się zima. Ale w dniu jej przyjazdu było pogodnie, lód na rzece pod mostem zarysował się wilgotnymi plamami. Pierwsza to oznaka ocieplenia. Wielkie płatki śniegu wirowały w białej ciszy pustych terenów podmiejskich, które jakże często przemierzała w dzieciństwie.

„Izba” wypatrzyła ją z daleka dwojgiem swoich wąskich okienek. Tak, dom patrzył, jak się zbliża, pomarszczoną fasadę ożywił ledwie dostrzegalny grymas gorzkiej radości ze spotkania po latach.

Charlotte niewiele spodziewała się po tej wizycie. Od dawna była przygotowana na wiadomości nie rokujące żadnej nadziei: śmierć, obłąd, zniknięcie. Albo zwyczajna nieobecność, nie dziwiąca nikogo. Broniła się przed nadzieją, a jednak wciąż ją miała...

W ciągu ostatnich dni była tak wyczerpana, że już nie marzyło się jej ciepło chlebowego pieca, o który oprze się plecami, siedząc na podłodze.

Wszedłszy na ganek zobaczyła pod karłowatą jabłonką jakąś staruszkę w czarnej chuście na głowie. Zgięta w pół wyciągała spod śniegu grubą gałąź. Charlotte zawołała na nią. Stara chłopka nawet się nie obróciła. Widocznie głos był za słaby i szybko rozpraszał się w matowym powietrzu. Charlotte nie znalazła w sobie dość sił, by krzyknąć raz jeszcze.

Pchnięciem ramienia rozwarła drzwi. W mrocznym, chłodnym wnętrzu zobaczyła wielkie ilości nagromadzonego drewna: deski ze skrzyń, płytki parkietu i czarno-białą stertę klawiszy fortepianu. Przypomniała sobie, że ów mebel w mieszkaniach bogaczy wywoływał największy gniew ludu. Widziała kiedyś pianino rozprute ciosami siekiery, pływające wśród kry na rzece...

Ledwie weszła, zbliżyła się do pieca, dotknęła jego kamieni. Były ciepłe. Doznała miłego zawrotu głowy. Już chciała się o nie oprzeć, gdy na szerokich zbrązowiałych od starości deskach stołu zobaczyła otwartą książkę. Mały tomik drukowany na szorstkim papierze. Przysiadłszy na ławie pochyliła się nad otwartymi stroniczkami. Dziwne: litery zaczęły chwiać się, zacierać, jak wtedy nocą w pociągu, gdy śniła jej się ulica paryska, przy której mieszkał wuj. Teraz jednak nie sen, lecz łzy stały się przyczyną tego zjawiska. Była to książka francuska.

Weszła stara kobieta w czarnej chuście i nie

okazała zdziwienia widząc szczupłą dziewczynę zrywającą się z ławki. Niosła pod pachą wiązkę suchych gałęzi, z których ściekały na podłogę strużki stopionego śniegu. Jej zwiędła twarz nie różniła się od twarzy wieśniaczek z tego regionu Syberii. Drgnęły otoczone siateczką zmarszczek wargi. I z tych warg, z zapadniętej piersi tej nierozpoznawalnej istoty dobył się głos, w którym nie zmieniła się żadna nuta.

— Przez te wszystkie lata obawiałam się tylko jednego: że wrócisz.

Tak powitała córkę Albertyna. I Charlotte zrozumiała: to, co przeżyły od chwili rozstania na paryskim dworcu przed ośmioma laty, mnogość gestów, twarzy, słów, cierpień, wyrzeczeń, nadziei, niepokojów, krzyków, łez — cały ten zgiełk życia, który krył w sobie jedynie sprzeciw wobec śmierci. Myśl o spotkaniu, tak upragnionym i budzącym tyle obaw.

— Chciałam kogoś prosić, by ci napisał, że umarłam. Ale była wojna, później rewolucja. Później znów wojna. Poza tym...

— Nie uwierzyłabym w ten list...

— No właśnie... poza tym mówiłam sobie, że i tak nie uwierzysz.

Ułożyła gałęzie przy piecu i podeszła do Charlotte'y. Kiedy w Paryżu patrzyła na nią z otwartego okna wagonu, dziewczynka miała jedenaście lat. Teraz skończy niebawem dwadzieścia.

— Słyszysz? — szepnęła Albertyna i obróciła się w stronę pieca. — To myszy. Pamiętasz, wciąż są tutaj...

Potem kucnęła przed buzującym za żeliwną kratą ogniem i nie patrząc na Charlotte'ę, która rozciągnęła się na ławie i zdawała się drzemać, wymamrotała jakby do siebie samej:

— Taki już jest ten kraj. Łatwo się tu wchodzi, a nigdy się stąd nie wychodzi...

Gorąca woda była czymś nowym, nieznanym. Charlotte podstawiła dłonie pod strumień, którym z miedzianej chochli matka oblewała jej plecy i ramiona. W półmroku, w świetle łuczywa, ciepłe krople przypominały skapującą z sosen żywicę. Pieściły ciało, które Charlotte pocierała kulką niebieskiej kaolinowej glinki. O mydle zachowało się tylko wspomnienie.

— Bardzo schudłaś — rzekła cicho Albertyna i głos jej się załamał.

Charlotte roześmiała się łagodnie. I podnosząc głowę oblepioną mokrymi włosami, zobaczyła w przygasłych oczach matki łzy mające jak dawniej kolor bursztynu.

W ciągu następnych dni Charlotte usiłowała dowiedzieć się, w jaki sposób mogłyby opuścić Syberię (nie mówiła: „wyjechać do Francji”, żeby sprawy nie zapeszyć). Poszła do siedziby byłego gubernatora. Żołnierze przy drzwiach uśmiechnęli się do niej: czyżby dobry znak? Sekretarka nowego władcy Bojarska kazała jej czekać w małym pokoiku. „Tutaj — pomyślała Charlotte — czekałam kiedyś na paczuszki z resztkami po śniadaniu”...

Naczelnik siedział za ciężkim biurkiem i ze zmarszczonymi brwiami energicznie zakreślał czerwonym ołówkiem tekst jakiejś broszury. Cały stos broszur piętrzył się na blacie biurka.

— Dzień dobry, obywatelko — odezwał się w końcu i podał jej rękę.

Porozmawiali. Z niedowierzaniem i przerażeniem stwierdziła, że urzędnik odpowiada na jej pytania dziwnie zniekształconym echem pytań, jakie mu zadawała. Mówiła o Francuskim Komitecie Pomocy, a w zamian usłyszała krótki wykład na temat niecznych knowań zachodnich imperialistów, działających pod osłoną burżuazyjnej filantropii. Wspomniała, że chciałaby się dostać do Moskwy, żeby potem... Tu echo jej przerwało: zagraniczne siły interwencyjne i wróg wewnętrzny starają się właśnie przeszkodzić odbudowie w młodej Republice Rad...

Po kwadransie takiej wymiany zdań Charlotte miała ochotę krzyknąć: „Chcę wyjechać! To wszystko!” Ale osaczyła ją absurdalna logika tego dialogu.

— Pociąg do Moskwy...

— Sabotaż specjalistów burżuazyjnych w kolejnictwie...

— Zły stan zdrowia mojej matki...

— Straszliwe dziedzictwo ekonomiczne i kulturalne caratu...

I wreszcie opadłszy z sił szepnęła niepewnie:

— Oddajcie mi, bardzo proszę, moje papiery...

Wywody naczelnika zdawały się trafiać na jakąś przeszkodę. Szybki skurcz ściągnął mu rysy twa-

rzy. Bez słowa wyszedł z pokoju. Korzystając z jego nieobecności Charlotte zerknęła na broszurę. Niebywale zaskoczył ją tytuł: „Jak zwalczać rozwiązłość seksualną w komórkach partyjnych (zalecenia)”. Właśnie te zalecenia podkreślał naczelnik czerwonym ołówkiem.

— Nie znaleźliśmy waszych dokumentów — powiedział wracając.

Charlotte nalegała. To, co się później stało, było tyleż nieprawdopodobne co konsekwentne. Naczelnik obrzucił ją stekiem takich przekleństw, że odebrało jej mowę, chociaż miała za sobą dwa miesiące jazdy w zatłoczonych pociągach. Nie przestał jej wymyślać, gdy już kładła rękę na klamce. Gwałtownym ruchem zbliżył twarz do jej twarzy i zasyczał:

— Mogę cię aresztować i rozstrzelać, tu, na tym podwórku za wychodkami! Zrozumiałaś, brudna szpiegówko!?

W drodze powrotnej przez zaśnieżone pola Charlotte mówiła sobie, że w kraju rodzi się obecnie nowy język. Język, którego ona nie zna, i dlatego rozmowa w gabinecie byłego gubernatora wydała jej się niedorzeczna. Nie, wszystko miało swój sens: krasomówstwo rewolucyjne przechodzące nagle w plugawe wyzwiska i „obywatelka-szpiegówka”, i broszura reglamentująca życie seksualne członków Partii. Tak, umacniał się nowy porządek. Wszystko na tym świecie, tak przecież znajomym, przyjmie odmienną nazwę, każdy przedmiot, każda żyjąca istota otrzyma inną etykietkę.

— A co z tymi śnieżynkami, powoli sypiącymi się z wieczornego nieba w kolorze malwy? — Przypomniała sobie, jak będąc dzieckiem cieszyła się śniegiem, gdy szła do domu po lekcjach u córki gubernatora. „Jak dzisiaj” — pomyślała i odechnęła głęboko.

W kilka dni później życie zostało sparaliżowane. Pogodną nocą zstąpił z nieba polarny chłód. Świat przeobraził się w lodowy kryształ, w którym zastygły drzewa najeżone szronem, białe słupy, nieruchome dymy nad kominami, srebrzysta linia tajgi na horyzoncie, słońce w połyskliwej otoczce. Głos ludzki stracił nośność, para tężała na wargach.

Myślały tylko o tym, żeby przeżyć z dnia na dzień, zachowując nikłą powłokę ciepła dokoła swych ciał.

Ratowała je zwłaszcza „izba”. Wszystko w niej było pomyślane tak, by przetrzymać wlokące się w nieskończoność zimy, niezgłębione noce. Same ściany z olbrzymich okrągłaków przypominały o ciężkich doświadczeniach wielu pokoleń Sybiraków. Albertyna, podchwyciwszy tajemny rytm oddechu starej chaty, nauczyła się żyć w ścisłej zależności od powoli nagrzewającego się pieca, który zajmował połowę pomieszczenia. I Charlotte, obserwując codzienne zajęcia matki, powtarzała sobie w duchu: „Toż to prawdziwa Sybiraczka!” Już pierwszego dnia zauważyła w sionce wiązki suchego ziela, podobne do wiechci, jakimi

smagają się Rosjanie w łaźni. Kiedy zjadły ostatni kęs chleba, Charlotte odkryła przydatność tych różg. Albertyna wymoczyła w gorącej wodzie jedną z wiązek i wieczorem uraczyły się tym, co nazwały żartobliwie „syberyjską polewką” — mieszaniną zmiążdżonych łodyg, ziaren i korzeni. „Zaczynam już rozpoznawać wszystkie rośliny tajgi — rzekła Albertyna nalewając zupę do talerzy. — Ciekawe, dlaczego tutejsi ludzie nie robią z nich większego użytku”...

Ocaliła je także obecność małej dziewczynki, Cyganki, którą znalazły na pół zamarznąętą na ganku. Fioletowymi z zimna palcami skrobała w stwardniałe deski drzwi... Aby ją wykarmić, Charlotte poważyła się na coś, czego nigdy by dla siebie nie zrobiła. Chodziła zebrać na targowisko: główka cebuli, parę zmrożonych kartofli, kawałek słoniny. Grzebała w skrzyniach z odpadkami koło partyjnej kantyny, w pobliżu urzędu, którego naczelnik groził jej rozstrzelaniem. Zdarzało jej się rozładowywać wagony towarowe za kromkę chleba. Dziewczynka, początkowo chuda jak szkielet, przez kilka dni wahała się na granicy światła i nicości, potem z wolna, z pełnym wahania zdziwieniem wśliznęła się znów w przedziwny korowód dni, słów, zapachów — który wszyscy nazywają życiem...

W słoneczny marcowy dzień, kiedy śnieg skrzypiał pod stopami przechodniów, jakaś kobieta (matka? siostra?) przyszła po dziewczynkę i zabrała ją z sobą nie dając żadnych wyjaśnień. Charlotte dogoniła je na krańcu osiedla i dała

dziecku lalkę, którą mała bawiła się w długie wieczory zimowe... Ta duża lalka ze złuszczoneymi policzkami, nadesłana w paczce z Paryża, leżała wraz ze starymi gazetami w syberyjskiej walizie, jako jedna z ostatnich pamiątek po dawnym życiu.

Prawdziwy głód, o czym wiedziała Albertyna, miał nadejść wiosną... Nie było już ani jednej wiązki ziół na ścianach sionki, targowisko opustoszało. W maju zamknęły chatę, nie bardzo wiedząc, dokąd się udać. Szły drogą, która nie pozbyła się jeszcze wiosennej wilgoci, i raz po raz schylały się, żeby zerwać delikatne pędy szczawiu.

Pewien kułak przyjął je do pracy na dniówkę. Był to Sybirak silny i kościsty, niemal całą twarz zakrywała mu broda, zza której rzadko rzucał słowa krótkie i stanowcze.

— Pieniędzmi wam nie zapłacę — powiedział bez ogródek. — Jedzenie i łóżko. Nie biorę was dla pięknych oczu. Potrzebne mi ręce do roboty.

Nie miały wyboru. W pierwszych dniach po powrocie z pola Charlotte padała ze zmęczenia, bąble na dłoniach nie chciały się goić. Albertyna przez cały dzień szyła worki na przyszłe zbiory i pielęgnowała ją jak mogła. Któregoś wieczoru Charlotte była tak wyczerpana, że bezwiednie odezwała się do gospodarza po francusku. Broda Sybiraka nabrała życia, oczy mu się zwężyły — uśmiechał się.

— Dobrze, jutro możesz odpocząć. A twoja matka, jeśli zechce iść do miasta, niech idzie... — postąpił parę kroków i odwrócił się. — Młodzi z wioski co wieczór urządzają tańce. Potańcz sobie i ty, jak masz ochotę...

Zgodnie z umową kułak nic im nie zapłacił. Gdy jesienią zbierały się z powrotem do miasta, wskazał im tielegę, której ładunek przykryty był nową drelichową płachtą.

— On was podwiezie — rzekł, mrugając do starego chłopca na koźle.

Podziękowały mu i przysiadły na skraju tielegi pełnej skrzynek, worków i pak.

— Wiezicie to wszystko na targ? — spytała Charlotte, aby przerwać kłopotliwe milczenie ostatnich minut przed pożegnaniem.

— Nie. To wasz zarobek.

Nawet nie zdążyły odpowiedzieć: woźnica ściągnął lejce, tielega zakołysała się i potoczyła szybko, wzniesając rozgrzany kurz na polnych drogach. Pod płachtą znajdowały się trzy worki ziemniaków, dwa worki zboża, beczułka miodu, cztery ogromne dynie, kilka skrzynek jarzyn, bobu i jabłek. W rogu leżało z pół tuzina kur ze związanymi łapkami; towarzyszący im kogut łypał okiem, groźny i obrażony.

— Mimo wszystko zasuszę trochę ziół — rzekła Albertyna, z trudem odrywając zachwycone spojrzenie od tych skarbów. — Nigdy nic nie wiadomo...

Umarła w dwa lata później. W sierpniowy wieczór cichy i pogodny. Charlotte wróciła z biblioteki, gdzie pomagała segregować zgromadzone w stertach książki, zwiezione ze zniszczonych dworów szlacheckich... Matka siedziała na ławeczce przed chatą, z głową opartą na gładkim okrągłaku. Oczy miała zamknięte. Usnęła pewnie i zmarła we śnie. Lekki powiew tajgi poruszał kartkami otwartej książeczki na jej kolanach. Był to ten sam francuski tomik o wyblakłych złoconych brzegach.

Pobrali się wiosną następnego roku. On pochodził z wioski na wybrzeżu Morza Białego, o dziesięć tysięcy kilometrów od syberyjskiego miasta, gdzie rzuciła go wojna domowa. Charlotte bardzo szybko zauważyła, że chociaż rozpierała go duma, iż jest sędzią ludowym, czuł się w tej roli nieswojo, z czego sam wówczas nie zdawał sobie sprawy. W trakcie weselnej biesiady jeden z gości poważnym głosem wezwał obecnych do uczczenia śmierci Lenina minutą milczenia... Wszyscy wstali... W trzy miesiące po ślubie męża Charlotte'y przeniesiono służbowo na drugi koniec imperium, do Buchary. Charlotte upierała się, by zabrać dużą walizę wypełnioną francuskimi gazetami... Nie sprzeciwił się temu, ale w pociągu, ledwie skrywając uporczywe zażenowanie, dał żonie do zrozumienia, że granica, trudniejsza do przebycia niż jakakolwiek góra, oddziela teraz ich wspólne życie od jej życia francuskiego. Szu-

kał słów, aby wyrazić to, co niebawem okaże się czymś zgoła naturalnym: żelazną kurtyną.

6

Wielbłądy w śnieżnej zawiei, mrozy, od których przestawały krążyć soki w drzewach i roztrzaskiwały się pnie, skostniałe ręce Charlotte'y zrzucające z wagonu długie kłody...

Tak oto w naszej zadymionej kuchni podczas wieczornych pogawędek odżywała mityczna przeszłość. Za ośnieżonym oknem rozciągało się jedno z większych miast Rosji i szara nadwołżańska równina, wznosiły się budowle-fortece w stylu architektury stalinowskiej. A wśród rozgardiaszu po kolacji, w perłowych chmurach tytoniowego dymu pojawiała się tajemnicza Francuzka zagubiona pod syberyjskim niebem. Telewizor przekazywał aktualne wiadomości, sprawozdania z ostatniego zjazdu Partii, ale dźwiękowe tło nie zakłócało w najmniejszym stopniu rozmowy naszych gości.

Zaszyty w kącie zagraconej kuchni, plecami oparty o regał, na którym królował telewizor, wsłuchiwałem się chciwie w te rozmowy, starając się, by mnie nie zauważono. Wiedziałem, że lada chwila może wychynąć z sinawej mgły czyjaś twarz i wtedy rozlegnie się okrzyk wesołego oburzenia:

— Ach, popatrzcie tylko, nocny marek! Minęła północ, a on jeszcze nie w łóżku! Hej, hop, już cię tu nie ma! Wrócisz, jak ci broda urośnie...

Wypędzony z kuchni, nie od razu zasypiałem, nękany pytaniem, które wciąż kołatało się w mojej młodej głowie: „Dlaczego oni tak lubią mówić o Charlotte’cie?”

Sądziłem najpierw, że dla moich rodziców i ich znajomych ta Francuzka stanowi idealny temat do konwersacji. W rzeczywistości bowiem wystarczyło, by ktoś wspomniał o ostatniej wojnie, a natychmiast wybuchały spory. Ojciec, służący przez cztery lata w piechocie na pierwszej linii frontu, przypisywał zwycięstwo żołnierzom w okopach. Ci żołnierze (jak powiadał) zrosili swoją krwią ziemię od Stalingradu po Berlin. Stryj, choć nie chciał go irytować, rzucił uwagę, że — jak powszechnie wiadomo — artyleria to bogini nowoczesnych wojen. Dyskusja rozgrzewała się. I niezadługo artylerzyści zmieniali się w dekowników, a piechurzy w popaprańców, jako że paprali się w błocie wojennych dróg. Wtedy ich dobry przyjaciel, były pilot myśliwca, występował z własnymi argumentami i dyskusja wkraczała w bardzo niebezpieczną fazę. A przecież jeszcze nie ustalili zasług i dokonań na swoich frontach, nie omówili roli Stalina podczas wojny...

Takie sprzeczki, czułem to, działały na nich przygnębiająco. Wiedzieli, że niezależnie od ich udziału w zwycięstwie karty zostały już rozdane: ich pokolenie, zdziesiątkowane, umęczone, opuści wkrótce ten świat. Odejdą piechurzy i artylerzyści, i lotnicy... Moja matka urodzona w 1920 roku odejdzie jeszcze wcześniej. Pozostaniemy sami: ja, chłopiec piętnastoletni, i moja siostra.

W kuchennych polemikach zatajali wiedzę o nie-dalekiej przyszłości. Godziło ich życie Charlotte'y — myślałem — to był teren neutralny.

Z wiekiem zacząłem dostrzegać zupełnie inną przyczynę pojawiania się wątków francuskich w ich nie kończących się rozmowach. Charlotte ukazywała się pod niebem rosyjskim jako istota pozaziemska. Nie miała nic wspólnego z okrutną historią wielkiego imperium, z głodem, z rewolucją, z wojną domową... My, Rosjanie, nie mieliśmy wyboru. Ale ona? Dzięki niej mogli oglądać kraj zagadkowy, widziany oczyma cudzoziemki, nieraz naiwnej, częstokroć od nich bardziej przenikliwej. W oczach Charlotte'y odbijał się świat niepokojący i pełen spontanicznej prawdy — Rosja niesamowita, którą powinni byli odkryć.

Przysłuchiwałem się rozmowom. I także odkrywałem rosyjskie dzieje Charlotte'y, ale na własny sposób. Niektóre szczegóły, ledwie przez nich wspomniane, kiełkowały w moim umyśle, tworząc całe sekretne uniwersum. Umykały mi natomiast zdarzenia, do których dorośli przywiązywali wielką wagę.

Dziwne na przykład, że nie poruszały mnie zbytnio opisy potwornego kanibalizmu w wioskach nadwołżańskich. Skończyłem właśnie czytać *Robinsona Crusoe* i rodacy Piętaszka, oddający się radosnym rytuałom ludożerców, uodpornili mnie swym romantyzmem na realne okrucieństwa.

Nie zrobiło też na mnie większego wrażenia trudne bytowanie Charlotte'y na kułackiej fermie. Nie, z tego okresu zatrzymałem w pamięci przede wszystkim jej spotkanie z młodzieżą wiejską. Tego samego wieczoru poszła potańczyć, a trafiła tam na dyskusję metafizyczną: zastanawiano się, jaki rodzaj śmierci czeka kogoś, kto punktualnie o północy ośmieli się odwiedzić cmentarz. Charlotte z uśmiechem wyraziła gotowość przeciwstawienia się nadprzyrodzonym siłom i to natychmiast, tej nocy. Ci młodzi, nie mający zbyt wiele rozrywek, spodziewali się w głębi ducha makabrycznego finału i powitali jej odwagę hałaśliwym entuzjazmem. Należało z kolei wytypować przedmiot, który ta lekkomyślna dziewczyna francuska zostawi na grobowcu wiejskiego cmentarza. A nie było to łatwe. Bo sporo rzeczy można bez trudu zastąpić: chusteczkę, kamyk, monetę... Ta chytra cudzoziemka może tam pójść o świcie, gdy wszyscy śpią, i zostawić chusteczkę. Trzeba było wybrać coś jedyne w swoim rodzaju... Naza jutrz rano w najciemniejszym zakątku cmentarza, na starym krzyżu delegacja zobaczy wiszącą „torebkę z Pont-Neuf”...

Wyobrażając sobie damską torebkę wśród cmentarnych krzyży pod syberyjskim niebem, rozmyślałem nad zadziwiającym przeznaczeniem rzeczy. Wędrowały, gromadząc pod banalną powierzchnią całe epoki naszego życia, wciąż nawiązując do jakże odległych chwil.

Co do małżeństwa mojej babki z sędzią ludowym, z pewnością nie dostrzegalem w nim his-

torycznej malowniczości, jaką widzieli dorośli. Miłość Charlotte'y, zaloty mego dziadka, ich osobliwy związek w głębi Syberii — zapamiętałem z tego tylko jeden fragment: Fiodor w starannie wyprasowanej kurtce, w błyszczących butach, udaje się na decydujące spotkanie. Parę kroków za nim jego pisarczyk, syn popa, niesie ogromny bukiet róż: sędzia ludowy, nawet zakochany, nie może wyglądać jak byle amant z operetki. Charlotte widzi ich obu z daleka, odgaduje cel spektaklu i z przebiegłym uśmiechem odbiera bukiet, który Fiodor wyrywa z rąk pisarczyka. Ten zaś, onieśmielony, ale ciekawy, wolno cofa się tyłem i znika.

Albo też taki fragment: jedyne zdjęcie ślubne (wszystkie inne, na których występował dziadek, skonfiskowano mu po aresztowaniu), dwie twarze lekko ku sobie pochylone, a wargi Charlotte'y, niewiarygodnie młodej i ładnej, złożone do uśmiechu z serii „jabłuszko”.

Zresztą w tych długich wieczornych pogawędkach nie wszystko było zrozumiałe dla uszu dziecka. Jak choćby ten niepojęty postępek ojca Charlotte'y. Poważany, zamożny lekarz dowiaduje się przypadkiem od pacjenta, wysokiego komisarza policji, że wielką manifestację robotniczą, która lada moment wylegnie na główny plac Bojarska, powitają zza rogu strzały z karabinów maszynowych. Ledwie pacjent opuścił gabinet, doktor Lemonnier zrzucił biały kitel, nie wzywając swego stangreta wskoczył do bryczki i ruszył ulicami miasta, żeby uprzedzić robotników.

Do strzelaniny nie doszło... A ja często zadawałem sobie pytanie: dlaczego tak postąpił „burzuj”, cieszący się wszystkimi przywilejami? Przywykliśmy widzieć świat w czarno-białym kolorze: bogaci i biedni, wyzyskiwacze i wyzyskiwani, słowem wróg klasowy i obywatel prawomyślny. Gest ojca Charlotte’y zbił mnie z pantaląku. Ponad masą ludzką, tak dogodnie podzieloną na dwie części, górowała jednostka ze swoją nieprzewidywalną wolnością. Nie rozumiałem również, co działo się w Bucharze. Przypuszczałem tylko, że coś straszliwego. Nie bez powodu dorośli mówili o tym ogólnikami, znacząco kiwając głową. Omijano zwykle sam fakt, niby jakieś tabu, poprzestając na opisie dekoracji. Widziałem więc najpierw rzekę płynącą po gładkich kamieniach, potem przez rozległą pustynię. Słońce tańczy w oczach Charlotte’y, jej policzek czerwieni się od rozpalonego piasku, rozlega się rżenie koni... Tak kończyła się scena, której sensu nie pojmowałem, chociaż czułem niemal fizycznie atmosferę napięcia. Dorośli z westchnieniem zmieniali temat, znów nalewali sobie kieliszek wódki.

Domyśliłem się wreszcie, że to wydarzenie na piaskach Środkowej Azji naznaczyło w sposób zagadkowy i bardzo intymny historię naszej rodziny. I zauważyłem, że nigdy o niej nie wspomniano, gdy był wśród nas wujek Siergiej, syn Charlotte’y.

Jeśli istotnie podsłuchiwałem nocne zwierzenia dorosłych, to kierowałem się tylko chęcią po-

znania francuskiej przeszłości mojej babki. Mniej interesowałem się jej przeszłością rosyjską. Byłem jak badacz, który poddając oględzinom meteoryt, ulega fascynacji świetlistymi kryształkami wtopionymi w bazaltową powierzchnię. Jak we śnie o dalekiej podróży w nie znanym jeszcze celu, marzyłem o balkonie Charlotte'y, o jej Atlantydzie, gdzie, jak mi się zdawało, zostawiłem ubiegłego lata cząstkę samego siebie.

II

I

W tym roku bardzo obawiałem się ponownego spotkania z Carem... Podobnie lękamy się spotkania z przyjacielem, który w swej szczęśliwej niewiedzy chce nam powierzyć swoje projekty, a my wiemy od lekarza, że koniec jego jest bliski.

Jak właściwie mógłbym podążać śladami Mikołaja i Aleksandry, skoro wiem, że zostali skazani? Skoro wiem, że nie oszczędzono nawet ich córki Olgi. Skoro wiem, że nawet dzieci, których Aleksandra jeszcze na świat nie wydała, czekałby równie tragiczny los.

Ze skrywaną radością zobaczyłem tego wieczoru mały zbiorek poezji na kolanach babki siedzącej na ukwieconym balkonie. Czy pamiętała jeszcze o moim zachowaniu się zeszłego lata, czy dostrzegła moje zakłopotanie? Może po prostu chciała nam przeczytać któryś ze swoich ulubionych wierszy?

Usiadłem obok niej na ziemi, opierając głowę o kamienną bachantkę. Siostra stała w drugim kącie przy balustradzie, zapatrzona w opary wiśzące nad stepem.

Stosownie do treści głos Charlotte'y dźwięczał melodyjnie:

Ja znam taką melodię, za którą bym oddał
Całego Rossiniego, Mozarta, Webera
Melodię bardzo starą, tęskną i żalobną,
Która ma dla mnie tylko uroki tajemne...*

Magia poematu Nerval'a wskrzeszała w ciemności wieczoru zamek z czasów Ludwika XIII i panią zamku, jasnowłosą, z czarnymi oczyma, w ówczesnym stroju...

Pytanie siostry przerwało moją poetycką zadumę:

— A ten Félix Faure... co się z nim stało?

W kącie balkonu, lekko pochylona nad balustradą, w roztargnieniu raz po raz obrywała jakiś zwiędły od upału kwiatek i rzucała go w dół, patrząc, jak wiruje w powietrzu. Zatopiona w dziewczęcych rojeniach nie słuchała babcinej deklamacji. Piętnaste lato w jej życiu... Dlaczego pomyślała o Prezydencie? Prawdopodobnie ten przystojny, imponujący człowiek z eleganckim wąsem i wielkimi, spokojnymi oczami, przez kapryśną grę miłosnych marzeń przybrał w jej wyobraźni postać oczekiwanego mężczyzny. I zapytała po rosyjsku — jak gdyby dla lepszego wyrażenia niepokojącej tajemnicy tej skrycie upragnionej obecności: „A ten Félix Faure... co się z nim stało?”

Charlotte zerknęła na mnie z uśmiechem. Zamknęła leżący na kolanach tomik, westchnęła łagodnie i zapatrzyła się w daleki horyzont, zza

którego przed rokiem wyłoniła się nasza Atlantyda.

— Umarł w kilka lat po wizycie Mikołaja II w Paryżu...

Wahała się i tą mimowolną pauzą zwiększyła naszą ciekawość.

— Umarł nagle w Pałacu Elizejskim. W ramionach metresy, Marguerite Steinheil...

To zdanie stało się podzwonnem mojego dzieciństwa. „Umarł w ramionach metresy”...

Byłem wstrząśnięty tragicznym pięknem tych słów. Pochłonął mnie inny świat.

Przede wszystkim jednak zafrapował mnie teatralny efekt tej rewelacji: scena miłości i śmierci rozegrana w Pałacu Elizejskim. W pałacu prezydenckim! Na samym szczycie piramidy władzy, światowej sławy i chwały... Wyobraziłem sobie luksusowe wnętrza, gobeliny, złocenia, amfiladę luster. A wśród tych wspaniałości mężczyzna (Prezydent Republiki!) i kobieta w namiętym uścisku...

Ośłupiały zacząłem mimo woli tłumaczyć tę scenę na rosyjski. Czyli zastępowałem protagonistów francuskich odpowiednikami rosyjskimi. Korowód fantomów wtłoczonych w czarne fraki przesunął się przed moimi oczami. Sekretarze Politbiura, władcy Kremla, Lenin, Stalin, Chruszczow, Breżniew. Cztery postacie tak się od siebie różniące, kochane lub znienawidzone przez społeczeństwo, każda z postaci wyznaczała całą epokę w historii imperium. A przy tym łączyła ich cecha wspólna: nigdy nie pokazywali się u boku ko-

biety. Niewyobrażalna byłaby też jakaś kochanka. Dużo łatwiej mogliśmy sobie wyobrazić Stalina z Churchillem w Jaltce lub z Mao w Moskwie niż z matką jego dzieci...

„Prezydent zmarł w Pałacu Elizejskim w ramionach metresy, Marguerite Steinheil”... Wiadomość wyglądała na zakodowane przesłanie z innego systemu gwiazdowego.

Charlotte wyszła, żeby poszukać w walizie syberyjskiej gazet z tamtego okresu i pokazać nam fotografię pani Steinheil. Ale ja, zajęty miłosnym przekładem francusko-rosyjskim, przypomniałem sobie, co mi powiedział pewien gamoniowaty dryblas z naszej klasy, kiedy szliśmy ciemnym korytarzem szkolnym, po wieczornych ćwiczeniach z hantlami — jedyna dyscyplina, w której Paszka odnosił sukcesy. Mijając portret Lenina mój towarzysz gwizdnął lekceważąco i rzekł:

— Ot i widzisz, taki Lenin... a dzieci to on nie miał. Bo po prostu nie umiał się kochać...

Tu użył wulgarnego terminu na określenie niewydolności seksualnej — słowa, które mnie nie przeszłyby przez usta, a w odniesieniu do Włodzimierza Iljicza były straszliwie nieprzyzwoite. Przejęty grożą słyszałem, jak to bluźnierstwo odbija się echem w długim pustym korytarzu...

„Félix Faure... Prezydent Republiki... W ramionach metresy”... Francja-Atlantyda wydała mi się bardziej niż kiedykolwiek ziemią nieznaną, gdzie nasze rosyjskie pojęcia nie były w obiegu.

Śmierć Félix'a Faure'a uświadomiła mi mój wiek: miałem trzynaście lat, domyślałem się, co znaczy umrzeć w ramionach kobiety, i na podobne tematy można już było ze mną rozmawiać. Odwaga i zupełny brak obłudy w opowiadaniach babki utwierdziły mnie zresztą w tym, co już wiedziałem. Charlotte nie była babką jak inne. Żadna babuszka rosyjska nie wdawałaby się w takie rozmowy ze swym wnukiem. Dzięki tym swobodnym wypowiedziom przeczuwałem niezwykłą wizję ciała, miłości, związku między kobietą i mężczyzną — owe tajemnicze „spojrzenie francuskie”.

Rankiem wyszedłem w step, aby samotnie pomarzyć o niesłychanej przemianie mego życia, spowodowanej śmiercią Prezydenta. Ogarnęło mnie zdumienie, kiedy scena w wersji rosyjskiej okazała się trudna do powtórzenia. Wręcz niemożliwa do powtórzenia! Ocenzowała ją jakaś niewytłumaczalna wstydlivość, zniweczyło ją oburzone morale. I wreszcie, gdy ją wypowiedziałem, wahała się między ohydnyimi sprośnościami a eufemizmami, co upodabniało parę kochanków do postaci z sentymentalnego romansu w kiepskim tłumaczeniu.

„Nie — mówiłem sobie leżąc w trawie rozkołysanej ciepłym wiatrem — tylko w oryginale francuskim mógł umierać w ramionach Marguerite Steinheil...”

Dzięki kochankom z Pałacu Elizejskiego zgłębiłem tajemnicę młodej służącej, która, zaskocz-

na w wannie przez swego pana, oddała mu się z lękiem, a zarazem podniecona, bo oto spełniały się jej sny. Tak, przedtem uważałem to za dziwaczne trio występujące w powieści Maupassanta, którą przeczytałem wiosną. Od pierwszej do ostatniej strony pewien dandys paryski zabiega o miłość istoty płci żeńskiej, odznaczającej się dekadentckim wyrafinowaniem, próbuje zdobyć serce tej przeintelektualizowanej kurtyzany, nieczulej, kruchej jak orchidea. Ona zaś zwodzi go i wciąż podsycza jego złudne nadzieje. A obok tych dwojga — służąca, młoda kąpiąca się dziewczyna o ciele jędrnym i zdrowym. Podczas pierwszej lektury widziałem tylko ten trójkąt i rzecz wydała mi się sztuczna, bez wyrazu: no cóż, obie kobiety nie mogły się nawet uważać za rywalki...

Teraz innym okiem patrzyłem na ten trójkąt paryski. Bohaterowie Maupassanta stawali się konkretni, cieleśni, dotykalni — żyli! Odczuwałem błogi lęk pokojówki wyciągniętej z wanny i niesionej na łóżko. Łaskotały mnie kropelki wody ściekające z jej bujnych piersi, czułem ciężar jej bioder w ramionach mężczyzny, widziałem rozchybotaną wodę w pustej już wannie. Woda uspokajała się powoli... A tamta, niedostępna dama światowa, przypominająca mi kiedyś zeschnięty kwiat między kartkami książki, objawiła się w pełni swej skrywanej, nieprzeziernej zmysłowości. Jej ciało płonęło, roztaczając niepokojącą miłą woń, pulsowało krwią; urzekająca gładkość jej skóry, ospałość kuszących słów.

Zgubna miłość, która zabiła serce Prezydenta,

przemodelowała obraz Francji, jaki w sobie nosiłem. Ta pierwsza Francja była przede wszystkim romantyczna. Postaci z literatury, tłoczące się na jej drogach, zaczęły w ten pamiętny wieczór budzić się z długiego snu. Przedtem mogły do woli machać szablami, wspinać się po sznurkowych drabinkach, łykać arszenik, wyznawać miłość, jeździć w karocy ze ściętą głową ukochanego na kolanach. Tak, bo nie opuszczały świata fikcji. Egzotyczni, olśniewający, może zabawni, niewiele mnie obchodzili. Podobnie jak proboszcz u Flauberta — prowincjonalny ksiądz, któremu Emma zawierzała swoje rozterki — ja także nie rozumiałem tej kobiety. „Ale czego jeszcze może pragnąć? Ma ładny dom, pracowitego męża i cieszy się szacunkiem sąsiadów...”

Kochankowie z Pałacu Elizejskiego pomogli mi zrozumieć *Panią Bovary*; w przeblysku intuicji uchwyciłem następujące szczegóły: obtłuszczone pomadą palce fryzjera rozczesują i zręcznie układają włosy Emmy. W ciasnym salonie powietrze jest ciężkie, słaby blask świec płoszy cienie wieczoru. Kobieta siedząca przed lustrem dopiero co pożegnała się z młodym kochankiem i zaraz wróci do domu. Tak, odgadywałem, co czuje niewierna żona wieczorem u fryzjera między ostatnim pocałunkiem po schadzce w hotelu a pierwszymi słowami, całkiem zwykłymi słowami, jakimi powita męża... Nie umiałem sobie tego wytłumaczyć, ale słyszałem coś niby wibrację struny w duszy tej kobiety. Moje serce uderzało rytmem jej serca. „Emma Bovary to ja!” — podszep-

nał mi uśmiechnięty głos, dobywający się z opowieści Charlotte'y.

W naszej Atlantydzie czas kierował się własnymi prawami. Ściślej mówiąc, nie płynął, tylko falował dokoła każdego wydarzenia, o którym wspominała Charlotte. Każdy fakt, nawet całkiem przypadkowy, utrwał się w codzienności tego kraju. Nocne niebo zawsze przecinała kometta, chociaż babka, powołując się na wycinek prasowy, ustaliła dokładną datę astronomicznego zjawiska: 17 października 1882. Wieży Eiffla nie mogliśmy już sobie wyobrazić bez szalonego Austriaka, który skoczył z koronkowej iglicy i, zbyt- nio zaufawszy spadochronowi, zabił się na oczach tłumy gapiów. Père-Lachaise nie miał w sobie nic ze spokojnego cmentarza, gdzie rozlegają się pełne respektu szepty turystów. Nie, wśród mogił biegali uzbrojeni ludzie, strzelając do siebie, kryjąc się za nagrobnymi stelami. Walkę komundarów z wersalczykami skojarzyliśmy na zawsze z nazwą Père-Lachaise. Zresztą zgiełk tej strzelaniny dochodził nas również z paryskich katakumb. Bo zdaniem Charlotte'y walczone też w podziemnym labiryncie miasta i kule druzgotały czaszki wielowiekowych nieboszczyków. Na nocnym niebie naszej Atlantydy wisiały niemieckie zeppelin-y i kometta, ale jego czysty lazur za dnia rozbrzmiewał regularnym terkotem jednopłatowca: niejaki Louis Blériot przelatował nad kanałem La Manche.

Wybór zdarzeń był mniej lub bardziej subiektywny. Ich kolejność zależała przede wszystkim od naszej gorączkowej żądzy wiedzy, od naszych nie uporządkowanych pytań. Ale bez względu na swoją wagę nigdy nie kłóciły się z podstawową zasadą. Żyrandol, który spadł z plafonu w Operze podczas przedstawienia *Fausta*, natychmiast odzywał się dźwiękiem tłuczonego kryształu we wszystkich salach paryskich. W prawdziwym teatrze — zgodnie z naszym wyobrażeniem — musiała zawsze pobrzękiwać leciutko ogromna kiść ze szkła, dostatecznie dojrzała, by oderwać się od sufitu przy akompaniamencie fioritury czy aleksandrynu... Jeśli chodzi o prawdziwy cyrk paryski, byliśmy przekonani, że tresera zawsze rozszarpują dzikie zwierzęta — jak Murzyna imieniem Delmonico, którego na arenie zaatakowało siedem lwic.

Charlotte czerpała swoją wiedzę z walizy syberyjskiej bądź ze wspomnień z dzieciństwa. Wiele tych historii sięgało czasów jeszcze dawniejszych: słyszała je od wuja lub Albertyny, którzy z kolei dziedziczyli je po swych rodzicach.

Mało nas jednak obchodziła chronologia! Czas Atlantydy płynął nieprzerwanie w cudownej teraźniejszości. Wibrujący baryton Fausta wypełniał salę. „Pozwól mi, pozwól mi podziwiać twoją twarz!” Kryształowy pajak spadał, lwice rzucały się na nieszczęsnego Delmonika, kometa przecinała niebo, spadochroniarz skakał w wieży Eiffla, dwaj złodzieje korzystając z letniej kanikuly wymykali się z Luwru unosząc Monę Lisę. Książę Borghese wypinał pierś, dumny z udziału w pier-

wszym rajdzie automobilowym Pekin–Paryż via Moskwa... A w Pałacu Elizejskim w półmroku dyskretnego gabinetu mężczyzna z pięknym białym wąsem obejmował kochankę i umierał po ostatnim pocałunku.

Ta terażniejszość — ten czas, w którym gesty powtarzały się w nieskończoność — była oczywiście złudzeniem optycznym. Ale dzięki iluzorycznej wizji odkryliśmy parę zasadniczych cech charakteru mieszkańców naszej Atlantydy. Na ulicach paryskich z naszych opowieści nieustannie wybuchały bomby. Rzucali je anarchiści, zapewne tak liczni jak gryzетки czy dorożkarze fiaków. Imiona niektórych wrogów porządku społecznego długo będę kojarzył z hukiem wybuchów lub szczękiem broni: Ravachol, Santo Caserio...

Tak, na hałaśliwych ulicach objawiła się nam szczególna właściwość francuskiego ludu: wciąż się on czegoś domagał, o coś się upominał, nigdy nie był zadowolony ze status quo, gotów w każdej chwili wylec na ulice, aby detronizować, wstrząsać, żądać. Wobec doskonałego spokoju w naszej ojczyźnie ci Francuzi robili wrażenie urodzonych buntowników, kontestatorów z przekonania, profesjonalnych malkontentów. W sennej, cichej Saranzie ta syberyjska waliza — wypchana gazetami, donoszącymi o strajkach, zamachach, walkach na barykadach — przypominała wielką bombę.

A kilka przecznic dalej od tych huczących ulic, we wciąż trwającej terażniejszości, stawaliśmy

przed małą, przytulną kawiarenką, której szyld odczytywała nam uśmiechnięta Charlotte: „Pod ratafią Neuilly”. „Tę ratafię — wyjaśniła — podawano tam w srebrnych kokilkach”...

Ludzie z naszej Atlantydy mogli zatem darzyć sentymentem kawiarnię; podobała im się jej nazwa, lubili jej swoistą atmosferę. I przez całe życie pamiętali, że w narożnej kawiarence w Neuilly pili ratafię ze srebrnych kokilek. Tak, nie w topornych szklankach, nie w kubkach, lecz w delikatnych kokilkach. Było to dla nas nowe odkrycie; jakaś tajna więź łączyła miejsce posiłku i jego rytuał z tonacją psychologiczną. „Czy te ich ulubione bistra — pytaliśmy siebie — mają dla nich duszę albo przynajmniej własną fizjonomię?” W Saranzie była tylko jedna kawiarnia. Ładnie się nazywała: „Śnieżynka”, ale nie budziła w nas więcej emocji niż sklep z meblami czy Kasa Oszczędnościowa naprzeciwko. Zamykano ją o ósmej wieczorem i dopiero wtedy jej ciemne wnętrze z niebieskim okiem nocnej lampki podsycało naszą ciekawość. Pięć lub sześć restauracji w mieście nad Wołgą, gdzie mieszkała nasza rodzina, niczym się od siebie nie różniło: punktualnie o siódmej otwierały się drzwi przed zniecierpliwionym tłumem, piekielna muzyka i zapach smażonego tłuszczu wylewały się na ulice, a o jedenastej ten sam tłum, znużony i ogłupiały, cisnął się do wyjścia, przy którym „kogut” milicyjny dodawał nieco fantazji niezmiennemu widowisku... Kokilki srebrne „Pod ratafią Neuilly” — powtarzaliśmy sobie po cichu.

Charlotte wyjaśniła nam, z czego robiono ten niezwykle napój. Wyjaśnienia objęły naturalnie cały świat win. Porwani barwnym potokiem nazw, zapachów, bukietów, zawarliśmy znajomość z niezwykle istotami, których podniebienia były zdolne rozróżnić tyle niuansów smakowych. A przecież ci sami ludzie wznosili barykady! Przypomniawszy sobie kilka etykietek na butelkach z półek „Śnieżynki”, stwierdziliśmy, że nazwy były wyłącznie francuskie: Szampanskoje, Konjak, Silvaner, Muskat, Kagor, Aligoté...

Przede wszystkim jednak zaskoczyła nas sprzeżność: ci anarchiści potrafili wypracować system napitków tak harmonijny i skomplikowany! Co więcej, wszystkie te wina tworzyły, według Charlotte'y, mnóstwo kombinacji z serami. A te z kolei stanowiły prawdziwą encyklopedię serowych smaków i kolorytów lokalnych — niemalże posiadały indywidualny temperament... Rabelais, który często nawiedzał nasze stepowe wieczory, nie kłamał.

Odkryliśmy, że posiłek, tak, zwykłe jedzenie, może być inscenizacją, liturgią, sztuką. Jak w „Café des Anglais” na bulwarze des Italiens, gdzie wuj Charlotte'y nieraz jadał kolacje z przyjaciółmi. To on opowiedział siostrzenicy o rachunku na niebotyczną sumę dziesięciu tysięcy franków za sto... żab. „Panowały przeraźliwe mrozy — mówił — zamarzły rzeki. Trzeba było pięćdziesięciu robotników do wydobywania tych żab spod lodu”. Nie wiem, co nas bardziej zdumiewało, niewyobrażalne danie, zaprzeczające wszel-

kim pojęciom o gastronomii, czy też pułk muzyków rąbiących lód na Sekwanie.

Szczerze mówiąc, zaczynaliśmy tracić głowę: Luwr, *Cyd* w Komedii Francuskiej, barykady, strzelanina w katakumbach, Akademia, deputowani w łodzi i kometa, i żyrandole spadające jeden po drugim, i Niagara win, i ostatni pocałunek Prezydenta... I żaby wyrwane z zimowego snu! Mieliśmy do czynienia z narodem bajecznie wprost różnorodnym, jeśli chodzi o uczucia, zachowanie, spojrzenia, poglądy, sposób wysławiania się, tworzenia, kochania.

Za pośrednictwem Charlotte'y poznaliśmy też sławnego kucharza, Urbaina Dubois, który zadekował Sarze Bernhardt zupę z krewetek i szparagów. Trudno zaiste wyobrazić sobie barszcz dedykowany komuś niczym książka... Pewnego dnia szliśmy po ulicach Atlantydy za młodym elegantem, który udawał się do bardzo naonczas modnej kawiarni (jak twierdził wuj Charlotte'y), do „Webera”. Dandys zamówił to, co zawsze zamawiał: kiść winogron i szklankę wody. Był to Marcel Proust. Patrzyliśmy na winogrona i wodę, a pod naszym zafascynowanym spojrzeniem zamieniały się one w niebywale wytworny posiłek. Liczyły się więc nie tylko gatunki win czy rabelajsowska obfitość jadła...

Pomyśleliśmy znowu o francuskim *esprit*, którego tajemnicę usiłowaliśmy przejrzeć. Charlotte, jak gdyby chciała jeszcze bardziej uatrakcyjnić nasze wysiłki, opowiedziała nam wtedy o restauracji Paillard na Chaussée-d'Antin, skąd pewne-

go wieczoru cygański wiolonczelista Rigo porwał księżniczkę Caraman-Chimay...

Jeszcze pełen niedowierzania, pytałem siebie w cichości ducha, czy owa tak poszukiwana kwintesencja francuska nie ma swego źródła w miłości? Bo wszystkie drogi w naszej Atlantydzie krzyżowały się w Krainie Czułości.

Saranza pogrążała się w pachnącej nocy stepowej. Korzenne zapachy mieszały się z zapachem ciała kobiety strojnej w drogocenne klejnoty i gro-nostaje. Charlotte opisywała szaleństwa boskiej Otero. Ze zdziwieniem i niedowierzaniem przyglądałem się ostatniej wielkiej kurtyzanie, upozowanej na sofie o kapryśnych kształtach. Całe swoje ekstrawaganckie życie poświęciła miłości. Dokoła jej tronu krążył niespokojny tłum mężczyzn: jedni przeliczali nędzne napoleony, resztki utraconej fortuny, inni zbliżali powoli lufę rewolweru do swoich skroni. I nawet w tym końcowym geście umieli zdobyć się na elegancję, równą elegancji kiści winogron Marcela Prousta... Jeden z zawiedzionych amantów popełnił samobójstwo w miejscu, w którym po raz pierwszy spotkał Caroline Otero!

W tym egzotycznym kraju kult miłości nie znał granic socjalnych; daleko od luksusowych buduarów, na ubogich przedmieściach widzieliśmy dwie rywalizujące z sobą bandy z Belleville, wykrwawiające się wzajem z powodu kobiety. Jedy-na różnica: włosy pięknej Otero połyskiwały czernią kruczego skrzydła, a dziewczyna, o którą toczono walkę, miała włosy koloru dojrzałej psze-

nicy w blasku zachodzącego słońca. Bandyci z Belleville nazywali ją Casque d'Or.

W tym momencie buntował się nasz zmysł krytyczny. Byliśmy gotowi uwierzyć w zjadaczy żab, ale nie w gangsterów skaczących sobie do gardła dla pięknych oczu dziewczyny!

Najwidoczniej nie musiało to nikogo dziwić w naszej Atlantydzie; czyż zapomnieliśmy, jak wuj Charlotte'y chwiejąc się na nogach wysiadał z fiakra; wzrok miał zmacony, ramię przewiązane skrwawionym szalem — wracał z Lasu Marly, gdzie pojedynkował się w obronie honoru pewnej damy... A generał Boulanger, obalony dyktator, czyż nie palnął sobie w łeb na grobie ukochanej?

Kiedyś, gdy wracaliśmy we trójkę z przechadzki, zaskoczyła nas gwałtowna ulewa. Szliśmy starymi uliczkami Saranzy, gdzie stały tylko wielkie, poczerniałe z wiekiem drewniaki. Schroniliśmy się na jakimś ganku. Uliczkę, przed chwilą dyszącą upałem, ogarnął chłodny mrok, smagały ją fale gradu. Silny zapach mokrych kamieni dobywał się z kocich łbów jezdni. Za wodną zasłoną majaczyły fasady domów — wszystko to sprawiało, że można było czuć się jak w wielkim mieście w jesienny deszczowy wieczór. Głos Charlotte'y, początkowo ledwie słyszalny poprzez szum kropel, przypominał teraz echo tłumione przez nawałnicę.

— Była taka sama ulewa i dzięki niej odkryłam napis na wilgotnym murze jednego z domów przy alei Arbalétriers w Paryżu.

Schowałyśmy się, matka i ja, w bramie, żeby przeczekać deszcz, i wtedy przypadkiem zobaczyłyśmy tę pamiątkową tablicę. Nauczyłam się jej treści na pamięć. „W tym pasażu, wychodząc z pałacu Barbette, diuk Ludwik Orleański, brat króla Karola VI, został zamordowany przez Jana Nieustraszonego, księcia Burgundii, w nocy z 23 na 24 listopada 1407”... Wychodził od królowej Izabeli Bawarskiej...

Babka zamilkła, ale w szepcie deszczowych kropeł wciąż słyszeliśmy legendarne imiona wplecione w tragiczny monogram miłości i śmierci: Ludwik Orleański, Izabela Bawarska, Jan Nieustraszony...

Nagle, nie wiem dlaczego, przypomniałem sobie Prezydenta. Nawiedziła mnie myśl bardzo jasna, bardzo prosta, oczywista: podczas wszystkich uroczystości ku czci cesarskiej pary — tak, w orszaku na Polach Elizejskich i przed grobem Napoleona, i w Operze — Prezydent nie przestawał marzyć o swojej kochance, Marguerite Steinheil. Rozmawiał z Carem, wygłaszał mowy, odpowiadał Carowej, zamieniał spojrzenia z małżonką. Ale Marguerite nie opuszczała go ani na chwilę.

Woda ściekała z omszałego dachu starej „izby”, której ganek użyczył nam schronienia. Zapomniałem, gdzie jestem. Miasto, zwiedzane kiedyś w towarzystwie Cara, przeistoczyło się w mgnieniu oka. Oglądałem je teraz spojrzeniem zakochanego Prezydenta.

Tym razem, opuszczając Saranę, odnosiłem wrażenie, że wracam z dalekiej wyprawy. Dała mi ona pewną sumę wiedzy, wgląd w zwyczaje i obyczaje, znajomość, jeszcze nie zupełną, tajemniczej cywilizacji, która co wieczór odradzała się w głębi stepu.

Każdy młody chłopak, nim pożegna dzieciństwo, dokonuje własnej oceny zjawisk — jest to odruch obronny przed skomplikowanym światem ludzi dorosłych. W tym względzie byłem może bardziej dociekliwy niż inni. Ponieważ kraj, który zamierzałem odkryć, już nie istniał; musiałem wśród gęstej mgły przeszłości rekonstruować topografię jego świętych i sławnych miejsc.

Pyszniłem się zwłaszcza galerią kolekcjonowanych typów ludzkich. Prócz Prezydenta-kochanka, deputowanych w łódce i dandysa z kiścią winogron były tam postacie niepozorne, choć nie najzwyczajniejsze. Mali chłopcy zatrudniani w kopalniach, z uśmiechem na wysmarowanych czernią twarzach... Gazeciarz (nie mieliśmy odwagi wyobrazić sobie szaleńca biegającego po ulicach z okrzykiem: „Prawda”, „Prawda”!). Treser psów uprawiający swój zawód na bulwarach. Strażnik polny z bębniem. Strajkujący robotnicy przy kotle z „komunistyczną zupą”. A nawet handlarz psimi odchodami. Pęczniałem z dumy na myśl, że wiem, iż ten szczególny towar używany był wówczas do zmiękczenia skór...

Ale moją największą zdobyczą tego lata było zrozumienie, jak się żyje we Francji. Nieprzeliczone elementy jej nieuchwytniej tożsamości uło-

żyły się w jedną żywą całość. Był to sposób egzystowania bardzo uporządkowanego mimo swych ekscentrycznych aspektów.

Francja przestała być dla mnie zwykłym muzeum osobliwości, stała się istotą czującą i wrażliwą, której cząsteczkę zaszczepiono mi pewnego dnia.

2

— Nie, nigdy nie zrozumieję, dlaczego za-
grzebała się w Saranzie. Mogłaby sobie żyć spokojnie razem z nami...

Omam nie spadłem ze stołka przed telewizorem. Bo ja doskonale wiedziałem, czemu Charlotte uparcie trzyma się prowincjonalnej miejsciny. Dorosłym siedzącym w naszej kuchni mogłem bardzo łatwo wytłumaczyć jej wybór. Powiedziałbym o przejrzystym, suchym powietrzu stepowym, które destyluje przeszłość. Powiedziałbym o zapyłonych ulicach, które donikąd nie wiodą i kończą się na tej samej niezmiarzonej równinie. O miasteczku, w którym Historia, ścinając głowy kościołów i kastrując wybujałą architekturę, rozprawiła się z pojęciem czasu. O miasteczku, gdzie żyć znaczy wykonywać machinalnie codzienne gesty, przywołując do życia przeszłość.

Ale nie otworzyłem ust w obawie, że wyrzucą mnie z kuchni. Dorośli — co od jakiegoś czasu zauważyłem — łaskawiej tolerowali moją obecność. Zdawało się, że w wieku lat czternastu zdobyłem prawo do przysłuchiwania się późnowie-

czornym rozmowom. Pod warunkiem, że będę niewidoczny. Zachwycony tą zmianą nie chciałem nadużywać przywileju.

W zimowych pogawędkach równie często jak dawniej padało imię Charlotte'y. Tak, życie mojej babki nadal dostarczało tematu naszym gościom i oszczędzało ich miłość własną.

Młoda Francuzka miała i tę przewagę, że jej życie przypadło na krzyżowe momenty w dziejach kraju. Czasy carskie, lata czystek stalinowskich, wojna. Widziała upadek tylu idoli! Życie Charlotte'y w najkrwawszym stuleciu imperium zyskiwało w oczach tych ludzi wymiar epicki.

To ona, Francuzka, urodzona na drugim końcu świata, patrzyła niewidzącym wzrokiem na piaszczyste pagórki za rozwartymi drzwiami wagonu. („Co za licho poniosło ją na tę cholerną pustynię?” — zawołał kiedyś przyjaciel mego ojca, pilot wojskowy). Obok Charlotte'y, nieruchomy jak ona, stał jej mąż Fiodor. Pomimo szybkiej jazdy pociągu powiew wiatru wpadający do wagonu nie dawał żadnej ochłody. Długo tak stali w obramowaniu światła i skwaru. Wiatr niby ścierny papier wygładzał ich czoła. Słońce rozszczepiało spojrzenie na miriady błysków. Ale nie poruszali się, jak gdyby pragnęli, by męczącą przeszłość zatarł gorący wiatr i słońce. Dopiero co opuścili Bucharę.

To ona po powrocie na Syberię wystawała godzinami przy ciemnym oknie, chuchając na szybę, która pokrywała się warstwą szronu. Przez szklanego judasza wyglądała na bielejącą w nocy

ulicę. Nieraz jakiś wóz przejeżdżał powoli, zbliżał się do ich domu i odjeżdżał po chwili wahania. Wydzwaniała trzecia nad ranem, w kilka minut później rozlegał się skrzyp śniegu na ganku. Przymykała oczy, nim zdecydowała się otworzyć drzwi. Bo mąż zawsze wracał o tej porze... Ilekroć na zaśnieżonych ulicach pojawiał się czarny samochód, ludzie znikali — albo z miejsca zatrudnienia, albo z własnych mieszkań w środku nocy. Charlotte była przekonana, że nic mu nie grozi, dopóki ona czeka przy oknie chuchając na oszronioną szybę. O trzeciej porządkował akta na swoim biurku i szedł do domu. Jak inni funkcjonariusze na przestrzeni całego imperium kończył dzień pracy o trzeciej nad ranem. Wiedziano bowiem, że o tej porze na Kremlu kończy pracę gospodarz tego kraju. Wszyscy gorliwie go naśladowali. Nawet nie pomyślano, że godziny nie mogą z sobą korespondować z uwagi na różne strefy czasowe leżące między Moskwą a Syberią. I że Stalin wstaje z łóżka i nabija pierwszą fajkę, gdy w mieście syberyjskim jego wierni poddani walczą z sennością na krzesłach zamienianych w narzędzia tortur. Władca zdawał się z Kremla narzucać swoją miarę biegowi czasu i samemu słońcu. Kiedy kładł się spać, każdy zegar na naszej planecie wskazywał trzecią nad ranem. Tak przynajmniej powszechnie mniemano.

Pewnej nocy, wyczerpana oczekiwaniem, Charlotte przysnęła na krótko. Ocknąwszy się nagle, usłyszała mężowskie kroki w dzieciennym pokoju i zobaczyła tam Fiodora, który pochylał się nad

łóźeczkiem synka, chłopczyka o czarnych łałdkich włosach, niepodobnego do nikogo z rodziny.

Fiodora aresztowano nie za dnia w biurze ani o świcie, wyrywając go ze snu bębnieniem w drzwi. Nie, stało się to w wieczór świąteczny. Przebrał się wtedy za Dziadka Mroza; czerwony płaszcz i długa broda fascynowały dwunastoletniego malca i jego młodszą siostrzyczkę, moją matkę. Weszli do mieszkania w momencie, kiedy Charlotte poprawiała mu czapę na głowie. Nie potrzebowali pułkać, drzwi były otwarte. Spodziewano się gości.

Scena aresztowania, powtarzająca się milion razy w ciągu jednej dekady życia kraju, rozegrała się tego wieczoru przy ubranej choince, w obecności dwojga dzieci w kartonowych maseczkach — dziewczynka była wiewiórką, chłopiec — zajączkiem. A Dziadek Mróz stał nieruchomo pośrodku pokoju, świadom dalszego ciągu i niemal szczęśliwy, że dzieci nie widzą, jak poblady mu policzki osłonięte brodą z waty. Do wiewiórki i zajączka, które patrzyły na intruzów spoza maseczek, Charlotte powiedziała spokojnie:

— Chodźmy stąd, dzieci. Zapalimy sztuczne ognie.

Mówiła po francusku. Dwaj agenci wymienili ciężkie, znaczące spojrzenia...

Fiodora uratowało coś, co z punktu widzenia logiki powinno go było zgubić: narodowość żo-

ny... Myślał już o tym parę lat wcześniej, gdy ludzie zaczęli znikać, rodzina po rodzinie, dom po domu. Charlotte'ę obciążały dwa zarzuty, najczęściej stawiane „wrogom ludu”: pochodzenie „burżuazyjne” i kontakty z zagranicą. Ożeniony z „elementem burżuazyjnym”, na domiar złego z Francuzką, Fiodor mógł się naturalnie spodziewać, że wezmą go za „płatnego szpiega na usługach imperialistów francuskich i brytyjskich”. Taką formułką posługiwały się władze od jakiegoś czasu.

Ale właśnie wobec tej niepodważalnej oczywistości zacięła się dobrze naoliwiona machina represyjna. Zazwyczaj bowiem, kiedy montowano jakiś proces, należało udowodnić oskarżonemu, że zřęcznie przez całe lata ukrywał swoje związki z zagranicą. W wypadku Sybiraka, który znał tylko swój język ojczysty, nigdy nie opuszczał kraju i nie spotykał się z przedstawicielami świata kapitalistycznego — wykazanie winy, choćby oparte na samych kłamstwach, wymagało pewnych umiejętności.

A Fiodor niczego nie ukrywał. Paszport Charlotte'y potwierdzał czarno na białym jej narodowość francuską. Miejsce urodzenia: Neuilly-sur-Seine, w transkrypcji rosyjskiej jeszcze dobitniej podkreślało, że jest cudzoziemką. Jej wyjazdy do Francji, „burżuazyjni” krewni, wciąż tam przebywający, jej dzieci mówiące i po francusku, i po rosyjsku — wszystko to było nader jasne. Zeznania, wymuszane zwykle przez tortury po długich tygodniach nękających przesłuchań, składał teraz delikwent z dobrej woli. Machina

pracowała na jałowym biegu. Fiodora uwolniono, a że stawał się coraz bardziej kłopotliwy, przeniesiono go służbowo na drugi kraniec imperium, do jednego z zagrabionych miast polskich.

Spędzili razem tydzień. Tyle czasu, ile trwała podróż i jeden długi, pełen zamieszania dzień poświęcony instalowaniu się na nowym miejscu. Nazajutrz Fiodor wyjeżdżał do Moskwy, żeby starać się o ponowne przyjęcie do Partii, z której go pochopnie wykluczyli. „To kwestia dwóch dni” — rzekł do Charlotte’y odprowadzającej go na dworzec. Po powrocie do domu Charlotte spostrzegła, że zapomniał papierośnicy. „Nic wielkiego — pomyślała — to tylko dwa dni”... I ten bliski moment (Fiodor wejdzie do pokoju, zobaczy na stole papierośnicę, klepnie się po czole i zawoła: „Co za głupiec ze mnie! Wszędzie jej szukałem!...”), tak, ten bliski czerwcowy ranek zapoczątkuje szereg szczęśliwych dni...

Spotkają się dopiero cztery lata później. A Fiodor nigdy nie odzyska swojej papierośnicy, bo Charlotte wymieni ją w czasie wojny na bochenek wiejskiego chleba.

Dorośli rozmawiali. Telewizor zapewniał im spokojne tło muzyczne, przekazywał promienne aktualności, ostatnie osiągnięcia w narodowym przemyśle, koncerty w teatrze Bolszoi. Wódka łagodziła gorycz przeszłości. I czułem, że wszyscy bywalcy naszej kuchni, nawet ci od niedawna w niej przesiadujący, darzyli sympatią Francuzkę,

która bez zmrużenia oka zaakceptowała los ich kraju.

Wiele spraw poznałem dzięki opowiadaniom dorosłych. Domyśliłem się, dlaczego w noworoczne święta ogarniał naszą rodzinę niepokój, podobny do nagłego przeciągu, który o zmierzchu zatrzaskuje drzwi pustego domu. Przykrej atmosfery nie rozpraszały ani prezenty, ani wesoły nastrój ojca, ani huk petard i jarząca się choinka. Jak gdyby mimo toastów, strzelania korków i śmiechu spodziewano się czyjś przyjścia. Podejrzewam nawet, że rodzice z ulgą witali śnieżną codzienną ciszę pierwszych dni stycznia. W każdym razie siostra i ja woleliśmy okres poświęteczny od samych świąt.

Rosyjskie dni mojej babki — dni, które w pewnym momencie stawały się po prostu jej życiem, a nie „rosyjskim etapem” przed powrotem do Francji — miały dla mnie sekretną tonację, nie dostrzeganą przez innych. Był to rodzaj niewidzialnej aury, którą zawdzięczała Charlotte swej przeszłości odradzającej się w zadymionej kuchni. Ze zdumieniem i zachwytem mówiłem sobie: „Ta kobieta, która po nocach całymi miesiącami czekała na wybicie osławionej godziny trzeciej przy zlodowaciałym oknie, była tą samą tajemniczą i jakże bliską istotą, która w kawiarni w Neuilly widziała kiedyś srebrne kokilki”.

W rozmowach o Charlotte’cie nigdy nie pomijano tamtego poranka.

To jej synek obudził się pierwszy w środku nocy. Wyskoczył z rozkładanego łóżka i na bosaka, z wyciągniętymi ramionami podbiegł do okna. W ciemności potrącił posłanie siostry. Charlotte również nie spała. Zapatrzona w ciemność usiłowała zorientować się, skąd pochodzi nieustanne i monotonne huczenie, od którego zdawały się wibrować mury. Ten przewlekły, złowróźbny dźwięk wprawiał w drżenie jej ciało. Dzieci przypadły do okna. Usłyszała zdumiony okrzyk córki:

— Och! Ile gwiazd! I wszystkie się ruszają!

Nie zapalając światła, Charlotte zbliżyła się do okna. Na stole zauważyła słaby blask metalu: papierośnica Fiodora. Tego ranka miał wrócić z Moskwy. Na nocnym niebie zobaczyła szereg wolno przesuwających się światełek.

— Samoloty — rzekł chłopiec głosem jak zawsze spokojnym. — Eskadry samolotów...

— Ale dokąd one lecą? — westchnęła dziewczynka, szeroko rozwierając ciężkie od snu powieki.

Charlotte dotknęła ich pleców.

— Kładźcie się spać! To z pewnością ćwiczenia naszej armii. Wiecie, że do granicy stąd niedaleko. Manewry albo przygotowania do pokazów lotniczych...

Malec odkaszlnął i szepnął jakby do siebie ze zwykłym łagodnym smutkiem, zaskakującym u chłopca w jego wieku:

— A może to wojna...

— Nie pleć głupstw, Sierioża — skarciła go

Charlotte. — Marsz do łóżka! Jutro idziemy na dworzec po waszego tatę.

W świetle lampki nocnej spojrzała na zegarek. „Wpół do trzeciej. Więc to już dzień...”

Nie zdążyli zasnąć na nowo. Pierwsze bomby rozdarły noc. Eskadry, od godziny przelatujące nad miastem, miały na celu odleglejsze rejony w głębi kraju, gdzie atak wywołał istne trzęsienie ziemi. Dopiero około pół do czwartej nad ranem Niemcy zaczęli bombardować linię przygraniczną, oczyszczając drogę dla wojsk lądowych. A ta zaspana nastolatka, moja mama, urzeczona plejadą lecących w ordynku gwiazd, znalazła się w niespodziewanym nawiasie dzielącym pokój od wojny.

Było już rzeczą prawie niemożliwą opuścić dom. Ziemia kołysała się pod nogami, dachówki jedna po drugiej z suchym trzaskiem rozpryskiwały się na schodach werandy. Huk wybuchów odbierał wymowę gestom, zagłuszał słowa.

Charlotte'cie udało się wreszcie wyprowadzić dzieci z domu; wyszła z dużą walizką, ciężącą jej na ramieniu. W budynku przeciwległym nie było już szyb. Firanka powiewała na lekkim wietrze. Falowanie tej jasnej tkaniny zachowało całą słodycz poranków w czasie pokoju.

Ulica wiodąca na dworzec była zasypana rozbitym szkłem, połamanymi gałęziami. Tu i ówdzie powalone drzewa tarasowały drogę. Musieli też okrążyć gigantyczny lej. Dokoła niego gęstniał tłum uciekinierów. Ludzie dźwigający worki popychali się, żeby nie wpaść w przepaść, i nagle

zauważali obecność innych. Starali się nawiązać rozmowę, ale podmuch po wybuchu bomby między domami ogłuszył ich i zakneblował im usta. Bezradnie wymachując rękami ruszyli dalej. Kiedy na końcu ulicy Charlotte zobaczyła dworzec, odczuła boleśnie, że jej wczorajsze życie odchodzi bezpowrotnie w przeszłość. Z dworca została tylko fasada; przez puste orbity okien widać było blade niebo poranka...

I wreszcie wiadomość podawana przez setki ust stała się głośniejsza od huku bomb: ostatni pociąg na wschód odszedł, z absurdalną dokładnością trzymając się rozkładu jazdy. Tłum, natknąwszy się na ruiny dworca, znieruchomiał, a potem, przerażony rykiem samolotu, rozbiegł się po sąsiednich ulicach lub ukrył się pod drzewami na skwerze.

Charlotte zdeorientowana rozglądała się dookoła. Pod jej stopami leżała oberwana tabliczka: „Przechodzenie przez tory grozi niebezpieczeństwem!” A te zerwane wskutek eksplozji tory były teraz kłębowiskiem szyn wspartym na betonowym słupie wiaduktu. Szyny celowały w niebo, podkłady przypominały fantasmagoryczne schody prowadzące wprost w chmury.

— Tam stoi pociąg towarowy i ma odejść — usłyszała spokojny i jakby znudzony głos syna.

W oddali przy zestawie brunatnych wagonów kręcili się ludzie. Charlotte podniosła walizę, dzieci chwyciły swoje torby.

Kiedy podbiegali do ostatniego wagonu, pociąg już ruszał, co powitały nieufne westchnienia radości. W rozsuwanych drzwiach stali zbici w gro-

madkę wystraszeni pasażerowie. Charlotte, zrozpaczona powolnością własnych ruchów, pchnęła dzieci ku tym drzwiom. Siergiej wskoczył i w locie złapał walizę. Dziewczynka przyspieszyła kroku, żeby uczepić się ręki brata. Charlotte objęła ją wół i zdołała przerzucić za próg zatłoczonego wagonu. Teraz musiała biec co tchu, żeby sięgnąć do żelaznej sztaby. W ciągu niespełna sekundy widziała zmartwiałe twarze uciekinierów, płaczącą córkę i — z wyrazistością wręcz nienaturalną — drewnianą popękaną ścianę wagonu...

Potknęła się, upadła na kolana. Reszta odbyła się tak szybko, że — jak jej się zdawało — nawet nie poczuła pod stopą białego żwiru nasypu... Czyjeś dwie ręce zacisnęły się mocno na jej bokach, niebo gwałtownie zatoczyło krąg — i wylądowała w wagonie. Mignęła jej w oczach kolejarska czapka i sylwetka mężczyzny ostro rysująca się na jasnym tle między rozsuwanymi drzwiami.

Okolo południa minęli Mińsk. Osnute gęstym dymem słońce było czerwone jak słońce innej planety. Wielkie spłachcie popiołu — żałobne ćmy — wirowały w powietrzu. Nikt nie mógł pojąć, jak to możliwe, że w ciągu wojny, trwającej ledwie parę godzin, miasto przeobraziło się w rzędy szerniałych szkieletów.

Pociąg włókł się wolno, po omacku w zwężonym mroku, pod słońcem, które już nie raziło w oczy. Przywykli do tej ostrożnej jazdy i do nieba drgającego od huku samolotów. A nawet do przenikliwego gwizdu tuż nad głowami, po którym zaczynały terkotać kule o dach wagonu.

W pobliżu wypalonego miasta trafili na szczątki pociągu rozprutego przez bomby. Niektóre wagony stoczyły się po nasypie, inne, pojedyncze lub spiętrzone w monstrualnej stercie, stały na szynach. Kilka pielęgniarek, przerażonych własną bezradnością wobec tylu leżących ciał, przechodziło wzdłuż konwoju. W czarnych wnętrzach majaczyły ludzkie postacie, czyjeś ramię zwisało z rozbitego okna. Wszędzie walały się poszarpane bagaże. Na podkładach i w trawie najbardziej zadziwiała ilość lalek... Przy jednym z wagonów utrzymała się emaliowana tabliczka i można było odczytać miejsce przeznaczenia. Charlotte stwierdziła ze zgrozą, że jest to pociąg, na który spóźnili się rano. Tak, ostatni pociąg odchodzący na wschód, zgodnie z przedwojennym rozkładem jazdy.

Gdy noc zapadła, pociąg przyspieszył biegu. Charlotte widząc, że przytulona do jej ramienia córka dygocze z zimna, wstała, by otworzyć dużą walizę, na której obie siedziały. Trzeba było przygotować się na noc, wyciągnąć ciepłe rzeczy i dwie torebki herbatników. Charlotte podniosła wieko, wsunęła do środka rękę i zastygła w bezruchu, nie mogąc powstrzymać krótkiego okrzyku, który obudził sąsiadów.

Walizę wypełniały stare gazety! Rankiem, w pośpiechu, zdjęta paniką zabrała z domu walizę syberyjską...

Nie wierząc jeszcze własnym oczom, wyciągnęła jakąś pożółkłą kartkę i w szarym świetle zmierzchu odczytała: „Deputowani i senatorowie, niezależnie od swych opinii, natychmiast

odpowiedzieli na wezwanie pp. Loubeta i Brissona... Przedstawiciele wysokich władz państwowych zebrali się w salonie Murata...”

Gestem somnambuliczki Charlotte zatrzasnęła walizę, siadła na niej i rozglądała się wokół, potrząsając lekko głową, jak gdyby zaprzeczała oczywistości.

— Mam w torbie starą kurtkę. I wziąłem chleb z kuchni, kiedy wychodziliśmy...

Poznała głos Siergieja. Chłopiec odgadł zapewne stan jej ducha.

W nocy Charlotte usnęła i spała tyle czasu, ile trwał krótki sen, mieszanina dźwięków i barw z dawnych lat... Obudził ją ktoś przepychający się do wejścia. Pociąg stał w szczerym polu. Powietrze nie było już tak zawiesiste i czarne jak w mieście, z którego uciekali. Równina, widoczna w bladym prostokącie otwartych drzwi, szarzała szarością północnych nocy. Kiedy jej oczy oswoiły się z mrokiem, zobaczyła niedaleko torów zagajnik i kontury śpiącej chaty. Na łące, rozciągniętej wzdłuż nasypu kolejowego, pasł się koń. Cisza panowała tu tak wielka, że słyszało się wizg wyrywanej trawy i miękkie klaśnięcia kopyt na wilgotnej ziemi. Z pogodną goryczą, co ją samą dziwiło, Charlotte pochwyciła myśl rodzącą się w jej umyśle, myśl jasną i przejrzystą: „Piekło spalonych miast, a w kilka godzin później... koń skubiący zroszoną trawę, świeżość nocy. Kraj jest za duży, aby mogli go pokonać. Cisza nieskończonych równin oprze się ich bombom”...

Nigdy dotąd nie czuła się tak bliska tej ziemi.

W ciągu pierwszych miesięcy wojny widziała w snach nieprzerwany pochód okaleczonych ciał, które opatrywała pracując po czternaście godzin dziennie. Konwoje z rannymi kierowano do ich miasta oddalonego o jakieś sto kilometrów od frontu. Charlotte często towarzyszyła lekarzowi, który wychodził na dworzec, by przyjmować pociągi wiozące poszarpane mięso ludzkie. Na sąsiednich torach nieraz widywała w oknach wagonów żołnierzy dopiero co zmobilizowanych, jadących w przeciwną stronę, na front.

Korowód okaleczonych ciał nieprzerwanie przemierzał jej sny. Ranni gromadzili się na pograniczu nocy, czekali na nią: młody piechur z oberwaną dolną szczęką, z językiem zwisającym na brudnej opasce, inny bez oczu, bez twarzy... A zwłaszcza ci, coraz liczniejsi, którzy utracili ręce i nogi, straszliwe kadłuby ze wzrokiem oślepionym przez ból i rozpacz.

Tak, właśnie te oczy rozdzierały delikatną tkanekę jej snów. Układały się w świetlne konstelacje, śledziły ją w ciemności, przemawiały do niej milczeniem.

Pewnej nocy jej sen stał się jeszcze bardziej kruchy — po krótkich momentach zapomnienia obudził ją metaliczny śmiech gąsienic (przez miasto ciągnęły kolumny czołgów). Na bladej kanwie jednego z takich snów zaczęła rozpoznawać wszystkie konstelacje oczu. Tak, już je kiedyś widziała w innym mieście. W innym życiu. Ocknęła się, zaskoczona tym, że nie słyszy najmniejszego hałasu. Czołgi odjechały, nastąpiła ogłuszająca cisza.

I w tej gęstej, niemej ciemności znów zobaczyła oczy żołnierzy, rannych z Wielkiej Wojny. Dnie przepracowane w szpitalu w Neuilly nagle się przybliżyły. „To było wczoraj” — przebiegło jej przez myśl.

Wstała, żeby przymknąć lufcik. Stała przy oknie. Biała zawieja (pierwszy śnieg tej pierwszej wojennej zimy) wielkimi płatami zaścielała czarną jeszcze ziemię. Niebo, zmaczone przez śnieżne fale, wciągało jej spojrzenie w swoje ruchome głębiny. Pomyślała o życiu mężczyzn. O ich śmierci. O tym, że gdzieś tam pod burzliwym niebem są ludzie bez rąk i nóg, z oczami rozwartymi w nocy.

Życie wydało jej się monotonnym ciągiem wojen, nieustannym opatrywaniem ran wciąż krwawiących. I zgrzytem stali na wilgotnych brukach... Płatek śniegu przylepił się do jej ramienia. Tak, te nieprzerwane wojny, te rany — i przy tym wszystkim ten skrycie wyczekiwany moment: pierwszy śnieg.

Spojrzenia rannych tylko dwa razy w czasie wojny nie pojawiły się w jej snach. Po raz pierwszy, gdy dla chorej na tyfus córki musiała zdobyć za wszelką cenę trochę chleba i mleko (od miesięcy jedli kartoflane obierki). Drugi raz, kiedy otrzymała z frontu zawiadomienie o śmierci... Przyszła rankiem do szpitala i została tam przez całą następną noc; miała nadzieję, że otępi ją zmęczenie, bała się wracać, bała się powiedzieć o tym dzieciom. Około północy siadła wreszcie

przy piecu, oparła głowę o ścianę, przymknęła oczy i natychmiast znalazła się na jakiejś ulicy...

Wysłuchana w poranny ruch na trotuarach, wdychała powietrze rozjaśnione skośnymi promieniami bladego słońca. Idąc przez uśpione jeszcze miasto, rozpoznawała na każdym kroku jego topografię: kawiarnia dworcowa, kościół, rynek... Doznawała szczególnej radości odczytując nazwy ulic, patrząc na lśniące szyby w oknach, na zielony skwer za kościołem. Ten, kto szedł u jej boku, prosił, by mu przetłumaczyła jedną z nazw. Odgadła wówczas, co sprawiało, że poranna przechadzka po mieście dawała jej tyle szczęścia...

Obudziła się, zwierając wargi po ostatnim słowie, jakie tam wypowiedziała. A kiedy pojęła całą niewiarygodność swego snu — ona i Fiodor we francuskim mieście w pogodny ranek jesienny — kiedy zgłębiła absolutną nierealność tego spaceru, tak jednak zwykłego, wyjęła z kieszeni prostokącik papieru i po raz setny odczytała śmierć wydrukowaną niewyraźną czcionką i nazwisko męża wpisane ręcznie fioletowym atramentem. Już ją wzywano z drugiego końca korytarza. Miał nadejść konwój z rannymi.

„Samowary”! Mój ojciec i jego przyjaciele nieraz w wieczornych rozmowach tak właśnie mówili o żołnierzach bez rąk i nóg, o żyjących kadłubach, których oczy skupiały w sobie całą rozpacz świata. „Samowary”, bo częściowo amputo-

wane uda przypominały nóżki miedzianego naczynia, a kikuty ramion — dwa uchwyty.

Nasi goście wyrażali się o nich z dziwną fanfaronadą, z kpina i zarazem z goryczą. „Samowar”, ironiczny i okrutny, oznaczał, że skończyła się wojna, zapomniana przez jednych, obojętna dla innych, dla nas, młodych, urodzonych dzieść lat po Zwycięstwie. I żeby ich nie posądzano o patos — myślałem — wspominają przeszłość ze swobodą nieco lajdacką; nie wierzyli ani w Boga, ani w diabła, zgodnie z rosyjskim powiedzonkiem. Dopiero dużo później ów ton objawił mi swój prawdziwy sekret, wprowadzający mnie w błąd: „samowar” był duszą pochwyconą przez resztki rozdartego ciała, mózgiem oderwanym od korpusu, bezsilnym spojrzeniem złowionym przez gąbczastą papkę życia. Tę duszę umęczoną ludzie nazywali „samowarem”.

Rozprawianie o życiu Charlotte’y było dla nich również sposobem na ukrywanie własnych ran i cierpień. Zwłaszcza że jej szpital, do którego zwożono setki żołnierzy ze wszystkich frontów, skupiał niezliczone losy ludzkie, tyle osobistych tragedii.

Na przykład zawsze poruszała mnie historia o żołnierzu z nogą nafaszerowaną... drewnem. Pocisk wybuchł mu pod stopami i wtłoczył w ciało drewnianą łyżkę, którą nosił za cholewą buta. Skaleczenie nie było poważne, należało jednak usunąć z łydki wszystkie najdrobniejsze drzazgi. „Wszystkie kolce” — mówiła Charlotte.

Inny ranny skarżył się po całych dniach, że noga w gipsie swędzi go „jak wszyscy diabli”. Kręcił się, drapał białą pokrywę, jak gdyby mógł paznokciami sięgnąć rany. „Zdejmijcie gips — błagał. — On mnie gryzie. Zdejmijcie gips albo go nożem przetnę!” Lekarz naczelny, który przez dwanaście godzin na dobę nie wypuszczał z rąk skalpela, nie chciał o niczym słyszeć, sądził, że ma do czynienia z „kapryśnikiem”. „Samowary nigdy się nie skarżą” — mówił sobie. Charlotte wymogła na nim w końcu, by pozwolił wyciąć niewielki otwór w gipsie. To ona pincetką wydobyła z okrwawionego ciała białe robaki i przemyła ranę...

Gdy o tym opowiadano, wszystko się we mnie burzyło na widok tych jatek. Czułem na skórze dotyk śmierci. Z szeroko otwartymi oczami obserwowałem dorosłych, dla których te epizody, w gruncie rzeczy mające ten sam sens, były zabawne: strzaskana drewniana łyżka w ranie, robaki...

Mówili też o ranie, która nie chciała się zasklepić, choć pozornie dobrze się goiła; żołnierz był spokojny i poważny, nie wstawał z łóżka, przeciwnie niż inni, co to zaraz po operacji zaczęli waleśać się po korytarzach. Lekarz pochylał się nad jego nogą i kiwał głową. Rana, wczoraj pokryta cienką błonką, znów krwawiła przy zmianie opatrunku; ciemne brzegi przypominały podartą koronkę. „Ciekawe! — powiadał lekarz, ale nie miał czasu dłużej się nad tym zastanawiać. — Nowe bandażę!” — polecał dyżurnej pielęgniarce i prze-

suwał się z trudem między ciasno stojącymi łózkami. Następnej nocy Charlotte przypadkiem zaskoczyła chłopaka... Wszystkie pielęgniarki nosiły buty na wysokich obcasach i korytarze dudniły pod ich krokami. Tylko Charlotte w swoich walonkach poruszała się bezszelestnie. Żołnierz nie słyszał, jak wchodziła na salę; zatrzymała się w progu. Sylwetka chłopaka odcinała się wyraźnie na tle jasnych od śniegu okien. Minęła chwila, zanim zrozumiała: żołnierz pocierał ranę gąbką. Zdjęte bandaże leżały na poduszce... Rankiem powiedziała o tym lekarzowi. Popatrzył na nią zmęczonymi oczami po nieprzespanej nocy i nie od razu pojął, o co chodzi. Wreszcie otrząsnął się z osłupienia i zawołał chrapliwym głosem:

— Co chcesz, żebym zrobił? Zatelefonuję do nich, niechaj go natychmiast zabierają. To przecież samookaleczenie...

— Postawią go przed sądem wojennym...

— Postawią? Zasłużył na to, nie? Inni zdychają w okopach... a on... dezterter!

Zamilkli oboje. Doktor usiadł. Poplamionymi jodyną dłońmi pocierał twarz.

— A gdyby mu założyć gips? — rzekła Charlotte.

Opuścił ręce, twarz miał zagniewaną. Już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Zaczzerwienione oczy nabrały życia, uśmiechnął się.

— Ty ciągle w kółko: gips i gips, jednemu się zdejmuję, bo go łaskocze, drugiemu się zakłada, bo się drapie. Nie przestajesz mnie zadziwiać, Szarloto Norbertowna!

Podczas obchodu obejrzał nie gojącą się ranę i tonem bardzo naturalnym zwrócił się do pielęgniarki:

— Trzeba mu założyć gips. Jedną warstwę. Szarlota się tym zajmie przed odejściem.

Odzyskała nadzieję, gdy w półtora roku po pierwszym zawiadomieniu otrzymała drugie. Fiodor nie mógł być zabity dwa razy — pomyślała — więc może nie zginął. Podwójna śmierć stała się obietnicą życia. Charlotte, nie zwierzając się nikomu, zaczęła znów oczekiwać.

Powrócił, nie z Zachodu i nie na początku lata, jak większość żołnierzy, ale z Dalekiego Wschodu we wrześniu, po klęsce Japonii...

Saranza, miasteczko w pobliżu frontu, drzemała teraz spokojnie wśród zawoźzańskich stepów. Charlotte mieszkała sama: syn (mój wujaszek Siergiej) został przyjęty do szkoły wojskowej, córka (moja matka) wyjechała do sąsiedniego miasta jak wszyscy młodzi pragnący dalej studiować.

W ciepły wrześniowy wieczór wyszła z domu, aby przed nocą na pobrzeżu stepów zerwać trochę dzikiego kopru na marynaty. Zobaczyła go w drodze powrotnej na opustoszałej ulicy... Niosła wiązkę długich łodyg zakończonych żółtymi baldaszkami. Suknię jej i ciało owiewała świeżość milczących pól w płynnym świetle zachodu. Palce jej nasiąkły wonią kopru i suchych ziół. Wiedzia-

ła już, że to życie, pomimo wielu cierpień, może być przeżyte; trzeba je przemierzać powoli, od zachodu słońca po przejmujący zapach kopru, od nieskończonego spokoju równiny po świergot ptaka zagubionego w niebie, tak, idąc od tego nieba do jego głębokiego odbicia, które czuła w piersi jako obecność uważną i żywą. Tak, odczuwać nawet ciepło piasku na wąskiej drodze wiodącej do Saranzy...

Zobaczyła go unosząc wzrok. Szedł na jej spotkanie, był jeszcze daleko, na drugim końcu ulicy. Gdyby pojawił się na progu domu — nie inaczej wyobrażała sobie od dawna ten moment — gdyby wszedł do pokoju, jak wszyscy żołnierze powracający z wojny w życiu i na filmach, wówczas na pewno powitałaby go okrzykiem, rzuciłaby się ku niemu, z płaczem czepiając się męzowskiego bandoletu.

Ale on ukazał się z bardzo daleka, nie od razu dawał się rozpoznać, pozwalał żonie oswoić się z ulicą odmienioną przez sylwetkę mężczyzny, którego niepewny uśmiech już dostrzegala. Nie biegli, nie wypowiedzieli ani słowa, nie uścisnęli się. Mieli wrażenie, że idą ku sobie całą wieczność. Ulica była pusta, wieczorne światło, odbite od połączonych szczytów drzew, wydawało się nie-realnie przejrzyste. Charlotte zatrzymała się i lekko potrząsnęła swoim bukietem. A on pokiwał głową, jak gdyby mówił: „Tak, tak, rozumiem”. Zamiast bandoletu nosił zwykły pas z pociemniałą brązową klamrą. I buty zrudziałe od kurzu.

Charlotte mieszkała na parterze starego dREW-

niaka. Rok po roku w ciągu stulecia grunt podnosił się nieznacznie i dom osiadał. Okno jej pokoju niemal dotykało chodnika... Weszli w milczeniu. Fiodor złożył swoją torbę na stołku, chciał coś powiedzieć, ale nie odezwał się, odkaszlnął tylko, zakrywając palcami usta. Charlotte zabrała się do przygotowania posiłku.

Przylapała się na tym, że odpowiada na jego pytania, odpowiada bez namysłu (rozmawiali o chlebie, kartkach żywnościowych, o warunkach bytowania w Saranzie), że proponuje mu herbatę, że uśmiecha się słysząc, jak on mówi: „Przydałoby się naostrzyć wszystkie noże w tym domu”. Ale biorąc udział w tej pierwszej niezbornej rozmowie była myślami gdzie indziej. „Ten człowiek z krótko ostrzyżoną głową, z włosami jakby posypanymi kredą, to mój mąż — stwierdzała w głębi ducha. — Nie widziałam go cztery lata. Dwa razy go grzebano, najpierw podczas obrony Moskwy, potem na Ukrainie. Jest tutaj. Wrócił. Powinnam płakać ze szczęścia. Powinnam... Ma siwiejące włosy...” Przepuszczała, że i on odbiega myślami od rozmowy na temat racji żywnościowych. Po wrócił, kiedy blask zwycięstwa dawno przygasł. Życie unormowało się. Wrócił zbyt późno. Jak zaproszony na obiad gość, który wskutek roztargnienia zjawia się przed kolacją i wprawia w kłopot gospodynię, żegnając ostatnich opieszających biesiadników. „Pewnie wydaję mu się bardzo stara” — pomyślała nagle; ta myśl nie mogła zastąpić dziwnego braku wzruszenia w jej sercu i obojętności, która zbijała ją z tropu.

Rozpłakała się jednak, kiedy zobaczyła jego nagie ciało. Po wieczerzy zagrzała wodę, na środku pokoju ustawiła cynową wanienkę, w której kąpała dzieci. Fiodor przykucnął w wanience, szare dno ugięło się pod jego stopami z blaszanym jękiem. Struzką ciepłej wody Charlotte oblewała męża, który nieporadnie szorował sobie plecy i ramiona. Wtedy zaczęła płakać. Łzy ściekały jej po nieruchomej twarzy i mieszały się z mydlinami w wanience.

To ciało było ciałem mężczyzny, którego nie znała. Pokrywały je blizny, niektóre głębokie z mięsistymi brzegami niczym wielkie żarłoczne wargi, inne gładkie, lśniące niczym ślad po przejściu ślimaka. W jednej łopatkę spore wgłębienie. Charlotte pamiętała, jaki rodzaj drobnych, ostrych odłamków to powoduje. Drobne czerwone punkciki, pozostałość po wyjętych szwach, biegły przez całe ramię i znikwały na piersi...

Poprzez łzy patrzyła na pokój, jakby go po raz pierwszy widziała: piwniczne okno, wiązka kopru, pochodząca z innej epoki jej życia, żołnierska torba na stołku koło wejścia, ciężkie buty pokryte rdzawym pyłem. A w blasku słabej, nie osłoniętej żarówki, pośrodku pokoju — ciało poszarpane, rzecz by można, przez tryby jakiejś maszyny. Ogarnęło ją zdziwienie i mimo woli pomyślała: „To ja, Charlotte Lemonnier, jestem tutaj, w chacie zagrzebanej w stepowej trawie, z człowiekiem, z żołnierzem pooranym szramami, z ojcem moich dzieci, z mężczyzną, którego tak bardzo kocham... Ja, Charlotte Lemonnier...”

Jedną brew Fiodora przecinała szeroka biała blizna, zwężająca się na czole. Wydawało się przez to, że wciąż się czemuś dziwi. Jak gdyby nie mógł przyzwyczać się do powojennego życia.

Umarł w niespełna rok później... Zimą oboje przenieśli się do innego mieszkania i tam my, dzieci, odwiedzaliśmy babkę każdego lata. Nie zdążyli nawet zaopatrzyć się w nowe naczynia i sztucce. Fiodor kroił chleb nożem przywiezionym z frontu — sam go zrobił z bagnetu...

Z opowiadań dorosłych odtworzyłem w wyobraźni tylko jedną scenę z powrotu naszego dziadka: żołnierz wchodzi na ganek drewnianej chaty, spogląda w oczy żony, starcza mu jeszcze czasu, by szepnąć: „Widzisz, wróciłem...”, po czym pada na ziemię i umiera wskutek odniesionych ran.

3

Tego roku Francja zamknęła mnie w głębokiej, pracowitej samotności. Pod koniec lata wróciłem z Saranzy niby młody odkrywca z tysiącem znalezisk w bagażach — od kiści winogron pana Prousta po tabliczkę upamiętniającą tragiczną śmierć diuka Orleańskiego. Jesienią, a zwłaszcza zimą, zrobił się ze mnie prawdziwy maniak-erudyta, archiwista, obsesyjnie zbierający wszelkie informacje o kraju, którego tajemnicę zdołał ledwie przeczuć podczas letniej wycieczki.

Przeczytałem wszystko, co na temat Francji znajdowało się w naszej szkolnej bibliotece. Przetrasnąłem znacznie szersze półki biblioteki miejskiej. Barwnym, impresjonistycznym opowieściom Charlotte'y chciałem przeciwstawić systematyczne studia, przechodząc kolejno od stulecia do stulecia, od jednego Ludwika do następnego, od pisarza do współczesnych mu pisarzy, uczniów lub epigonów.

Długie dni spędzane w zakurzonych labiryntach wypchanych książkami odpowiadały niewątpliwie mnisiim skłonnościom typowym dla chłopców w moim wieku. Szukamy ucieczki przed dostaniem się w krąg życia ludzi dorosłych, szukamy samotności, by układać przygody miłosne, zanim ich pokosztujemy. To wyczekiwanie w odosobnieniu szybko staje się nużące. Dlatego też młodzi łączą się w grupy i grupki, podejmując wspólnie gorączkowe wysiłki, by przed czasem odegrać wszystkie scenariusze dorosłej społeczności. Rzadko zdarzają się ci, którzy mając trzynaście, czternaście lat potrafią oprzeć się tej zmianie ról, z całym okrucieństwem i nietolerancją narzucanej przez wczorajsze dzieci samotnikom i naturom kontemplacyjnym.

Ja zaś, dzięki mojej francuskiej ankiecie, zdołałem zachować nienaruszalną samotność nastolatka.

Miniaturowa społeczność szkolna albo tolerowała mnie łaskawie (nie byłem „dojrzały”, nie paliłem, nie przechwalałem się plugawymi historyjkami, w których występowały głównie orga-

na płciowe, męskie i żeńskie), albo odnosiła się do mnie agresywnie i ta zbiorowa przemoc wprawiała mnie w osłupienie; uważałem, że niewiele różnię się od innych i nie zasługuję na tyle wrogości. Co prawda nie zachłystywałem się filmami, które minispołeczeństwo omawiało podczas pauzy, nie interesowały mnie drużyny piłki nożnej, których oni byli namiętnymi wielbicielami. Obrażałem ich moją ignorancją. Widzieli w tym wyzwanie. Atakowali mnie szyderstwem i pięściami. W zimie zacząłem dostrzegać niepokojącą prawdę: kto nosi w sobie odległą przeszłość, pozwala duszy żyć w bajecznej Atlantydzie, temu nie może to ujść bezkarnie. Tak, bo ci, którzy żyją w terażniejszości, uznają to ni mniej, ni więcej tylko za prowokację. Zmęczony ich docinkami, udałem kiedyś, że jestem ciekaw wyników ostatniego meczu, i wtrąciwszy się do dyskusji wymieniłem nazwiska graczy, wykute w przeddzień na pamięć. Ale oni wywęszyli szalbierstwo, zamilkli i rozeszli się, rzucając mi na odchodnym kilka spojrzeń nieledwie współczujących. Byłem jeszcze bardziej sponiewierany.

Po tej żalosalnej próbie pogrążyłem się całkowicie w badaniach i lekturach. Z biegiem czasu przestały mi wystarczać efemeryczne odbicia Atlantyd. Teraz dążyłem do poznania jej historii. Błądząc w piwnicach naszej starej biblioteki, starałem się wyjaśnić, co było przyczyną niezwykłego ożenku Henryka I z ruską księżniczką Anną.

Chciałem wiedzieć, co jej ojciec, sławny Jarosław Mądry, dał córce w posagu. I w jaki sposób dostarczył z Kijowa stado koni dla francuskiego zięcia, którego atakowali bitni Normanowie. I jak spędzała dni Anna Jarosławna w ponurych zamczyskach średniowiecznych, gdzie tak jej brakowało łaźni... Nie, nie zadowalałem się już tragicznym opisem śmierci diuka Orleańskiego pod oknami pięknej Izabeli. Rzuciłem się w pogoń za mordercą, za Janem Nieustraszonym — należało ustalić jego rodowód, poświadczyć czyny wojenne, odtworzyć stroje i broń, zlokalizować lenna... Dowiedziałem się, dlaczego dywizje marszałka Grouchy spóźniły się o parę godzin, tak fatalnych dla Napoleona pod Waterloo...

Oczywiście, biblioteka jako zakładniczka ideologii była zaopatrzona bardzo selektywnie; znalazłem tylko jedno dziełko poświęcone panowaniu Ludwika XIV, sąsiadujące z dwudziestoma tomami o Komunie Paryskiej i z tuzinem opracowań na temat powstania we Francji Partii Komunistycznej. Spragniony wiedzy, pokonywałem jednak manipulacje historyczne. Odwoływałem się do literatury. Wspomagali mnie wielcy klasycy francuscy, którzy — z wyjątkiem kilku słynnych banitów, jak Restif de la Bretonne, Sade czy Gide — na ogół uniknęli cenzury.

Młodość i niedoświadczenie czyniły ze mnie fetyszystę. Kolekcjonowałem więcej, niż mógł mi dać wizerunek czasów historycznych. Polowałem zwłaszcza na anegdoty, jakimi posługują się przewodnicy turystów przed miejscowymi monu-

mentami. Włączyłem zatem do zbiorów czerwoną kamizelkę, którą przywdział Théophile Gautier idąc na premierę *Hernaniego*, laskę Balzaka, nargile George Sand i scenę jej zdrady z doktorem, który miał leczyć Musseta. Zachwycąłem się elegancją, z jaką ofiarowała swemu kochankowi pomysł *Lorenzaccia*. Niestrudzenie przeglądałem sekwencje obrazów, rejestrowanych, co prawda bezładnie, przez moją pamięć. Na przykład taką ciekawostkę: Wiktor Hugo, patriarcha zgryźliwy i melancholijny, spotyka w altanie parkowej Leconte de Lisle'a. „Czy wie pan — pyta go — o czym właśnie myślałem?” A widząc zakłopotanie rozmówcy, rzuca z emfazą: „Myślałem o tym, co powiem Bogu, może już niezadługo, kiedy znajdę się w Jego Królestwie...” A na to Leconte de Lisle z przekonaniem, tonem ironicznym i zarazem pełnym szacunku: „Och, powie mu pan: «Drogi kolego»...”

Traf chciał, że ktoś nie mający pojęcia o Francji, ktoś, kto nie przeczytał żadnej książki francuskiego autora; kto — o czym byłem przekonany — nie potrafiłby wskazać tego kraju na mapie, odciągnął mnie nieświadomie od gromadzenia anegdot i pchnął moje poszukiwania w nowym kierunku. Tak, tym kimś był wałkoń Paszka, który powiedział mi kiedyś, że Lenin nie miał dzieci, bo nie umiał się kochać.

Klasowa minispołeczność kpiała z niego podobnie jak ze mnie, ale z innych powodów. Nie znosili

go, ponieważ prezentował ich oczom wypaczony model dorosłości. O dwa lata od nas starszy, był w wieku, kiedy chłopcy zawczasu delektują się smakiem przyszłych swobód. A mój kolega nieuk wcale z tych praw nie korzystał. Paszka, jak go wszyscy nazywali, wiódł życie tych osobliwych muzyków, którzy aż do śmierci noszą w sobie cząsteczkę dzieciństwa, co tak kontrastuje z ich męskim wyglądem i nieokrzesaniem. Uparcie stronią od miasta, od społeczeństwa, od wygod, zaszywają się w lasach, polując albo włócząc się, i często do końca życia tam pozostają.

Paszka rozsiewał w klasie zapach ryb, śniegu, a w okresie odwilży — woń świeżej gliny. Całe dnie spędzał na brzegach Wołgi. Chodził do szkoły, bo nie chciał sprawiać kłopotu matce. Zawsze się spóźniał, nic sobie nie robił ze wzgardliwych spojrzeń przyszłych dorosłych, wchodził do klasy, wciskał się za pulpit ostatniej ławki. Koledzy ostentacyjnie pociągali nosami, nauczycielka wzdychała wznosząc oczy do nieba. Zapach śniegu i wilgotnej ziemi z wolna napełniał całą klasę.

Zjednoczył nas w końcu status pariasów w społeczeństwie klasowym. Nie łączyła nas przyjaźń w ścisłym tego słowa znaczeniu, obaj byliśmy po prostu samotni, widzieliśmy w tym znak rozpoznawczy. Często towarzyszyłem Paszce w jego wyprawach na ryby. Paszka potężnym świdrem dziurawił lód przy zaśnieżonych brzegach Wołgi, zarzucał w wodę linkę i nieruchomiał nad okrągłą przerębłą, którą otaczał zielonkawy lód. Wyob-

rażałem sobie, jak w wąskim, nieraz metrowym tunelu ryba podpływa ostrożnie do przynęty... Okonie z pręgami na grzbietach, cętkowane szczupaki, płocie z czerwonymi ogonami padały na śnieg wyciągnięte z głębiny i uwolnione od haczyka. Po kilku drgawkach wszystkie tężały, zmrożone wiatrem, płetwy zamieniały się w kryształowe kolce, niby w bajeczne diademy. Nie rozmawialiśmy wiele. Cisza białych równin, srebrzyste niebo, sen wielkiej rzeki — słowa były tu zbędne.

W poszukiwaniu miejsc bardziej zarybionych Paszka nieraz zbliżał się niebezpiecznie do podmywanych prądem płatów ciemnego lodu. Odwracałem się na odgłos trzasku i widziałem, jak trzepocze się w wodzie, jak wbija rozczapierzone palce w ziarnisty śnieg. Podbiegałem, kładłem się na brzuchu i z niewielkiej odległości rzucałem mu koniec szalika. Ale Paszce udawało się zazwyczaj samemu wykaraskać. Wyskakiwał ponad powierzchnię wody i zaczynał czołgać się po lodzie, zostawiając długi mokry ślad. Zdarzało się jednak, że aby mi zrobić przyjemność — jak myślę — chwycił mój szalik i pozwalał się uratować.

Po takiej kąpieli szliśmy do jednej ze starych łodzi, które tu i tam sterczały wśród wydm. W poczerniałym wnętrzu ich kadłubów rozpalaliśmy ogień. Paszka zdejmował grube walonki i wataowane spodnie, układał je w pobliżu ognia. Po czym, opierając boscie stopy na ławce, zabierał się do pieczenia ryb.

Siedząc przy płonących drwach, byliśmy bardziej rozmowni. Opowiadał mi o niezwykłych po-

łowach, o rybie za szerokiej, by mogła się zmieścić w wyrąbanym otworze, o powodziach, kiedy z hukiem pękały lody, unosząc z sobą barki, a nawet chałupy z kotami na strzechach... Ja zaś opowiadałem mu o turniejach rycerskich (niedawno dowiedziałem się, że dawni wojownicy, gdy zdejmowali przyłbice, mieli twarze pokryte rdzą: żelazo plus pot); nie wiem, dlaczego poruszył mnie ten szczegół bardziej niż sam turniej. Tak, opisywałem mu te marsowe oblicza, którym przydawały męskości rudawe smugi, i młodego bohatera, który po trzykroć dał w róg wzywając posiłki. Odgadłem, że Paszka, przemierzając zimą i latem brzegi Wołgi, marzy skrycie o rozległych morskich przestworzach, i byłem uszczęśliwiony, gdy znalazłem dla niego w mojej kolekcji opis straszliwego zmagania się marynarza z ogromną ośmiornicą. A że moja erudycja syciła się wyłącznie anegdotami, streściłem mu jedną z nich, związaną z jego pasją i naszą przystanią w starej łodzi. Na morzu, ongi bardzo niebezpiecznym, angielski statek spotyka się ze statkiem francuskim, ale kapitan brytyjski zamiast wydać bezpardonową walkę swym odwiecznym wrogom, zwinął ręce w trąbkę i zawołał: „Wy, Francuzi, bijecie się dla pieniędzy! My, poddani królowej, bijemy się dla honoru!” A z francuskiego statku, ze słonym wiatrem nadleciał wesoły okrzyk kapitana: „Każdy bije się o to, czego nie ma, sir!”

Pewnego razu Paszka omal nie utonął. Cały płat lodu — była już zupełna odwilż — osunął mu się spod nóg. Głowę wystawił ponad powierzch-

nię, potem tylko ramię, na próżno szukając oparcia. Z gwałtownym wysiłkiem przerzucił się pierśią na lód, ale chropowata pokrywa załamała się pod jego ciężarem. Prąd unosił już jego nogi w wypełnionych wodą walonkach. Nie zdążyłem zdjąć z szyi szalika, podpełzłem bliżej, wyciągnąłem do niego rękę. W tej krótkiej chwili widziałem strach w jego oczach... Sądzę, że sam by sobie poradził, miał wiele hartu, był nazbyt związany z siłami natury, by dać się przez nie pochwycić w pułapkę. Ale tym razem przyjął moją pomoc bez zwykłego uśmiechu.

W parę minut później zapłonął nasz ogień i Paszka z gołymi nogami i tylko w pulowerze, który mu pożyczyłem na czas suszenia odzieży, podrygiwał na ławce lizanej przez płomień. W czerwonych zdrętwiałych palcach miesił kawałek gliny, którą oblepiał rybę, nim ją wrzucił na żarzące się głownie... Dokoła nas rozciągała się biała pustynia; cienkie, drżące z zimna gałązki wierzb tworzyły przezroczyste zarośla wzdłuż brzegu; wręgi rozpadającej się, zarytej w śniegu łodzi podtrzymywały nasze ognisko. Roztańczone płomyki zdawały się pogłębiać mrok, potęgowały uczucie przelotnego zadowolenia.

Dlaczego właśnie wtedy opowiedziałem mu tę historię, a nie inną? Musiała być po temu jakaś przyczyna, może wzmianka w rozmowie podsunęła mi ten temat. Było to streszczenie, zresztą bardzo krótkie, poematu Wiktora Hugo. Dawno temu deklamowała go Charlotte, tak, że nawet tytułu nie pamiętałem. W pobliżu zdobytej bary-

kady żołnierze rozstrzeliwali powstańców, w samym sercu zbuntowanego Paryża, którego bruki miały niezwykłą zdolność nagłego przeistaczania się w wały obronne. Egzekucja rutynowa, brutalna, bezlitosna. Skazańcy ustawiali się plecami do muru, przez sekundę patrzyli na wycelowane w ich piersi lufy karabinów, na wolno przesuujące się po niebie obłoki. I padali. Przed plutonem zajmowali miejsce ich towarzysze. Wśród czekających w kolejce nieszczęśników był mały ulicznik, który ze względu na swój wiek zasługiwałby na ułaskawienie. Niestety! Oficer kazał mu czekać wraz z innymi; dziecko podlegało tym samym prawom co dorośli... „Ty też będziesz rozstrzelany!” — burknął ten szef katów. Ale chłopiec w ostatniej chwili podbiegł do niego i rzekł tonem błagalnym: „A czy mi pan kapitan ten zegarek pozwoli do matki odnieść? Mieszka niedaleko. O tam, w tamtej bramie. I ja wrócę na pewno, panie kapitanie!” Dziecięca przebiegłość wzruszyła nawet zdziczałe serca żołdaków. Parsknęli śmiechem, wybieg zdawał się doprawdy zbyt naiwny. Oficer, także rozbawiony, wyraził zgodę. „Zmykaj!” I zarechotali nabijając już strzelby. Nagle zamilkli, bo malec rzeczywiście wrócił i stanął pod murem obok dorosłych, wołając: „Oto jestem!”*

Miałem wrażenie, że Paszka słucha mnie jednym uchem. Siedział bez ruchu, pochylony w stronę ogniska. Twarz zasłaniał mu daszek wiel-

* Wiktor Hugo *Na barykadzie*, przeł. Zbigniew Bieńkowski.

kiej futrzanej czapy. Kiedy opisywałem ostatnią scenę — chłopiec wraca, blady i poważny, żeby ustawić się przed kordonem — tak, kiedy wymówiłem ostatnie zdanie: „Oto jestem!”, Paszka drgnął, wyprostował się... i zrobił coś, czego nie przewidziałem. Wyskoczył z łodzi i na bosaka zaczął maszerować po śniegu. Usłyszałem jakby stłumiony jęk, który szybko rozwiął wilgotny wiatr nad białą równiną.

Brnął po kolana w zaspach i po kilku krokach przystanął. Osłupiały patrzyłem z łodzi na tego dryblasza w starym rozciągniętym swetrze, który wiatr wydymał niczym krótką wełnianą minikieckę. Nauszniki futrzanej czapy powiewały mu dookoła głowy. Nie mogłem oderwać wzroku od jego bosych nóg w śnieżnej zaspie. Nie rozumiejąc jeszcze, co się stało, wyskoczyłem z łodzi i ruszyłem ku niemu. Usłyszałem skrzypienie śniegu pod moimi stopami i odwrócił się gwałtownie. Rysy ściągał mu bolesny grymas. Nasze ognisko jakimś niezwykłym blaskiem odbijało się w jego oczach. Szybko starł rękawem ów blask. „Och, ten dym” — wymamrotał, mrużąc powieki i nie patrząc na mnie wrócił do łodzi.

Dopiero tutaj, podsuwając zziębnięte nogi bliżej żaru, zapytał z gniewną natarczywością:

— I co? Zabili chłopaka, tak?

Zaskoczony, nie znajdując w pamięci żadnego wyjaśnienia, wybełkotałem z wahaniem:

— Ech... Prawdę mówiąc nie jestem pewny...

— Jak to, nie wiesz? Przecież mi wszystko powiedziałaś!

— Tak, ale widzisz, w tym wierszu...

— Mam gdzieś ten wiersz! W życiu zabili go czy nie?

Spojrzenie, którym mnie obrzucił ponad ogniskiem, płonęło jakimś szaleńczym blaskiem. Głos miał szorstki, a jednocześnie błagalny. Westchnąłem, jak gdybym prosił Wiktora Hugo o wybaczenie, i stanowczym tonem oznajmiłem:

— Nie, nie rozstrzelano go. Był tam stary sierżant, który pomyślał o własnym synu czekającym w rodzinnej wiosce. „Każdy, kto tknie tego dziecka, będzie miał ze mną do czynienia!”, krzyknął. No i oficer musiał chłopca uwolnić.

Paszka zwiesił głowę i zabrał się do wydobywania pieczonej ryby, gałęzią rozgarniając gorące głownie. W milczeniu kruszyliśmy glinianą skorupkę, która odpadała razem z łuską, i zajadaliśmy soczyste ciepłe mięso, posypując je gruboziarnistą solą.

Milczeliśmy również, idąc do miasta po zapadnięciu nocy. Byłem wciąż pod wrażeniem magicznego zjawiska. W cudowny sposób ujawniła się wszechpotęga poetyckiego słowa. Podejrzewałem nawet, że nie chodzi tylko o sztuczki werbalne ani o umiejętne zestawienie wyrazów. Nie! Bo wiersze Wiktora Hugo zostały zniekształcone przez opowiadanie Charlotte'y, potem przez moje streszczenie. A więc podwójnie zdradzone... Na przekór temu prosta w gruncie rzeczy historia, powtórzona o miliony kilometrów od miejsca swych narodzin, zdołała wycisnąć łzy z oczu młodego dzikusy, który nago rzucił się w zaspy śnież-

ne! W cichości ducha byłem dumny, że wznieciłem iskierkę promieniowania, jakie emitowała ojczyzna Charlotte'y.

Tegoż wieczoru zrozumiałem, że nie powinienem szukać anegdot w moich lekturach ani słów ładnie uszeregowanych na kartkach książek. Chodziło o coś głębszego, bardziej spontanicznego, o przejmującą harmonię świata postrzeganego, która, raz ukazana przez poetę, stawała się nieśmiertelna. Nie umiałem jej jeszcze nazwać, ale to ją odtąd tropiłem w każdej z następných książek. Później poznam jej nazwę: styl. I nigdy tak nie nazwałbym pustej żonglerki słownej. Bo wówczas zobaczyłbym zsiniałe nogi Paszki w śnieżnej zaspie na brzegu Wołgi i odbłask płomieni w jego oczach... Tak, Paszkę bardziej poruszył los małego powstańca niż własna przygoda, a ledwie sam uniknął śmierci.

Żegnając się ze mną na rogu podmiejskiej ulicy, gdzie mieszkał, Paszka wręczył mi moją część połowu: kilka długich glinianych foremek. Unikając mego spojrzenia, zapytał tonem gburowatym:

— A ten wiersz o rozstrzeliwanych, gdzie go można znaleźć?

— Przyniosę go jutro do szkoły, chyba go mam... przepisałem...

Wypowiedziałem to jednym tchem, z trudem opanowując radość. Był to jeden z najszcześniejszych dni mojej wczesnej młodości.

„Ale Charlotte nie potrzebuje mnie już niczego uczyć!”

Ta zaskakująca myśl przyszła mi do głowy rankiem w dniu przyjazdu do Saranzy. Wsiadłem z pociągu na małej stacyjce. Byłem jedynym pasażerem. Na drugim końcu peronu zauważyłem babkę. Kiwnęła lekko ręką i ruszyła mi na spotkanie. Gdy zbliżałem się do niej, nawiedziło mnie właśnie to przeczucie: nie usłyszę już od Charlotte'y nic nowego na temat Francji, a dzięki lekturom wiem na pewno więcej niż ona...

Ściskając babkę zawstydzilem się myśli, która mnie samego dziwiła. Uznałem to za mimowolną zdradę.

Od miesięcy zresztą dręczyła mnie śmieszna obawa, że zebrałem za dużo wiadomości... Przypominałem ciułacza, który spodziewa się, że gromadzone oszczędności pozwolą mu żyć inaczej, że otworzą przed nim wspaniałe horyzonty, że odmienią jego sposób widzenia rzeczy, a nawet sposób, w jaki oddycha, chodzi, rozmawia z kobietami. Zasoby pęcznieją, ale radykalna metamorfoza stale się opóźnia.

Podobnie działo się ze zdobywaną przeze mnie wiedzą. Nie żebym pragnął mieć z niej jakiś pożytek. Zainteresowanie, jakie w tym względzie okazywał mój koleżka nieuk, dawało mi aż nadto satysfakcji. Czekałem raczej na tajemniczy dźwięk, na klik-klik, jaki wydaje sprężyna pozytywki, zanim rozlegną się tony menueta, zanim

odtańczyła go figurynki na swoim podium. Chciałem, żeby ta gmatwanina dat, nazw, wydarzeń, postaci przetopiała się w materię witalną nigdy nie oglądaną, żeby skryształizowała się w świat zupełnie nowy. Chciałem, by zaszczepiona w moim sercu, przestudiowana, przebadana, wyuczona Francja odmieniła mnie całkowicie.

Ale jedyną zmianą na początku lata był fakt, że moja siostra wyjechała na dalsze studia do Moskwy. Bałem się przyznać przed sobą, że jej nieobecność może uniemożliwić nasze balkonowe pogawędki.

Pierwszego wieczoru, jak gdyby dla potwierdzenia moich obaw, zacząłem rozpytywać babkę o Francję z czasów jej młodości. Przystała na to chętnie i doceniła niekłamaną ciekawość, z jaką jej słuchałem. Mówiła nie przerywając szycia, naprawiała koronkowy kołnierzyk bluzki. Manipulowała igłą z dystynkcją damy pochłoniętej robótką i jednocześnie utrzymującej konwersację z gościem, o którym sądzi, że jest zainteresowany jej opowieścią.

Słuchałem oparty o balustradę balkonika. Moje pytania, zadawane odruchowo, wywoływały z przeszłości sceny tysiąc razy oglądane w dzieciństwie, znane mi obrazy, znajome postacie: treser psów z bulwaru nad Sekwaną, orszak cesarski na Polach Elizejskich, piękna Otero, Prezydent w objęciach kochanki, składający fatalny pocałunek... Zdawałem sobie teraz sprawę, że każdego lata Charlotte powtarzała te same historyjki, dogadzając naszym chęciom usłyszenia raz jeszcze

ulubionej bajki. Tak, dokładnie, było to nic innego tylko bajki, które dodawały uroku naszym młodym latom i które, jak każda prawdziwa bajka, nigdy nas nie nudziły.

Byłem wówczas chłopcem czternastoletnim. Dobrze wiedziałem, że czasy bajek już się dla mnie skończyły. Nauczyłem się zbyt wielu rzeczy, by dać się oszołomić ich kolorową sarabandą. Co dziwniejsze, zamiast cieszyć się z wyraźnej oznaki dojrzewania, tęskniłem tamtego wieczoru do mojej dawnej ufnej naiwności. Nowa wiedza, wbrew oczekiwaniu, zdawała się osłabiać moją zdolność kreowania francuskich obrazów. Gdy tylko zamierzałem wrócić do Atlantydy naszego dzieciństwa, odzywał się we mnie głos rozsądku, ukazywały się stronice książek, daty wypisywane tłustą czcionką. I głos rozsądku zaczynał komentować, porównywać, cytować. Jakby mnie dotknęła dziwna ślepotą...

Nasza rozmowa urwała się w pewnej chwili. Byłem tak roztargniony, że umknęły mi ostatnie słowa Charlotte'y; chyba o coś pytała. Zmieszany, spojrzałem badawczo na jej uniesioną ku mnie twarz. W uszach dzwoniła mi jeszcze melodia wypowiedzianego zdania i ta melodia ułatwiła mi odtworzenie jego treści. Tak, podobną intonację przybiera zwykle głos bazarzy, gdy mówią: „Och, to już niewątpliwie znacie. Nie będę was znużać starczym gładzeniem”... ale mają skrytą nadzieję, że słuchacze zachęcą ich, przekonując, że nie znają tej historii lub o niej zapomnieli... Z lekkim powątpiewaniem potrząsnąłem głową.

— Nie, nie wydaje mi się... Jesteś pewna, że już to opowiadałaś?

Uśmiechnęła się. Podjęła przerwany wątek. Słuchałem teraz uważnie. I po raz ostatni wynurzyła się przed moimi oczami wąska uliczka średniowiecznego Paryża w chłodną jesienną noc, a na murze — ciemna tabliczka, która uwieczniła trzy losy, trzy imiona: Ludwik Orleański, Jan Nieustraszony, Izabela Bawarska...

Sam nie wiem, dlaczego jej przerwałem akurat w tym miejscu. Zapewne chciałem pochwalić się moją erudycją. Przede wszystkim jednak olśniło mnie nagle odkrycie: oto stara dama na balkonie, wiszącym ponad bezmiarem stepów, powtarza któryś raz z rzędu historię znaną jej na pamięć, powtarza z precyzją płyty gramofonowej, wierna wydarzeniom mniej lub bardziej legendarnym, mówi o kraju istniejącym tylko w jej wspomnieniach... Niezwyczajne było to nasze sam na sam tamtego wieczoru. Głos Charlotte'y rozbrzmiewał niczym głos z automatu. W lot pochwyciłem imię bohatera, którego wskrzeszała, i zacząłem rozprawiać. O Janie Nieustraszonym i jego haniebnych konszachtach z Anglikami. O Paryżu, gdzie rzeźnicy, mieniący się „rewolucjonistami”, stanowili prawo i masakrowali wrogów lub domniemanych wrogów Burgundii. I o szalonym królu. I o szubienicach na miejskich placach. I o wilkach krążących na peryferiach stolicy zdevastowanej przez wojnę domową. I o potwornej zdradzie Izabeli Bawarskiej, która związała się z Janem Nieustraszonym i wyparła się delfina,

twierdząc, że nie jest synem króla. Tak, owa piękna Izabela z naszego dzieciństwa...

Zabrakło mi tchu, dławilem się własnymi słowami, za dużo miałem do powiedzenia.

Pomilczawszy chwilę, babka łagodnie skinęła głową i rzekła z całym przekonaniem:

— Jestem zachwycona, że tak dobrze znasz historię!

Ale mimo tej szczerości wyczułem, że ukrywa to, co chciałaby wyznać: „Dobrze jest znać historię. Kiedy jednak mówiłam o Izabeli, o alei Arbalétriers, o jesiennej nocy, myślałam o czymś zupełnie innym...”

Pochyliła się nad robotą, stawiała równe, drobne ściegi. Wyszedłem z domu. Z daleka zagwizdała lokomotywa, ten gwizd, złagodzony przez ciepłe wieczorne powietrze, wyrażał coś niby westchnienie, skargę.

Między kamieniczką, w której mieszkała Charlotte, a stepem rozciągał się zagajnik, bardzo gęsty, prawie nie do przebycia. Krzewy dzikiej morwy, kłujące gałęzie leszczyny, na pół zasypane ziemią stare okopy, porosłe pokrzywą. Gdybyśmy nawet dla zabawy przedarli się przez splątany gąszcz, pokonując te naturalne przeszkody, to groziłyby nam inne pułapki zastawione przez człowieka: płatanina drutów kolczastych, rdzewiejące zapory przeciwczołgowe. W czasie wojny biegła tędy linia obronna. Przypuszczano bowiem, że Niemcy dotrą aż tutaj, do Saranzy. Ale zatrzymała ich Wołga, zatrzymał ich zwłaszcza Stalingrad... Linie zdemontowano, resztki mate-

riału porzucono w zagajniku, który w spadku otrzymał nazwę Stalinka. „Nasza Stalinka” — mówili mieszkańcy Saranzy i miasto zdawało się w ten sposób uczestniczyć w wielkich wydarzeniach historii.

Chodziły słuchy, że w zagajniku są jeszcze miny, co ostudzało zapał odważniaków, mających ochotę splądrować tę ziemię niczyją, przechowującą zardzewiałe skarby.

Po drugiej stronie Stalinki przejeżdżała kolejka wąskotorowa, można by rzec miniaturowy pociąg z małą, czarną od sadzy lokomotywą i małymi wagonikami; w porównaniu z nimi maszynista, wychylający się przez okno w trykotowej koszuli poplamionej smarem, wyglądał — wskutek złudzenia optycznego — jak olbrzym. Ilekroć kolejka mijala którąś z ginących na horyzoncie dróg, parowozik wydawał ostrzegawczy gwizd, ni to tkliwy, ni to żaloszny. Z daleka, podwojony przez echo, przypominał do złudzenia głos kukułki. „Kukuszka” — mówiliśmy do siebie, znacząco mrugając okiem na widok tej zabawki sunącej po torach porośniętych rumiankiem i mleczem...

Tego wieczoru kierowałem się głosem kukułki. Okrążyłem Stalinkę, kiedy ostatni wagonik rozplynał się w ciepłym zmierzchu. Nawet ta miniaturowa kolejka rozpylała wokół charakterystyczny zapach pociągów, zapach nieco cierpki, wzywający do dalekich podróży, na jakie decydujemy się nagle pod wpływem szczęśliwego pomysłu. Z oddali, przez niebieskawą mgłę wieczorną, usłyszałem melancholijne ku-ku. Postawiłem no-

gę na szynach, które jeszcze lekko wibrowały. Milczący step zdawał się oczekiwać ode mnie następnego kroku, następnego gestu.

„Jak dobrze było kiedyś — mówił we mnie głos bez słów — kiedy myślałem, że kukuska pędzi w nieznanym kierunku, ku krajom nie istniejącym na mapie, ku ośnieżonym szczytom gór, ku nocnemu morzu, na którym latarnie łodzi płaczą się między gwiazdami. Wiem obecnie, że kolejka jeździ z okolicznej cegielni na stację, gdzie wylądowuje się wagoniki. Zaledwie parę kilometrów tam i z powrotem. Rzeczywiście wspaniała podróż! Tak, teraz o tym wiem i nigdy już nie będę wierzył, że te szyny wiodą w nieskończoność, że wieczór przesiąknięty korzennym zapachem stepu jest wyjątkowy, jak niewytłumaczalna i nieodczuwana jest moja obecność pod ogromną kopułą nieba tu, przy wąskich torach o spękanych pokładach, w tym ściśle określonym momencie, gdy rozlega się wołanie ku-ku-kuu. Wszystko to było kiedyś tak naturalne...”

Nocą, nim zasnąłem, przypomniałem sobie, że w końcu zrozumiałem treść zagadkowej formuły wpisanej do menu bankietu na cześć Cara: *bartavelles et ortolans truffés rôtis*. Tak, wiedziałem już, że chodzi o dzikie ptactwo, bardzo cenione przez smakoszy. Mogłem do woli powtarzać *bartavelles et ortolans*, ale magia, wypełniająca mi płuca słonym wiatrem Cherbourga, przestała działać. Z niejakim wahaniem i rozpaczą wyszeptalem, otwierając szeroko oczy w ciemności:

— A więc część życia mam już za sobą!

Od tamtego wieczoru rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. Między nami wznosił się ekran z gładkich słów, z odbitek codzienności, z pustej gadaniny, którą nie wiedzieć czemu jesteśmy zobowiązani meblować ciszą. Z przerażeniem odkryłem, że mówienie stanowi najskuteczniejszy sposób na ukrywanie rzeczy istotnych. Bo żeby je wyrazić, należałoby inaczej artykułować słowa, szeptać je, wplatać w wieczorne hałasy, w promienie zachodzącego słońca. Ponownie odczułem, że rodzi się we mnie ów tajemniczy język, różniący się od słów wyświechtanych przez częste użycie. W tym języku mógłbym odpowiedzieć półgłosem na spojrzenie Charlotte'y.

— Dlaczego serce mi się ściska, gdy słyszę z daleka wołanie kukuszkki? Dlaczego jasny, wietrzny poranek sprzed stu laty w Cherbourgu, moment, którego nie przeżyłem, miasto, w którym nigdy nie byłem, wydają mi się bardziej realne niż moje realne życie? Dlaczego twój balkon nie płynie już w różowawym powietrzu ponad stepem? Przejrzystość snu, jaka to wszystko otaczała, rozbiła się niczym retorta alchemika. Zgrzyta tłuczone szkło, nie pozwala nam rozmawiać po dawnemu... I czy twoje, znane mi na pamięć wspomnienia, nie są klatką, która cię więzi? I czy nasze życie nie jest właśnie taką codzienną transformacją teraźniejszości, żywej i ruchomej, we wspomnienia martwe jak motyle przekłute szpilkami? Dlaczego jednak czuję, że oddałbym całą tę kolekcję za smak goryczy, jaką na moich wargach pozostawiła srebrna kokilka w iluzorycznej

kawiarni w Neuilly? Za haust słonego powietrza z Cherbourga? Za okrzyk kukuszką z mojego dzieciństwa?

Tymczasem nadal wypełnialiśmy ciszę, beczkę Danaid, wrzucając do niej zbędne pytania i oklepane repliki. „Dzisiaj cieplej niż wczoraj... Gawrylicz znowu się upił... Kukuszka jeszcze nie przejeżdżała... Spójrz tylko, step się pali, o, tam!... Nie, to chmura... Zaparzę świeżą herbatę... Na targu sprzedawano dziś kawony z Uzbekistanu...”

Coś, co nie dawało się wysławić, było tajemniczo związane z istotą rzeczy — teraz o tym wiedziałem. Istota rzeczy była niewyraźna. Nieprzekazywalna. I wszystko, co na tym świecie dręczyło mnie swoim milczącym pięknem, wszystko, co obywatelo się bez słów, wydawało mi się istotne. To, co niewyraźne, było istotne.

Takie równanie wywołało w mojej głowie rodzaj krótkiego spięcia. Drogą ścisłego rozumowania odkryłem tego lata straszliwą prawdę: „Ludzie mówią, ponieważ boją się ciszy. Mówią machinalnie, głośno lub do siebie po cichu, upajają się sieczką słowną, która oblepia każdy przedmiot, każdą istotę. Mówią o deszczu i ładnej pogodzie, o pieniądzu, o miłości, o niczym. I nawet kiedy mówią o wzniosłych uczuciach, używają słów sto razy użytych, frazesów zdartych aż do osnowy. Mówią, żeby mówić. Chcą zakłócić ciszę...”

Retorta alchemika została strzaskana. Przekonani o absurdalności naszych wypowiedzi, prowadziliśmy wciąż codzienny dialog: „Zanosi się

na deszcz... Patrz, jak się zachmurzyło... Nie, to nie pożar na stepie... No i widzisz, kukuska przyjechała wcześniej niż zwykle... Gawrylicz... Herbata... Na jarmarku...”

Tak, część życia miałem już za sobą. Dzieciństwo.

Nasze rozmowy tamtego lata o deszczu i pogodzie nie były tak całkiem nieusprawiedliwione. Często padało i mój smutek zabarwił te wakacje wspomnieniem mglistym, niewyraźnym.

Nieraz, pomimo szarugi wolno płynących dni, odżywały nasze dawne wieczorne pogawędki — kilka fotografii, przypadkiem znalezionych w syberyjskiej walizie, której zawartość nie przedstawiała już dla mnie tajemnicy. Albo od czasu do czasu mało znaczący szczegół z dziejów rodziny, którego jeszcze nie znałem i który przekazywała mi Charlotte z nieśmiałą radością zrujnowanej księżniczki, nagle znajdującej drobną złotą monetę pod podszewką zniszczonej sakiewki.

Tak właśnie w pewien deszczowy dzień, przelazując gazety w walizie trafiłem na stroniczkę, niewątpliwie wyrwaną z francuskiego czasopisma ilustrowanego z początku stulecia. Reprodukcja, z lekka pożółkła i poszarzała, przyciągała oko swym realizmem, precyzją i bogactwem detali. Dlatego, oglądając ją w deszczowy długi wieczór, tak dobrze zapamiętałem ten obraz: ulicą ubożego miasteczka, obrzeżoną nagimi drzewami, posuwa się w rozsypce gromada bojowników, naj-

wyraźniej osłabłych wskutek wieku i zmęczenia. Tak, to ludzie wiekowi — starcy, jak mi się wydawało — długie siwe włosy wymykają się im spod kapeluszy o szerokich rondach. Ostatni zdolni do walki żołnierze pospolitego ruszenia, już rozgromionego przez wroga. Nie zapamiętałem tytułu obrazu, ale było tam słowo „ostatni”. Ostatni, którzy mieli stawić czoło nieprzyjacielowi, ostatni umiejący posługiwać się bronią. Brcń zresztą była prymitywna: parę dzid, siekiery, stare szable. Z ciekawości przypatrywałem się ich ubraniom, grubym butom z miedzianymi klamrami, kapeluszom, pociemniałym hełmom, podobnym do kasków konkwistadorów, sękatym palcom zaciśniętym na drzewcu piki... Francja, widziana zwykle w przepychu swych pałaców, w osławionych momentach historii, ukazała mi się tu pod postacią północnego miasteczka, gdzie niskie domostwa kulą się za anemicznymi żywopłotami, gdzie karłowate drzewa drżą na zimowym wietrze. Co dziwniejsze, czułem się bardzo bliski tym żołnierzom na zabloczonej ulicy, skazanym na klęskę w nierównej walce. Nie, nie było nic patetycznego w ich zachowaniu. To nie bohaterowie manifestujący brawurę bądź niewzruszoność. Byli zwyczajni, ludzcy. Zwłaszcza ten w kasku à la konkwistador, wysoki starzec podpierający się dzidą na końcu kolumny. Jego twarz urzekła mnie zdumiewającą pogodą, gorzką i uśmiechniętą jednocześnie.

Pograżony w mojej chłopięcej melancholii, doznałem naglej radości. Miałem wrażenie, że rozu-

miem spokój starego bojownika w obliczu nieuchronnej porażki, w obliczu cierpień i śmierci. Ani to stoik, ani człek świątobliwy. Maszeruje z uniesioną głową poprzez kraj płaski, chłodny i posępny, który mimo to kocha i nazywa swoją „ojczyzną”. Odporny na wszelkie ciosy. Przez ułamek sekundy moje serce biło rytmem jego serca, triumfując nad lękiem, fatalizmem, samotnością. W tym wyzwaniu odczułem nową strunę żywej harmonii, jaką była dla mnie Francja. I od razu usiłowałem nadać temu nazwę: duma patriotyczna. Chępliwość? A może słynna *furia francese*, którą Włosi przypisują wojownikom francuskim?

Przymierzając się do tych etykietek, zobaczyłem, że twarz starego żołnierza pochmurnieje z wolna, że oczy mu przygasają. Że staje się znów postacią z wyblakłej fotografii. Tak jakby odwrócił wzrok, aby ukryć przede mną tajemnicę, której rąbka uchylilem.

Innym rozbłyskiem przeszłości była kobieta w waciaku i wielkiej czapie; jej zdjęcie znalazłem między dawnymi fotografiami z francuskiej epoki naszej rodziny. Pamiętam, że znikło ono z albumu, gdy tylko się nim zainteresowałem i gdy spytałem o nie Charlotte’ę. Staralem się przypomnieć sobie, dlaczego babka nic mi wtedy nie powiedziała. Odtworzyłem całą scenę: pokazuję zdjęcie babce i nagle widzę szybko przesuwaną się cień, zapominam o pytaniu, nakrywam dłonią

na ścianie niezwykłego motyla o dwóch głowach, dwóch tułowiach i dwóch parach skrzydeł.

Obecnie, po czterech latach, dwugłowy sfinks nie był dla mnie zagadką, po prostu: dwa kopulujące motyle. Pomyślałem o kopulujących ludziach, wyobraziłem sobie ruchy ich ciał... I pojąłem wówczas, że od miesięcy, może od lat, myślałem tylko o ciałach połączonych uściskiem. Myślałem o nich bezwiednie przez całe dni, rozmawiając o czymś innym. Jak gdyby gorączkowa pieśczoła sfinksów nieustannie paliła mi dłoń.

Uważałem teraz za rzecz wręcz niemożliwą nagabywanie babki o kobietę w waciaku. Dzielila nas niepokonana przeszkoda: wymarzone ciało kobiece, upragnione, tysiąc razy posiadane w myśli.

Wieczorem, nalewając mi herbatę, Charlotte odezwała się od niechcienia:

— Ciekawe, kukuszką jeszcze nie przejeżdżała...

Otrząsnąłem się z rojeń i spojrzałem na nią. Nasze oczy spotkały się... Do końca kolacji nic już sobie nie powiedzieliśmy.

Te trzy kobiety zmieniły moje spojrzenie, moje życie...

Odnalazłem je przypadkiem na odwrocie wycinka prasowego, który zawieruszył się w walizce syberyjskiej. Raz jeszcze przeczytałem artykuł o pierwszym rajdzie automobilowym Pekin–Paryż via Moskwa, jak gdybym chciał samego sie-

bie przekonać, że nie muszę niczego się dowiadywać, że Francja Charlotte'y została wyeksploatowana i nic tam nie ma do odkrycia. W roztargnieniu upuściłem ten wycinek na dywan; przez otwarte drzwi wyjrzałem na balkon; był to dzień typowy dla ostatniej dekady sierpnia: rześki i słoneczny, zza Uralu docierał na nasze stepy pierwszy podmuch jesieni. Drzewa Stalinki rysowały się delikatnie na intensywnym błękitnie nieba. Horyzont kreślił czystą, zdecydowaną linię. Cały krajobraz był rozświetlony. Z odrobiną żalu mówiłem sobie, że oto nadchodzi koniec wakacji. A także koniec pewnego okresu w moim życiu, koniec naznaczony niezwykłym odkryciem: moje wszystkie zdobyte wiadomości nie zapewniają mi szczęścia i nie zbliżają mnie do istoty rzeczy... Poczyniłem też inne odkrycie: od dłuższego czasu bez przerwy myślałem o ciele kobiecym, o ciałach kobiet. Pozostałe myśli były przypadkowe, uzupełniające, pochodne. Tak, uświadomiłem sobie, że być mężczyzną to nieustannie myśleć o kobietach, że mężczyzna żyje tylko marzeniem o kobietach! A ja stawałem się mężczyzną...

Wyśliznął mi się z rąk wycinek z artykułem o rajdzie i pofrunąwszy na dywan ukazał swoją odwrotną stronę. Podniosłem go i zobaczyłem trzy kobiety, nigdy przedtem nie widziane, bo nie zwracałem żadnej uwagi na rewersy wycinków. Zaintrygowany niespodziewanym spotkaniem, przesunąłem gazetę bliżej światła padającego przez drzwi balkonu.

I natychmiast zakochałem się w tych trzech

kobietach, w ich ciałach, w ich oczach tkliwych i skupionych, co kazało się domyślać obecności fotografa schylonego pod czarną płachtą za trójnogim aparatem.

Odznaczały się nieodpartym urokiem kobiecości, zdolnym poruszyć serce nieśmiałego, samotnego nastolatka, jakim byłem. Uroki kobiecości w pewnej mierze normatywnej. Były ubrane wedle mody z początku stulecia. Długie czarne suknie uwydatniały krągłość piersi i smukłość bioder, a zanim ułożyły się we wdzięczne fałdy dookoła łydek i spłynęły do stóp, dyskretnie podkreślały zarys brzucha. Lekko wypukły trójkąt fascynował mnie swoją wstydliwą zmysłowością!

Tak, ten typ urody doskonale nadawał się do inscenizacji erotycznych, wciąż podejmowanych przez marzyciela jeszcze czystego cieleśnie. Reprezentował kobietę „klasyczną”. Symbol kobiecości. Idealną kochankę. Ja w każdym razie tak sądziłem, przyglądając się trzem elegantkom o dużych podczernionych oczach, ich ogromnym kapeluszm z ciemnymi aksamitkami; wyraz twarzy miały niegdysiejszy, jak na starych portretach, co brałismy za oznakę naiwnej prostoduszności, której nie dostaje naszym współczesnym i która wzrusza, budząc w nas zaufanie.

Prawdę mówiąc, byłem zachwycony niezwykłym zbiegiem okoliczności: z braku doświadczenia w sprawach miłosnych odwoływałem się właśnie do kobiety anonimowej, pozbawionej wszelkich zewnętrznych odrębności, jakich doszukiwałoby się w jej ciele dojrzałe pożądanie.

Podziwiałem je i czułem się coraz bardziej nieswojo. Ich ciała były nieosiągalne. Och, wcale nie chodziło o cielesne obcowanie. Tę przeszkodę od dawna nauczyła mnie pokonywać erotyczna wyobraźnia. Zamykałem oczy i od razu widziałem piękne spacerowiczki — obnażone. Jak chemik stosujący mądrą formułę, umiałem odtwarzać ich ciała, zaczynając od elementów najbanalniejszych: wystarczały mi kształty opalonych ciał na plaży lub dotyk łydki dziewczyny, która otarła się o mnie w zatłoczonym autobusie, a także wszystkie akty w malarstwie. Nawet moje własne ciało! Tak, pomimo tabu, jakie w mojej ojczyźnie stanowi nagość, zwłaszcza zaś nagość kobiet, potrafiłem odtwarzać pod moimi palcami elastyczność niewieściej piersi i giętkość bioder.

Nie, trzy elegantki były na inny sposób nieosiągalne. Kiedy chciałem przywołać czas, w jakim żyły, moja pamięć niezwłocznie spełniała to życzenie. Przypominał mi się Blériot, który mniej więcej w tym samym okresie przelatywał nad kanałem La Manche w swoim jednopłatowcu, i Picasso, który malował *Panny z Avignonu*. Kaskadę faktów historycznych dudniła mi w głowie. Ale trzy kobiety nadal pozostawały bez ruchu, nie ożywione — trzy eksponaty muzealne z etykietką: „Elegantki z belle époque w ogrodach Pól Elizejskich”. Próbowałem je osiąść, uczynić z nich moje imaginacyjne kochanki. Stosując syntezę erotyczną modelowałem ich ciała: poruszały się sztywno, jak w letargu, kiedy się je przenosi ubrane, w pozycji stojącej, udając, że

budzą się ze snu. A moja dyletancka synteza, jakby dla zaakcentowania owej drętwoty, wywoływała inny obraz przyprowadzający mnie o grymas niesmaku: naga, sflaczała pierś starej pijaczki, którą widziałem kiedyś na stacji. Potrząsałem głową, żeby przepędzić odrażającą wizję.

Należało zatem pożegnać się z muzeum zaludnionym mumiami, figurami z wosku, zaopatrzonymi w etykiety. „Trzy elegantki”, „Prezydent Faure i jego metresa”, „Stary wojak w miasteczku północnej Francji”... Zatrzasnąłem walizę.

Z łokciami na poręczy balkonu zatopiłem wzrok w przejrzystej pozłocie wieczoru ogarniającego step.

„I do czego w końcu posłużyła im ta uroda? — przemknęła mi przez głowę myśl jasna jak światło zachodu. — Tak, na co im się przydały piękne piersi, uda, suknie tak powabnie opinające młode ciała? Zachwycaly pięknem, by znaleźć się na dnie starej walizy w sennym zakurzonej miasteczku na bezkresnej równinie! W Saranzie, o której za życia nie miały najmniejszego pojęcia. Zostało po nich tylko zdjęcie ocalałe po nieskończonej serii dużych i małych wydarzeń, zachowane jako odwrotna strona gazety z artykułem o rajdzie automobilowym Pekin–Paryż. Nawet Charlotte nie łączyła żadnego wspomnienia z trzema kobiecymi sylwetkami. Tylko ja, jeden jedyny na świecie, trzymam w ręku ostatnią nić, jaka wiąże je z żywymi. Moja pamięć to ich ostatnie miejsce pobytu przed definitywnym, totalnym zapomnieniem. Jestem w pewnym sensie bogiem nie-

uchwytnego uniwersum, skrawka Pól Elizejskich, gdzie jeszcze błyszczą ich uroda”...

Ale choć byłem bogiem, nie mogłem im ofiarować nic prócz egzystencji marionetek. Nacisnąłem znów sprężynę wspomnień i trzy elegantki zaczęły spacerować, Prezydent Republiki obejmował Marguerite Steinheil, diuk Orleański padał pod ciosem zdradzieckich sztyletów, stary wojak podpierał się dzidą i wypinał pierś...

„Jak to się dzieje — zadawałem sobie niepokojące pytanie — że po wszystkich namiętnościach, cierpieniach, po miłości i sławie zostaje tak niewiele śladów? Absurdalne są prawa tego świata, skoro życie tak pięknych, tak pożądanых kobiet zależy od tego, którą stroną upadnie upuszczony wycinek gazety. Bo gdyby się nie odwrócił, nie ocaliłby jej od zapomnienia, które stałoby się wieczyste. Zniknięcie pięknej kobiety — cóż to za kosmiczna głupota! Zniknięcie bezpowrotne! Na zawsze! Bez cienia! Bez odwołania!...

Słońce zgasło w głębi stepu. Ale powietrze długo jeszcze zachowywało krystaliczną jasność świeżych wieczorów letnich. Za laskiem rozległ się głos kukuszki, bardziej przenikliwy w chłodnym powietrzu. Kopyta drzew przetykały żółte liście. Pierwsze tego roku. Znow dało się słyszeć kukanie małej lokomotywy. Już z daleka, już słabsze.

Wtedy to wracając do wspomnień o trzech elegantkach przechwyciłem pewną myśl, myśl prostą, będącą echem smutnych rozważań, jakie snułem przed chwilą: „A jednak przeżyły jesienny

poranek świeży i jasny, w alei usłanej zwiędłymi liśćmi, kiedy na moment znieruchomiały przed obiektywem. Utrwalając ów moment... Tak, był w ich życiu jasny poranek jesienny...”

Myśl ta dokonała cudu. Bo nagle wszystkimi zmysłami przeniosłem się w moment zawieszony w czasie przez uśmiech trzech elegantek. Owiął mnie zapach jesieni, wciągałem w nozdrza cierpką woń suchych liści. Mrugałem oczami w słońcu migocącym w gałęziach drzew. Słyszałem turkot faetonu, który toczył się po bruku... I strzępki wesołej rozmowy, którą prowadziły trzy kobiety, zanim stanęły przed fotografem. Tak, żyłem pełnią życia w ich czasach!

Wrażenie, że znajduję się obok nich w tamten jesienny poranek, było tak silne, iż ocknąłem się niemal przerażony. Bałem się, że zostanę tam na zawsze. Oślepiiony, ogłuszony wróciłem do pokoju i podniosłem z ziemi wycinek gazety...

Powierzchnia zdjęcia zdawała się drzeć niczym wilgotna, barwna kalkomania. Płaska perspektywa zaczęła się pogłębiać, umykać mi sprzed oczu. W dzieciństwie często przyglądałem się, jak dwie identyczne malowanki wolno wypływają jedna z drugiej, by połączyć się w obrazie stereoskopowym. Fotografia trzech elegantek otwierała się, zagarniając mnie stopniowo, i wreszcie pozwoliła mi wejść pod swoje niebo. Gałęzie o szerokich pożółkłych liściach zwieszały się nade mną...

Moje refleksje sprzed godziny (wieczne zapomnienie, śmierć) przestały cokolwiek znaczyć. Wszystko dokoła stało się zbyt świetliste. Nie

potrzebowałem słów, nie potrzebowałem nawet patrzeć na zdjęcie. Przymknąłem powieki, całym jestestwem czułem ten moment. I odgadywałem radość, jakiej doznają trzy kobiety na myśl, że po rozleniwiających letnich upałach wdzieją znów ciepłe ubrania i wrócą do przyjemności miejskiego życia, a deszcze i chłód spotęgują jeszcze te uroki.

Ich niedostępne przed chwilą ciała żyły teraz we mnie ostrym zapachem zwiędłych liści, mgiełką cętkowaną słońcem... Tak, odgadywałem w nich ten nieuchwytny dreszczyk, jakim ciało kobiece wita nową jesień z mieszaniną radości i lęku, z pogodną melancholią. Nic nie dzieliło mnie od trzech kobiet. Nasz związek, czułem to, był bardziej miłosny i cielesny niż jakikolwiek fizyczny akt posiadania.

Wynurzyłem się z jesiennego poranka i odnalazłem się pod niebem już prawie czarnym. Zmęczony, jak gdybym wpław przepłynął szeroką rzekę, rozglądałem się dokoła, z trudem rozpoznając przedmioty dobrze mi znane. Nie opuszczała mnie jednak ochota, by raz jeszcze odbyć tę drogę i zobaczyć trzy spacerowiczki z belle époque.

Ale magia, której do tego eksperymentu użyłem, przestała działać. Pamięć bez mojej wiedzy odtworzyła inną scenę z przeszłości. Postawny, czarno ubrany mężczyzna stoi przy oknie luksusowego gabinetu. Drzwi otwierają się cicho i ukazuje się w nich kobieta z zawoalowaną twarzą. Teatralnym gestem Prezydent bierze ją w

objęcia. Tak, to scena tysiąc razy podpatrywana, schadzka dwojga kochanków w Pałacu Elizejskim. Wywołani przez moje wspomnienie odgrywali ją na nowo w przyspieszonym wodewilowym tempie. Ale już mi to nie wystarczało...

Przywołanie trzech elegantek dawało nadzieję, że magia może się powtórzyć. Doskonale pamiętałem zaklęcie: „Był w ich życiu jasny poranek jesienny”... Jak uczeń czarnoksiężnika wyobraziłem sobie ponownie mężczyznę z pięknym wąsem w luksusowym gabinecie przy ciemnym oknie i szeptem wypowiedziałem formułkę: „A jednak był w jego życiu pewien jesienny wieczór, kiedy stał przy ciemnym oknie, za którym kołysały się nagie gałęzie drzew w pałacowym ogrodzie”...

Nie zdawałem sobie sprawy, w jakiej chwili zatarła się granica czasu... Prezydent patrzy nie widzącym wzrokiem na ruchome cienie drzew. Ustami niemal dotyka szyby, która pokrywa się parą. Zauważa to i lekko potrząsa głową w odpowiedzi na swoje ukryte myśli. Odgaduję, że ubranie wydaje mu się dziwnie szorstkie, że sam sobie wydaje się obcy. Tak, pod maską obojętności musi ukrywać swoje nieznane, pełne napięcia życie. Myśli, nie, nie myśli, dostrzega w wilgotnej ciemności za oknami istotę, która zaraz wejdzie do gabinetu. „Prezydent Republiki — mówi wolno, półgłosem, rozdzielając sylaby — Pałac Elizejski...” I nagle te jakże swojskie słowa tracą związek z człowiekiem, jakim był. Czuje się mężczyzną, którego za chwilę wzruszy ciepła słodycz

kobiecych warg pod woalką iskrzącą się lodowatymi kropelkami...

Przez kilka sekund czulem na twarzy i chłód, i ciepło.

Magia odtwarzanej przeszłości podniecała mnie, a jednocześnie wyczerpywała. Siedząc na balkonie oddychałem urywanie, oślepiionymi oczyma patrzyłem w noc stepową. Stawałem się niewątpliwie maniakiem alchemii czasu. Ledwie doszedłszy do równowagi, powtórzyłem hasło otwierające sezam: „A jednak był w życiu starego żołnierza ten dzień zimowy...” I ujrzałem starca w kasku konkwistadora. Idzie podpierając się długą dzidą. Zaczerwieniona od wiatru twarz odzwierciedla pełne gorczy myśli... starość i wojna, która będzie jeszcze trwała, kiedy go już nie będzie. Nagle w mroku lodowatego dnia czuje zapach płonących drzew. Przyjemny, z lekka gryzący, miesza się ze świeżą wonią szronu na pustych polach. Starzec wciąga głęboko w płuca łyk ostrego zimowego powietrza. Coś niby uśmiech pojawia się na jego surowym obliczu. Mruży powieki. To on, człowiek chciwie wdychający wiatr i dym ogniska. On. Tutaj. Teraz. Pod tym niebem. Bitwa, jaką ma stoczyć, i wojna, i własna śmierć wydają mu się wydarzeniami bez znaczenia. Tak, to tylko epizody znacznie bardziej doniosłego przeznaczenia, w których weźmie udział, w których już uczestniczy, jeszcze tego nieświadom. Wzdycha ciężko, uśmiecha się z na pół przykniętymi oczami. Wie, że przeżywany obecnie moment jest początkiem przeczuwanego losu...

Charlotte wróciła po zapadnięciu nocy. Wiedziałem, że od czasu do czasu chodzi późnym popołudniem na cmentarz. Pielni niewielką grządkę kwiatów przy mogile Fiodora, podlewa je, robi porządki, myje obelisk ozdobiony u góry czerwoną gwiazdą. I wraca o zmierzchu, wolno przemierzając całą Saranę, nieraz przysiadając na jakiejś ławce. W takie wieczory nie gawędziliśmy na balkonie...

Weszła. Ze wzruszeniem słyszałem jej kroki w korytarzu, potem w kuchni. Nie zastanawiając się nad tym, co mówię, poprosiłem, żeby mi opowiedziała o Francji swojej młodości. Jak dawniej.

Momenty, które dopiero co przeżyłem, uznałem za przejaw czystego szaleństwa: były piękne i zarazem przerażające. Niepodobna ich się wyrzec, bo trwają we mnie swym świetlistym echem. Ja je naprawdę przeżywałem! Ale podstępny duch przekory, czyli strach i zbuntowany rozsądek, nakazywał mi potępić moje odkrycie, zniszczyć świat, którego kilka fragmentów zdołałem zobaczyć. Spodziewałem się kojącej bajeczki Charlotte'y na temat Francji z jej młodych lat. Wspomnień znanych i gładkich jak klisza fotograficzna — to by mi pomogło puścić w niepamięć moje szaleństwo.

Nie od razu przystała na moją prośbę. Chyba zrozumiała, że jeśli ośmieliłem się naruszyć nasze zwyczaje, to skłoniła mnie do tego jakaś ważna przyczyna. Musiała pomyśleć o wszystkich naszych błahych rozmowach od wielu tygodni i o naszych dawnych tradycjach gawędziarskich

po zachodzie słońca, o rytuale poniechanym tego lata.

Chwilę pomilczała, westchnęła, uśmiechając się kącikami warg.

— Cóż ja ci mogę opowiedzieć? Wiesz już wszystko... Czekaj, przeczytam ci za to jakiś wiersz...

I przeżyłem wtedy wieczór najniezwykleszy w moim życiu. Charlotte szukała książki, której wciąż nie mogła znaleźć. Z cudowną swobodą, z jaką — widzieliśmy nieraz — burzyła porządek rzeczy, ona, kobieta skądinąd uporządkowana i skrupulatna, zamieniła nasz wieczór w długie nocne poszukiwanie. Sterty książek zalegały podłogę. Wskakiwała na stół, aby przetrząsnąć wyższe półki etażery. Książka była nie do odnalezienia.

Okolo drugiej nad ranem, prostując się wśród tego rozgardiaszu, wśród porozrzucanych tomów i poprzestawianych mebli, Charlotte wykrzyknęła:

— Jakaż ja jestem roztrzepana! Przecież zeszłego lata zaczęłam czytać ten poemat tobie i twojej siostrze. Tyle pamiętam... Skończyliśmy po pierwszej zwrotce. No więc musi być tutaj.

I pochyliła się nad szafeczką przy drzwiach balkonowych, otworzyła ją: książka leżała tam obok słomkowego kapelusza.

Siedziałem na dywanie i słuchałem, jak czyta. Postawiła na podłodze stołową lampę, która oświetlała jej twarz. Na ścianie z halucynacyjną wyrazistością rysowały się nasze sylwetki. Przez

drzwi balkonowe wdzierał się raz po raz chłodny powiew nocnego stepu. Głos Charlotte'y przybrał tonację właściwą słowom, których echa docierają do nas po wielu latach od ich narodzin:

No cóż, młodnieję, ilekroć ją słyszę:
Oto mym królem jest Ludwik Trzynasty...
W zachodzącego słońca żółtą ciszę
Znów rozpościera się wzgórek trawiasty.

Potem jest zamek z cegieł niedaleko.
Okna różowi blask lekkiej poświaty,
W krąg park z pluszczącą o jej stopy rzeką,
Która przepływa przez cieniste kwiaty;

A potem w okna wysokiego cieniu
Blond dama czarnooka, uśmiechnięta,
Którą być może w innym swym istnieniu
Widziałem już i... którą wciąż pamiętam!★

Nic więcej nie powiedzieliśmy sobie owej niezwykłej nocy. Przed zaśnięciem myślałem o człowieku, który w kraju mojej babki miał odwagę opisać swoje „szaleństwo” — moment wymarzony, prawdziwszy od najprawdziwszej rzeczywistości.

Nazajutrz obudziłem się późno. Sąsiedni pokój był już uporządkowany... Wiatr zmienił kierunek, ciepłe powiewy niosły się znad Morza Kaspijskiego. Wczorajszy chłodny dzień stał się bardzo odległy.

Koło południa, bez uzgadniania naszych zamierzeń, wyszliśmy razem w step. Idąc ramię przy ramieniu okrążyliśmy gąszcz Stalinki. Minęliśmy wąskie zachwaszczone tory. Kukuszka

rzuciła z daleka swoje gwizdzące ostrzeżenie. Zobaczyliśmy miniaturowy pociąg, który zdawał się sunąć po kwietnych zagonach. Zbliżył się, przeciął naszą ścieżkę i zniknął w mgłach upału. Charlotte odprowadziła go wzrokiem i podejmując przerwany marsz szepnęła:

— Jechałam kiedyś w dzieciństwie taką kolejką, trochę spokrewnioną z kukuszką. Wozila pasażerów. Małe wagoniki długi czas kursowały w Prowansji. Mielśmy spędzić parę dni u ciotki, mieszkała w... Nie pamiętam, jak się ta miejscowość nazywała. Pamiętam tylko wzgórza zalane słońcem, suche cykanie świerszczy, gdy zatrzymywaliśmy się na sennych stacyjkach. A na wzgórzach, jak okiem sięgnąć, pola lawendy... Tak, słońce, cykady i żywy błękit, i zapachy wpadające z wiatrem przez otwarte okna...

Szedłem obok niej w milczeniu. Przeczyszczałem, że kukuszka będzie pierwszym słowem naszego nowego języka. Języka, który miał wyrażać rzeczy niewyraźne.

W dwa dni później opuściłem Saranę. Po raz pierwszy w życiu milczenie ostatnich chwil przed odjazdem pociągu nie wprawiało mnie w zakłopotanie. Z okna spoglądałem na Charlotte'ę stojącą w gromadzie ludzi na peronie, którzy gestykulowali jak głuchoniemi w obawie, że odjeżdżający ich nie usłyszą. Charlotte nic nie mówiła, a kiedy napotykała moje spojrzenie, uśmiechała się lekko. Nie potrzebowaliśmy słów.

III

I

Jesienią przez kilka dni — wstydząc się do tego przed sobą przyznać — cieszyłem się nieobecnością matki przebywającej w szpitalu „na zwykłych badaniach”, jak nam mówiła... Tylko tych kilka dni dzieliło mnie od popołudnia, kiedy wychodząc ze szkoły dowiedziałem się o jej śmierci.

Nazajutrz po jej wyjeździe do szpitala zapanowała w naszym domu miła, niczym nie skrępowana swoboda. Ojciec przesiadywał do pierwszej w nocy przed telewizorem. Ja, rozkoszując się przyszłą niezależnością osoby dorosłej, dzień po dniu opóźniałem godzinę powrotu do domu: dziewięta, dziewięta trzydzieści, dziesiąta...

Wieczory spędzałem na rogu ulicy, gdzie w jesiennym mroku i przy niewielkim wysiłku wyobraźni, udawało mi się stworzyć przedziwną iluzję: deszczowy wieczór w jednej z metropolii Zachodu. Było to miejsce wyjątkowe; szerokie, monotonne ulice naszego miasta krzyżowały się tutaj i rozchodziły promieniście niby osie koła, co narożnym fasadom nadawało kształt trapezu. Wiedziałem już, że Napoleon nakazał podobne rozwiązania architektoniczne w Paryżu, aby uniknąć zderzania się pojazdów...

Im gęstsze zalegały ciemności, tym konkretniejsza była moja wizja. Nie peszyła mnie świadomość, że w jednym z gmachów jest muzeum ateizmu, a w innych gnieźdzą się ludzie we wspólnych mieszkaniach. Podziwiałem mokre od deszczu futryny okien, niebieskie i żółte, odbicia latarni ulicznych na zabłoconym asfalcie, sylwetki nagich drzew. Byłem sam, byłem wolny. Byłem szczęśliwy. Rozmawiałem z sobą szeptem po francusku. Ten dźwięczny język brzmiał całkiem naturalnie przed trapezem frontonów. Czy magia, którą uprawiałem tego lata, pozwoli mi na zmaterializowanie jakiegoś spotkania? Każda z przechodzących kobiet zdawała się mieć ochotę na pogawędkę ze mną. Każde pół godziny skradzione nocy wzbogacało mój francuski miraż. Nie należałem już do tego czasu ani do tego kraju. Na kolistym narożnym placyku czułem się cudownie obcy samemu sobie.

Męczyło mnie teraz słońce, dzień był niepożądaną pauzą, wyczekiwaniem na prawdziwe życie wieczorem...

Ale właśnie w pełni dnia, mrużąc oczy porażone lśnieniem pierwszego szronu, usłyszałem tę wiadomość. Za moimi plecami, w beztroskiej gromadce kolegów, nadal okazujących mi wzgardliwą wrogość, ktoś zawołał:

— A wiecie? Matka mu umarła...

Pochwyciłem kilka ciekawych spojrzeń. Poznałem tego, który to powiedział — syna naszych sąsiadów.

Obojętność w jego głosie dała mi czas na uzmys-

łowienie sobie niepojętej sytuacji: moja matka umarła. Wszystkie wrażenia z ostatnich dni zlały się w jedną spójną całość: częste nieobecności ojca, jego milczenie, a przed dwoma dniami zjawiła się moja siostra (nie były to wakacje akademickie, pomyślałem teraz).

Drzwi otworzyła mi Charlotte. Przyjechała rankiem z Saranzy. Wszyscy zatem wiedzieli! Mnie zaś traktowano jak dziecko, któremu na razie nic nie trzeba mówić. I to nieświadome niczego dziecko przechadzało się po swoim francuskim placyku, wyobrażając sobie, że jest kimś dorosłym, wolnym, tajemniczym. Nagłe otrzeźwienie było pierwszym uczuciem wywołanym przez śmierć matki. Potem ogarnął mnie wstyd: gdy moja matka umierała, ja z egoistycznym ukontentowaniem cieszyłem się swobodą, inscenizując paryską jesień pod oknami muzeum ateizmu!

Tylko Charlotte nie płakała podczas smutnych dni i w dniu pogrzebu. Z zamkniętą twarzą, ze spokojnymi oczami pełniła obowiązki gospodyni, przyjmowała gości, lokowała krewnych, którzy zjechali z innych miast. Ludziom nie podobała się jej oschłość.

— Możesz przyjechać do mnie, kiedy zechcesz — rzekła mi na pożegnanie. Potrząsnąłem głową: zobaczyłem Saranżę, balkon, syberyjską walizkę wypchaną francuskimi gazetami. Znowu się zawstydziłem: kiedy my opowiadaliśmy sobie bajki, życie obok toczyło się nieprzerwanie, pełne prawdziwych radości i prawdziwych nieszczęść — moja matka pracowała, już zżerana chorobą, nie zdra-

dzając się ani słowem, ani gestem, że cierpi, że jest skazana... My tymczasem po całych dniach rozmawialiśmy o elegantkach z belle époque...

Rozstałem się z babką doznając skrytej ulgi. Czułem, że jestem potajemnie uwikłany w śmierć matki. Tak, ponosiłem za nią odpowiedzialność, nieokreśloną odpowiedzialność widza, którego spojrzenie wytrąca z równowagi linoskoczka lub powoduje jego upadek. To Charlotte nauczyła mnie dostrzegać sylwetki paryskie w sercu wielkiego przemysłowego miasta nad Wołgą, to ona uwięziła mnie w wyśnionej przeszłości, skąd zerkałem z roztargnieniem na realne życie...

A realne życie było strużką wody zbierającej się na dnie wykopanej mogiły, do której dygocząc zajrzałem w czasie pogrzebu. Pod drobnym jesiennym deszczem wolno spuszczano trumnę do tej mieszaniny wody i błota...

Realne życie doszło do głosu wraz z przybyciem starszej siostry mego ojca. Mieszkała ona w robotniczym osiedlu, gdzie wszyscy zrywali się o piątej rano i tłumnie ciągnęli pod bramy gigantycznych zakładów. Ciotka wniosła z sobą ciężkie, mocne tchnienie rosyjskiego życia, niezwykły aliaż okrucieństwa, czułości, opilstwa, anarchii, niezwyciężonej radości życia, łez, zgody na niewolnictwo, twardego uporu, nieoczekiwanej subtelności... Z rosnącym zdziwieniem oglądałem świat, który kiedyś przesłaniała mi Francja Charlotte'y.

Ciotka bała się, że ojciec zacznie pić; w ten

straszny nałóg popadali mężczyźni, z jakimi miała do czynienia. Tak więc za każdą wizytą u nas powtarzała: „Mikołaju, nie tykaj zwłaszcza gorzały”. Czyli wódki. A on przytakiwał machinalnie, słuchał jej nieuważnie i zapewniał, energicznie kiwając głową.

— Nie, nie, to ja pierwszy powinienem był umrzeć. To pewne. Z tą moją...

I klepał się dłonią po tysej czaszce. Wiedziałem, o czym mówi: nad lewym uchem miał „dziurę”, osłaniała ją błonka cienka i gładka, pulsująca rytmicznie. Matka zawsze obawiała się, że może go zabić byle pchnięcie, jeśli wda się w jakąś bijatykę.

— Nie tykaj zwłaszcza gorzały...

— Nie, to ja powinienem był umrzeć pierwszy...

Nie rozpił się, ale bezsensowne przestrogi ciotki okazały się usprawiedliwione. W lutym, w okresie największych zimowych chłódów, wracając wieczorem do domu, dostał ataku serca i upadł na chodnik. Milicjanci znaleźli go w śniegu i przekonani, że jest pijany, przewieźli do izby wytrzeźwień. Dopiero następnego ranka stwierdzono pomyłkę...

Realne życie ze swą napastliwą arogancją znów rzuciło wyzwanie moim chimerom. Jeden jedyny odłgos był dostatecznie wstrząsający: dostarczono nam ciało w furgonetce krytej brezentem, gdzie nie było cieplej niż na dworze; kiedy je składano na stole, zadźwięczało jak bryła lodu uderzająca o drewno...

Nie mogłem się okłamywać. W zamęcie myśli musiałem sobie szczerze wyznać: śmierć rodziców nie zostawiła — w mojej duszy — nieuleczalnych ran. Tak, nie cierpiałem ponad miarę podczas tych sekretnych sam na sam z sobą.

Jeśli zdarzało mi się płakać, to nie z powodu ich utraty. Były to łzy bezradności wobec przerażającej prawdy: całe pokolenie zabitych, okaleczonych, pozbawionych młodości. Dziesiątki milionów istot skreślonych z życia. Ci uprzywilejowani, którzy padli na bitewnych polach, mieli przynajmniej prawo do bohaterskiej śmierci. A ci ocaleni, którzy znikali dziesięć czy dwadzieścia lat po wojnie, zdawali się umierać „całkiem normalnie”, ze „starości”. Należało bardzo blisko podejść do mojego ojca, by zauważyć nad jego uchem niewielką wklęsłość, która pulsowała krwią. Trzeba było dobrze znać moją matkę, by rozpoznać w niej dziewczynkę stojącą nieruchomo przy ciemnym oknie pod niebem rojącym się od warczących gwiazd w ten pierwszy wojenny poranek. I aby rozpoznać w niej także wychudzoną, bladą nastolatkę, która dławiała się jedząc kartoflane obierki...

Poprzez łzy obserwowałem ich życiowe drogi. Widziałem ojca, jak w upalny wieczór czerwcowy wraca po demobilizacji do rodzinnej wioski. Pamiętał tu wszystko: las, rzekę, zakręt drogi. I raptem znalazł się w nie znanym miejscu — na czarnej ulicy między dwoma szeregami wypalonych chat. A wokół żywego ducha. Tylko radosne wołanie kukulki w rytmie pulsującej nad uchem krwi.

Widziałem matkę, która zdała egzamin wstępny na uniwersytet, młodziutką studentkę skamieniałą w postawie na baczność przed murem podejrzliwych twarzy — komisja partyjna miała osądzić jej „zbrodnię”. Świadoma, że narodowość Charlotte’y, tak, jej „francuskość”, jest skazą nie do wymazania w epoce walki z „kosmopolityzmem”, napisała drżącą ręką w kwestionariuszu egzaminacyjnym: „matka — narodowości rosyjskiej”...

I spotkało się z sobą tych dwoje ludzi, tak różnych, tak sobie bliskich w okaleczonej młodości. I myśmy się urodzili, siostra i ja, i życie płynęło dalej pomimo wojen, spalonych wsi, obozów.

Tak, jeśli płakałem, to z powodu ich milczącej uległości. Nie mieli do nikogo pretensji, nie domagali się odszkodowań. Żyli i usiłowali zapewnić nam szczęście. Ojciec całe lata spędził na przemierzaniu nieskończonych przestrzeni od Wołgi po Ural: montował ze swoją brygadą linie wysokiego napięcia. Matka, wydalona z uczelni za swoją „zbrodnię”, nie zdobyła się na ponowną próbę. Została tłumaczką w jednej z wielkich fabryk naszego miasta. Jak gdyby techniczna jałowa francuszczyzna mogła ją rozgrzeszyć z przestępczej „francuskości”.

Śledziłem życie tych dwojga, życie banalne i zarazem niezwykle, i wzbierał we mnie niezrozumiały gniew. Nie bardzo wiedziałem przeciw komu. Nie, wiedziałem: przeciw Charlotte’cie. Przeciw kwietyzmowi jej francuskiego świata. Przeciw bezużytecznej sublimacji jej wyimagno-

wanej przeszłości. Co za szaleństwo rozmyślać o trzech postaciach ukazujących się na wycinku prasowym z początków wieku, co za szaleństwo analizować uczucia zakochanego Prezydenta! A nie pamiętać o tym żołnierzu, którego uratował mróz zasklepiając rozbitą czaszkę, tak że lodowa powłoka powstrzymała upływ krwi. I nie pamiętać, że ja sam zawdzięczam życie pociągowi, który jechał po omacku wymijając konwoje załadowane poszarpanym mięsem ludzkim, pociągowi, który wywiózł Charlotte'ę z dziećmi w bezpieczne głębiny Rosji... „Dwadzieścia milionów straciło życie, abyście wy mogli żyć”. Ten propagandowy slogan nie robił na mnie dawniej żadnego wrażenia, tak, ten patriotyczny refren miał teraz dla mnie nowy sens. Bolesny. I bardzo osobisty.

Jak niedźwiedź po długiej zimie budziła się we mnie Rosja. Bezlitosna, piękna, niedorzeczna, jedyna. Rosja odmienna od reszty świata przez swój mroczny los.

Tak, jeśli po śmierci rodziców zdarzało mi się płakać, to dlatego że poczułem się Rosjaninem. I dlatego że przeszczep francuski zaczął mi, od czasu do czasu, bardzo dokuczać.

Siostra mego ojca przyczyniła się mimo woli do mego nawrócenia. Przeniosła się do nas z dwoma synami, młodszymi ode mnie, uszczęśliwiona, że opuszcza zatłoczone wspólne mieszkanie w robotniczym osiedlu. Nie zamierzała jednak narzucać nam własnego sposobu bycia, zacierając ślady

naszej poprzedniej egzystencji. Nie, całkiem po prostu żyła tak, jak umiała. I nasza osobliwość rodzinna — „francuskość” bardzo dyskretna i niewiele mająca wspólnego z Francją, jak przekłady techniczne mojej matki niewiele miały wspólnego z językiem francuskim — zanikła sama przez się.

Ciotka była postacią wywodzącą się z epoki stalinowskiej. Stalin umarł przed dwudziestu laty, ale ona się nie zmieniła. Nie chodzi tu o gorącą miłość do Generalissimusa. Jej pierwszy mąż został zabity w morderczym chaosie pierwszych dni wojny. Ciotka wiedziała, kto zawinił początkowej katastrofie i mówiła o tym każdemu, kto chciał słuchać. Ojciec jej synów, z którym nigdy nie wzięła ślubu, przesiedział osiem lat w obozie. „Miał za długi język” — mawiała.

Nie, jej „stalinizm” wyrażał się przede wszystkim w sposobie mówienia, ubierania się, patrzenia ludziom w oczy, jak gdyby wciąż trwała wojna, jak gdyby w radiu rozbrzmiewał jeszcze głos patetyczny i żałobny: „Po bohaterskich walkach nasze wojska opuściły miasto Kijów... opuściły miasto Smoleńsk, opuściły miasto...” I wszyscy drętwieli śledząc nieubłagane posuwanie się wroga ku Moskwie... Żyła jak w latach, kiedy sąsiedzi wymieniali ukradkowe spojrzenia, wskazując ruchem brwi na dom, skąd nocą w czarnym samochodzie wywieziono całą rodzinę...

Nosiła wielką brązową chustę, stary sukienny płaszcz, walonki — zimą, sznurowane trzewiki na grubej podszewie — latem. Nie byłbym zdzi-

wiony widząc ją w wojskowym szynelu i faszynowych butach. A kiedy rozstawiała talerze na stole, jej duże ręce zdawały się rzucać tuleje granatów na taśmę w zakładzie zbrojeniowym, jak w czasie wojny...

Ojciec jej dzieci, do którego zwracałem się patronimikiem „Dmitrycz”, nieraz nas odwiedzał i w kuchni huczał jego ochryply głos, zdający się tu ocieplać stopniowo po nieskończeniu długiej zimy. Ani ciotka, ani on nie mieli nic do stracenia i niczego się nie obawiali. Mówili o wszystkim z dosadnością agresywną i beznadziejną. Dmitrycz zdrowo sobie popijał, ale oczy nigdy mu nie mętniały, tylko mocniej zaciskał szczęki, jak gdyby chciał powstrzymać twarde obozowe przekleństwo. To on dał mi pierwszy kieliszek wódki. Dzięki niemu mogłem sobie wyobrazić tę niewidzialną Rosję — kontynent otoczony drutem kolczastym i strażniczymi wieżyczkami. W tym zakazanym kraju najprostsze słowa nabierały groźnego znaczenia, paliły gardło, jak ta gorzałka w kieliszku z grubego szkła.

Pewnego dnia Dmitrycz opowiadał nam o jeziorku w głębi tajgi, zamarznętym przez jedenaście miesięcy w roku. Z woli komendanta obozu zamieniono jeziorko w cmentarz. Łatwiejsze to niż kopanie dołów. Więźniowie umierali dziesiątkami...

— Jesienią się tam poszło, było ich z dziesięciu do spławienia, może piętnastu... Była tam wyrębana dziura. W tej dziurze zobaczyłem tych innych, wcześniejszych... Nagich, łachy im oczywi-

ście zabierano, nieźle można się było obłowić... Uach, goli pod lodem wcale się nie psuli. O, byli jak ten kawałek chołodźca.

Chołodziec — nóżki w galarecie, których porcję miał przed sobą na talerzu — stał się wówczas dla mnie słowem przerażającym. Lód, ciało i śmierć zawarte w tym ostrym dźwięku.

Najbardziej bolał mnie fakt, że pod wpływem ich nocnych zwierzeń rodziła się we mnie niezniszczalna miłość do Rosji. Buntował się przeciw temu mój rozsądek, walcząc z działaniem wódki. „To kraj potworny! Zło, tortury, cierpienie, samookaleczanie się — oto ulubione rozrywki jego mieszkańców. A jednak Kocham go. Kocham za jego niedorzeczność. Za jego potworność. Dostrzegam w tym głębszy sens, którego żadne logiczne rozumowanie nie może podważyć...”

Ta miłość powodowała stałe rozdarcie wewnętrzne. Im bardziej ponura była odkrywana przeze mnie Rosja, tym silniejsze czułem do niej przywiązanie. Jak gdyby po to, żeby kochać, trzeba wykluć sobie oczy, zatkać uszy, zabronić głowie myśleć.

Pewnego wieczoru słyszałem rozmowę ciotki z jej konkubinem — o Berii...

Już wcześniej dowiedziałem się od naszych gości, co kryje się pod tym strasliwym imieniem. Wymawiano je z odrazą, choć nie bez lęku zapra-

wionego szacunkiem. Byłem za młody, by zrozumieć, czym jest niepokojąca sfera cienia w życiu tego tyrana. Odgadywałem jedynie, że chodzi o jakąś ludzką słabostkę. Wspominano o Berii półgłosem i wtedy zazwyczaj zauważano moją obecność i wypędzano mnie z kuchni...

Teraz siedzieliśmy w kuchni we troje. Troje dorosłych. Tak czy owak ciotka i Dmitrycz nie mieli już przede mną nic do ukrycia. Wdychając siny dym tytoniowy, z lekka zamroczony wódką, wyobrażałem sobie ogromny czarny samochód z zaciemnionymi szybami. Pomimo imponujących kształtów robił wrażenie taksówki szukającej pasażerów. Jechał z dziwną powolnością, nieraz prawie przystawał, po czym szybko ruszał naprzód, jakby kogoś doganiał. Z zaciekawieniem śledziłem te manewry po ulicach Moskwy. Nagle odgadłem ich cel: czarny samochód polował na kobiety. Na młode, ładne kobiety. Oglądał je uważnie przez zaciemnione szyby, towarzyszył ich krokom. Potem zwalniał. A czasem, podjąwszy wreszcie decyzję, puszczał się za nimi w poгон, skręcając w jakąś przecznicę.

Dmitrycz nie miał powodu, by mnie oszczędzać. Walił wszystko prosto z mostu. Na tylnym siedzeniu samochodu rozpierał się osobnik tęgi, łysy, w binoklach zatopionych w tłustej twarzy. Beria. Kiedy wybrał kobietę, na której ciało miał ochotę, zatrzymywali ją jego ludzie. W tamtych latach nie trzeba było nawet pretekstu. Porwana do jego rezydencji, zgwałcona — załamywała się pod wpływem gróźb, alkoholu, tortur...

Dmitrycz nie wyjaśniał — bo sam nie wiedział — co działo się później z tymi kobietami. W każdym razie już ich nie widywano.

Nocami nie mogłem spać. Ze spotniałym czołem, z oślepiętymi oczyma wystawiałem przy oknie, rozmyślając o Berii i kobietach skazanych na przeżycie tylko tej jednej nocy. Głowa mi płonęła. W ustach czułem kwaskowaty metaliczny smak. Utożsamiałem się z ojcem, narzeczonym czy mężem ofiary tropionej przez czarny samochód. Tak, w ciągu paru sekund, tyle, ile mogłem wytrzymać, byłem tym nieszczęśnikiem, którego ogarniał strach, żal, bezsilna złość, rezygnacja. Wszyscy bowiem zdawali sobie sprawę, w jaki sposób te kobiety znikają! Żołądek kurczył mi się w straszliwym spazmie bólu. Otwierałem lufcik, z ramy zgarniałem śnieg i nacierałem nim twarz. Przynosiło mi to trochę ochłody. Po chwili znów pojawiał się ten człowiek, czyhający za ciemną szybą samochodu. W jego binoklach odbijały się postacie kobiet. On je typował, obmacywał wzrokiem, oceniał ich walory. I dokonywał wyboru...

A ja nienawidziłem samego siebie! Za to, że nie mogłem pozbyć się podziwu dla łowcy kobiet. Tak, był we mnie ktoś, kto — z przerażeniem, wstrętem, wstydem — ekscytował się potęgą człowieka w binoklach. Mógł mieć każdą kobietę! Krążył po niezmierzonej Moskwie jak po własnym haremie... Najbardziej fascynowała mnie jego obojętność. Nie zabiegał o miłość. Nie obchodziły go uczucia wybranek. Upatrywał sobie kobietę, pożądał jej i posiadał ją tego samego dnia.

Potem o niej zapominał. Błagania, krzyki, jęki, płacz, złorzeczenia — jeśli je słyszał — były dla niego przyprawą dodającą pikanterii przemocy.

Straciłem przytomność na początku czwartej bezsennej nocy. Tuż przedtem pochwyciłem gorączkową myśl jednej z gwałconych kobiet, tej, która odurzona alkoholem, bólem, obrzydzeniem, zorientowała się, że nie pozwoli jej spokojnie odejść. Poraziła mnie ta myśl i osunąłem się na podłogę.

Gdy odzyskałem zmysły, stwierdziłem, że zaszła we mnie pewna zmiana. Byłem spokojniejszy, a także bardziej odporny. Od słowa do słowa posuwałem się wolno jak chory, który po operacji przyzwyczajają się do chodzenia. Musiałem wszystko na nowo uporządkować. W ciemności powtarzałem szeptem krótkie zdania, określające ten mój nowy stan ducha.

— Jest zatem we mnie ktoś, kto może podziwiać gwałt. Mógłbym mu nakazać milczenie, a i tak pozostawałby we mnie. Więc w zasadzie wszystko jest dozwolone. Beria mnie o tym pouczył. I jeśli Rosja mnie urzeka, to dlatego, że nie zna ona granic ani dobra, ani zła. Zwłaszcza zła. Pozwala mi zazdrościć łowcy kobiet. I nienawidzić siebie za to. I wczuwać się w sytuację udręczonej kobiety, miażdżonej przez jego spocone cielsko. I odgadywać jej ostatnią świadomą myśl, myśl o śmierci, którą kończy się to ohydne spółkowanie. I pragnąć razem z nią śmierci. Bo nie mogę żyć nadal z tym moim drugim ja, które podziwia Berię...

Byłem Rosjaninem. Pojmowałem, choć jeszcze niezbyt wyraźnie, co to znaczy. Co znaczy mieć w duszy wszystkie istoty zniekształcone przez ból, spalone wsie, zamarznęte jeziora z nagimi trupami. Rozumieć rezygnację ludzkiego stada zniewolonego przez satrapę. I straszliwa świadomość, że bierze się udział w zbrodni. I wściekłe pragnienie, by odegrać raz jeszcze te wszystkie minione historie — żeby z nich wypłenić cierpienie, niesprawiedliwość, śmierć. Tak, zatrzymać na ulicach Moskwy czarny samochód i zmiażdżyć go pięścią olbrzyma. Potem z zapartym tchem patrzeć, jak młoda kobieta otwiera drzwi swego domu, wchodzi na schody... Przerobić Historię! Oczyszczyć świat! Wykorzenić zło! Dać w sercu schronienie tym wszystkim ludziom, by móc ich kiedyś wypuścić na świat uwolniony od zła. Ale w oczekiwaniu na to trzeba podzielać z nimi nieszczęścia. Nienawidzić siebie za każdą słabość. Posunąć się w tym zaangażowaniu aż do szaleństwa, aż do zatury. Żyć całkiem zwyczajnie na krawędzi otchłani. Tak, to jest to: Rosja.

W rozterce, pokonując młodzieńcze wahania, czepiałem się mojej nowej tożsamości. Stawała się dla mnie samym życiem i, jak sądziłem, kładła kres mojej francuskiej iluzji.

Owo życie nagle ujawniło swoją główną właściwość (którą przesłania nam rutyna codzienności) — całkowitą niewiarygodność.

Dotychczas pochłaniały mnie książki. Przecho-

dziłem od postaci do postaci, idąc za logiką miłosnej intrygi czy dziejów wojennych. Ale w ten marcowy wieczór, tak ciepły, że ciotka otworzyła w kuchni okno, zrozumiałem, że życie nie kieruje się logiką, że brak mu spójności. Chyba tylko śmierć jest przewidywalna.

W ten marcowy wieczór dowiedziałem się, co ukrywali przede mną rodzice w związku z jakimś dawnym zdarzeniem w Azji Środkowej: Charlotte, uzbrojeni ludzie, szamotanina, krzyki. Zachowałem o tym nikłe wspomnienie wysnute z opowiadania dorosłych. Dorośli jednak nie wyrażali się jasno!

Tym razem oślepiła mnie jasność ich słów. Ciotka, wykładając parujące ziemniaki na półmisek, prowadziła zwykłą rozmowę ze znajomym, który siedział koło Dmitrycza.

— Pewnie, że oni tam żyją inaczej niż my — rzekła. — Modlą się do swego boga pięć razy dziennie, masz pojęcie? Nawet nie jedzą przy stole. Tak, jedzą na ziemi. No, na dywanie. I bez łyżek, palcami!

Znajomek, żeby ożywić konwersację, zaprotestował tonem rezonerskim:

— Ue... „nie tak jak my” to za dużo powiedziane. Ja byłem w Taszkencie zeszłego lata. Wiesz, oni żyją nie tak całkiem inaczej.

— A na tej ichniej pustyni byłeś? (Podniosła głos, uszczęśliwiona, że pociągną dalej ten temat i kolacja minie w ożywionym nastroju.) Tak, na pustyni. Jego babka na przykład (wskazała na mnie ruchem podbródka), ta Szerl... Szurl...

krótko mówiąc ta Francuzka miała tam niewesołą przygodę. Ci basmacze, ci bandyci, którzy nie chcieli władzy radzieckiej, złapali ją, była wtedy jeszcze bardzo młoda... na drodze, i zgwałcili... ale jak dzikie zwierzęta. Było ich może z sześciu, siedmiu. Wszyscy, jeden po drugim. A ty powiadasz „są tacy jak my”... I strzelili jej potem w głowę. Na szczęście ten zbrodnień źle wycelował. A temu chłopu, co ją podwoził dwukółką, poderżnęli gardło jak baranowi. A ty: „jak u nas”! No wiesz!...

— Nie, posłuchaj, mówisz o starych czasach!
— wtrącił Dmitrycz.

Dyskutowali tak, jedząc i popijając wódkę. Zza otwartego okna dobiegały spokojne hałasy z podwórka. Wiosenny wieczór był łagodny, błękitny. Sprzeczekali się, nie zauważając, że nieruchomieją na moim krześle, przestają oddychać, przestają cokolwiek widzieć. Nie pojmuję sensu ich słów. Wreszcie krokiem somnambulika opuściłem kuchnię i wyszedłem na ulicę pokrytą topniejącym śniegiem, bardziej tu obcy niż Marsjanin.

Nie, nie byłem przerażony epizodem na pustyni. Opisany w sposób banalny, nigdy — przeczuwałem to — nie oczyści się z nalotu pospolitych słów i gestów. Jego ostrość stępiłyby paluchy chwytające kiszony ogórek, skaczące jabłko Adama naszego gościa, lykającego wódkę, wrzaski rozbawionej dzieciarni na podwórku. Był ten epizod jak ramię ludzkie, które widziałem na szo-

sie przy dwóch rozbitych samochodach. Oberwane ramię, które ktoś w oczekiwaniu na karetkę pogotowia owinał kawałkiem gazety. Czcionki i zdjęcia odbiły się na skrwawionym ciele, niemal pozbawiając je wszelkiego wyrazu...

Nie, to, co mną naprawdę wstrząsnęło, była to niewiarygodność życia. Przed tygodniem poznałem tajemnicę Berii, harem jego gwałconych i zabijanych kobiet. A teraz dowiaduję się o gwałcie popełnionym na młodej Francuzce, w której nigdy już, zdawało mi się, nie rozpoznam Charlotte'y.

Za dużo naraz. Przebrała się miara. Ta bezzasadna, absurdana, ewidentna zbieżność powodowała zamęt myśli w mojej głowie. Mówiłem sobie, że w powieści po okrutnej historii kobiet porywanych w sercu Moskwy autor powinien dać czytelnikowi wytchnienie na przestrzeni wielu następnych stron. Można by wtedy liczyć na pojawienie się bohatera, który obali tyrana. Ale życie nie dbało o właściwe rozłożenie akcentów. Wylewało swoją treść bez ład i składu. Przez tę niezręczność kaziło czystość naszego współczucia i osłabiało nasz słuszny gniew. Życie było w istocie nie kończącym się brulionem, gdzie źle rozplasowane zdarzenia zazębiały się jedne o drugie i gdzie nadmiar postaci nie pozwalał im mówić, cierpieć, doznawać indywidualnie czyjejs miłości lub nienawiści.

Miotalem się między tymi dwiema tragicznymi historiami. Beria i młode kobiety, których życie kończyło się wraz z ostatnim chrapliwym jękiem

rozkoszy gwałciciela. Charlotte młoda, nierozpoznawalna, rzucona na piasek, bita, torturowana. Ogarniała mnie dziwna nieczułość. Byłem zawiedziony, miałem do siebie żal o tę otępiałą obojętność.

Tejże nocy wszystkie moje rozważania na temat niespójności życia wydały mi się fałszywe. W półśnie zobaczyłem znów ramię owinięte gazetą... Nie, w tym banalnym opakowaniu kikut był sto-kroć bardziej przerażający! Rzeczywistość, z całą swoją niewiarygodnością, odbiegała daleko od fikcji. Potrząsnąłem głową, aby odpędzić wizję małych drukowanych znaczków na skrwawionej skórze. I nagle pojawiła się przed moimi oczyma inna wizja, czysta, klarowna, jakby wycięta w przejrzystym powietrzu pustyni. Ciało młodej kobiety na piasku... Już nieruchome, pomimo nieokiełznanых ruchów mężczyzn rzucających się na nie z wściekłością. Sufit, na który patrzyłem, stał się zielony. Przeszył mnie tak silny ból, że wyczułem w piersi gorące kontury serca. Poduszka pod głową była twarda, szorstka jak piasek...

Przyłapałem się na geście, który mnie samego zaskoczył. Zacząłem bić się po twarzy: najpierw z przerwami, potem zaciekle, bez litości. Z bag-nistej głębi moich myśli odezwał się ktoś, kto patrzył z lubością na to kobiece ciało...

Biłem się po twarzy, aż mi spuchła, i lepka, zalana łzami wzbudzała we mnie obrzydzenie. Policzkowałem się, dopóki ten ktoś, ukryty we mnie, nie zamilkł ostatecznie... Potknąwszy się o po-

duszkę, którą szamocąc się z sobą, zrzuciłem z łóżka, podszedłem do okna. Cienki sierp księżyca przecinał niebo. Gwiazdy drżące i kruche dźwięczały jak lód pod stopami zapóźnionego przechodnia na podwórku. Zimne powietrze ochładzało moją spuchniętą twarz.

— Jestem Rosjaninem — powiedziałem nagle półgłosem.

2

Uzdrowiło mnie to moje ciało, młode i jeszcze naiwne w swej zmysłowości. Tak, w pewien kwietniowy dzień poczułem się wyzwolony. Miałem za sobą zimę, najtrudniejszą zimę mojej młodości, nieszczęścia, śmierć bliskich, ciężar ujawnionych tajemnic.

Najważniejsze jednak było to, że mój przeszczep francuski zdawał się już nie istnieć. Jak gdyby udało mi się stłumić w piersi głos drugiego serca. Ostatnie chwile agonii tego przeszczepu wiążą się z popołudniem kwietniowym, które powinno było stanowić dla mnie początek życia bez złudzeń...

Zobaczyłem jej plecy pod drzewami, koło stołu z szerokich nie heblowanych desek. Instruktor kontrolował jej ruchy i od czasu do czasu zerkał na ściskany w garści chronometr.

Dziewczyna, której opalone ciało mnie olśniło, miała chyba piętnaście lat, tyle co ja. Była zajęta rozkładaniem karabinu maszynowego po to, by go na nowo złożyć i to możliwie szybko. Takie ćwiczenia paramilitarne prowadzono w wielu szko-

łach naszego miasta. Kolejno zbliżaliśmy się do stołu i na dany przez instruktora znak rozmontowaliśmy ciężki agregat kałasznikowa. Wyjęte części układaliśmy na stole, aby w chwilę potem zabawnie powtórzyć na wspak nasze ruchy. Niektórzy upuszczali na ziemię czarną sprężynę, niektórzy naruszali ustalony porządek... A ona... myślałem początkowo, że tańczy dokoła stołu. W kurtce i spódnicy koloru khaki, w furażerze na rudawych kędziorach, kołysała się w rytmie wykonywanych czynności. Zapewne dużo ćwiczyła, skoro z taką zręcznością grzebała w oślizłych trzech karabinu.

Oniemiałem z zachwytu. Wszystko w niej było takie zwyczajne, pełne życia. Biodra falowały lekko, odpowiadając na falowanie ramion. Drgały krągłe złociste łydki. Cieszyła się własną zręcznością i pozwalała sobie na zbędne gesty, wypinała muskularną małą pupkę. Nie widząc jej twarzy, odgadywałem, że jest uśmiechnięta.

Z miejsca zakochałem się w rudowłosej dziewczynie. Było to oczywiście pragnienie czysto fizyczne, podziw dla dziecięcych jeszcze kształtów, kontrastujących z piersią dojrzałej już kobiety... Drętwy i zeszywniały odwalilem numer z rozkładaniem-składaniem, co zabrało mi aż trzy minuty. Znalazłem się w grupie mniej sprawnych... Ale doznanie nowego, nie znanego szczęścia było silniejsze niż chęć objęcia tego ciała i dotknięcia akksamitnej brązowej skóry.

Stół z szerokich desek na skraju lasu. Słońce, zapach ostatnich splachci śniegu w ciemnym pod-

szyciu. Wszystko było cudownie proste. I świetliste. Jak to dziewczęce ciało nieświadome swej kobiecości. Jak moje pragnienie. Jak komendy instruktora. Żaden cień przeszłości nie zasnuwał jasnego momentu. Oddychałem, pragnąłem, machinalnie wykonywałem rozkazy. I z nieopisaną radością stwierdzałem, że rozsupłowują się węzły moich zimowych, męczących, pogmatwanych przemyśleń... Rudowłosa dziewczyna tańczyła przed karabinem maszynowym. Przez cienką tkaninę wojskowej bluzy dostrzegało się w słońcu zarys jej postaci. Ogniste pukle wymykały się spod furazerki. A głuchym, żalobnym echem dobywały się z dna studni groteskowe imiona: Marguerite Steinheil, Izabela Bawarska... Nie mogłem uwierzyć, że moje dotychczasowe życie wypełnione było zakurzonymi relikdami. Żyłem bez słońca, bez pragnień — w mroku książek. Poszukując kraju-fantomu, mirażu niegdysiejszej Francji, zaludnionej przez dusze zmarłych...

Instruktor z wesołym okrzykiem pokazywał obecnym swój chronometr: „Minuta piętnaście sekund!” Najlepszy czas. Rudowłosa odwróciła się, rozpromieniona. Zdjęła furazerkę, odrzuciła do tyłu głowę. Jej włosy zapłonęły w słońcu, piegi zamigotały jak iskierki. Przymknąłem oczy.

A nazajutrz po raz pierwszy poznałem szczególną rozkosz, jaką daje trzymana w ręku broń palna, karabin Kałasznikowa, lekko dygoczący na moim ramieniu. Poznałem rozkosz, jaką daje

z daleka widok tarczy z sylwetką ludzką dziurawioną kulami. Nieustanne wstrząsy i poczucie męskiej siły dostarczały mi czysto zmysłowych przeżyć.

Po pierwszej serii zahuczała mi w głowie cisza. Sąsiad z lewej strzelił wcześniej i zupełnie mnie ogłuszył. Nieustanne dzwonienie w uszach, tęczone błyski słońca w oczach, zapach surowej ziemi pod stopami — byłem u szczytu szczęścia.

Bo nareszcie wracałem do życia. Odnalazłem jego sens. Życ w błogosławionej prostocie uporządkowanych gestów: strzelać, maszerować w szeregu, jeść kukurydzianą kaszę z aluminiowej menażki. Dać się porwać zbiorowemu ruchowi, którym kierują inni. Ci inni zdejmują z nas cały ciężar odpowiedzialności — dzięki nim zdobywamy lekkość, przejrzystość, czystość. Ci inni znają najwyższy cel. I ten cel jest również prosty i jednoznaczny: bronić ojczyzny. Spieszno mi było służyć monumentalnemu celowi, rozplynać się w rzeszy moich nieodpowiedzialnych towarzyszy. Rzucałem ćwiczebne granaty, strzelałem, rozbijałem namiot. Szczęśliwy. Radosny. Zdrowy. I nieraz ze zdumieniem przypominałem sobie chłopca, który w starym domu na krańcach stepów spędzał całe dnie na rozmyślaniach o życiu i śmierci trzech kobiet ze zdjęcia na kawałku starej gazety. Gdyby mi pokazano tego marzyciela, z pewnością bym go nie poznał. Nie poznałbym siebie...

Nazajutrz instruktor zabrał nas na manewry czołgów. Najpierw zobaczyliśmy szarą chmurę pęczniejącą na horyzoncie. Ziemia zaczęła z wol-

na wibrować pod podszewkami naszych butów. Chmura pożółkła, wzniosła się wyżej ku niebu, przyćmiła słońce. Wszystkie hałasy pokrył metaliczny zgrzyt gąsienic. Pierwsza lufa działka przebiła mur z kurzu. Pojawił się czołg dowódcy, potem drugi, trzeci... Zanim przystanąły, obróciły się, by zająć miejsce w szeregu, ciasno jeden przy drugim. Gąsienice zazgrzytały z większą wściekłością, wyszarpując kępy trawy.

Zahipnotyzowany potęgą imperium, wyobraziłem sobie glob ziemski, który mogły zaorać te czołgi — nasze czołgi! Wystarczyłby krótki rozkaz. Rozpierała mnie duma, jakiej jeszcze nigdy nie odczuwałem.

A żołnierze, którzy wyskoczyli ze swoich wieżyczek, zafascynowali mnie pogodną męskością. Wszyscy byli do siebie podobni, zrobieni z tej samej materii mocnej i trwałej. Nie imiałyby się ich ponure myśli prześladowające mnie w ciągu zimy. Cały ten szlam myślowy zostałby natychmiast zmyty jasnym potokiem ich rozumowania, które było bezpośrednie i proste jak wykonywane rozkazy. Rozpaczliwie zazdrościłem im takiego życia. W słońcu, bez odrobiny cienia. Ich siły, męskiego zapachu ciał, zakurzonych kurtek. A gdzieś tam czekała na nich rudowłosa dziewczyna-kobieta, obietnica miłości. Miałem jedno jedyne pragnienie: wysliznąć się pewnego dnia z wąskiej wieżyczki czołgu, oprzeć nogę o gąsienicę, zeskoczyć na rozmiękłą ziemię i przyjemnie zmęczonym krokiem maszerować ku tej kobiecie-obietnicy.

Owo życie, w gruncie rzeczy bardzo radzieckie, na którego marginesie dotychczas pozostawałem, wprawiało mnie w egzaltację. Nagle olśniła mnie myśl, że jedynym rozwiązaniem jest zatracić się w kolektywnej, dobroczynnej rutynie. Żyć jak żyją inni! Prowadzić czołg, a po odbyciu służby wojskowej pracować przy obróbce stali w potężnych zakładach nadwołżańskich, chodzić co sobotę na stadion i oglądać mecz piłki nożnej. Ale przede wszystkim wiedzieć, że ten spokojny, zaplanowany ciąg dni zostanie ukoronowany wielkim mesjanistycznym dziełem — komunizmem, który uczyni z nas ludzi zawsze szczęśliwych, kryształicznie myślących, równych w najściślejszym tego słowa znaczeniu...

Nad naszymi głowami, niemal kosząc wierzchołki leśnych drzew, ukazały się samoloty myśliwskie. Leciały trójkami. Mieliśmy wrażenie, że niebo zaraz wybuchnie i spadnie na nas. Fala za falą myśliwce znikwały rozpruwając powietrze, decybele rozsadzały mi mózg.

Później, w ciszy wieczoru, długo przyglądałem się opustoszałej równinie z ciemnymi smugami po wyrwanej gdzieniegdzie trawie. Mówiłem sobie: było kiedyś dziecko, które budowało bajkowe miasto wznoszące się ponad tym zamglonym horyzontem. Tego dziecka już nie ma. Jestem uzdrowiony.

Od pamiętnego dnia kwietniowego zaczęła mnie akceptować minispołeczność szkolna. Przyjęli

mnie z lekką pobłażliwością, z jaką traktuje się neofitów, nawróconych zapaleńców czy skruszonych entuzjastów. Taki byłem. Ciągłe starałem się im okazywać, że pozbyłem się mojej odrębności. Że stałem się taki jak oni. I w dodatku gotów byłem na wszystko, aby odpokutować mój poprzedni izolacjonizm.

Z biegiem czasu zmieniła się zresztą i minispołeczność. Coraz umiejętniej naśladowując dorosłych, podzieliła się na kilka klanów. Tak, niemalże na klasy społeczne! Wyróżniałem trzy grupy. Każda z nich przesądzała o przyszłości tych młodych chłopców, jeszcze wczoraj stanowiących jednolitą zgraję nastolatków. Najliczniejsi byli „proletariusze”, pochodzący przeważnie z warstwy robotniczej, która dostarczała rąk do pracy w zakładach ogromnego portu rzeczno-górnego. Górowali nad nimi uczniowie mocni w przedmiotach matematyczno-fizycznych, przyszli „technokraci”, przedtem zmieszani z „proletariuszami” i przez nich podporządkowywani, a teraz wysuwający się na proscenium szkolne. W trzeciej koterii, najmniej licznej, zamkniętej i elitarnej, skupili się przyszli „inteligenci”.

W każdej z tych klas uważano mnie za swojego. Grałem rolę pośrednika i wszyscy to aprobowali. W pewnym momencie myślałem nawet, że jestem wręcz niezastąpiony. Dzięki... Francji!

Albowiem, uwolniwszy się od Francji, zacząłem o niej opowiadać. Byłem uszczęśliwiony, że kolegom, którzy przyjęli mnie do swego grona, mogę przekazać zasób zbieranych od lat anegdot.

Opowiadki te miały wzięcie. Walki w katakumbach, żabie udka za cenę złota, paryskie ulice otwarte dla sprzedanej miłości... te historyjki przysporzyły mi opinii urodzonego gawędziarza.

Opowiadałem więc i czułem, że jestem całkowicie uzdrowiony. Nie powtarzały się już napady szaleństwa, kiedy pochłaniała mnie zawrotna przeszłość. Francja stała się po prostu materiałem fabularnym. Zabawnym, egzotycznym w oczach kolegów, ekscytującym, gdy opisywałem im „miłość po francusku” — ale w sumie niewiele się różniącym od śmiesznych, nieraz pieprznych kawałów, jakimi delectowaliśmy się na pauzach, pociągając ukradkiem papierosa. Dość szybko zauważyłem, że moje dykteryjki francuskie trzeba przystosować do upodobań słuchaczy. Zmieniałem zatem historyjkę zależnie od tego, czy opowiadałem ją „proletariuszom”, „technokratom” czy „intelektualistom”. Dumny z moich talentów konferansjera, zmieniałem maniery, dopasowywałem styl, dobierałem słownictwo. W grupie „proletariuszy” na przykład rozwodziłem się nad igraszkami Prezydenta i Marguerite; mężczyzna, co gorsza Prezydent Republiki, umierający wskutek nadużywania seksu — ta scena sama przez się doprowadzała ich do ekstazy. „Technokraci” byli bardziej wrażliwi na intrygę psychologiczną. Chcieli wiedzieć, co stało się z Marguerite po wybuchu skandalu. Mówiłem więc o tajemniczym podwójnym morderstwie w zaułku Ron-sin, o przerażającym poranku majowym, kiedy

odnaleziono męża Marguerite uduszonego liną pociągową i jej świekrę, również uduszoną, ale jej własną sztuczną szczęką... Nie omieszkałem dorzucić, że pan Steinheil, artysta malarz, był zasypywany zamówieniami oficjeli, jego małżonka zaś nigdy nie wyrzekła się przyjaźni w wyższych sferach. I że — według którejś wersji — jeden ze spadkobierców Félix'a Faure'a, najprawdopodobniej minister, został pochwycony na gorącym uczynku przez męża Marguerite...

„Intelektualistów” natomiast ten wątek zdawał się nie obchodzić. Od czasu do czasu ktoś ziewał ostentacyjnie. Rezygnowali z udawanej obojętności tylko wtedy, gdy mieli pretekst do podjęcia gierki słownych. Nazwisko Faure padło natychmiast ofiarą kalamburu: „dawać fory”. Wybuchali zblazowanym śmiechem. Ktoś inny, z tym samym niedbałym uśmieszkiem, dodawał: „Ale się wyforował!” — nawiązując do rozgrywki futbolo-wej. Ktoś jeszcze inny napomknął z głupia frant o *furtoczce*, lufciku... Zdałem sobie sprawę, że język w tym ciasnym gronie służy prawie wyłącznie do kalamburów, dwuznaczników, komunałów. Pełen podziwu i zarazem lęku, doszedłem do wniosku, że ten ich język obywa się bez otaczającego nas świata — bez słońca, bez wiatru... Wkrótce nauczyłem się z łatwością naśladować tych przemądrzałych żonglerów...

Jedynym, który nie pochwalał mego zbratania się ze szkolną społecznością, był Paszka. Paszka nieuk, z którym kiedyś chodziłem na ryby. Zbliżał się nieraz do naszej gromadki i słuchał, a kie-

dy zaczynałem popisywać się francuskimi historykami, spoglądał na mnie podejrzliwie.

Pewnego dnia zebrało się wokół mnie wyjątkowo liczne towarzystwo. Opowiadka musiała ich szczególnie interesować. Streszczając powieść nieszczęśnika Spivalskiego (oskarżono go o wszystkie grzechy śmiertelne i zabito w Paryżu) mówiłem o parze kochanków, którzy spędzili długą noc w niemal pustym pociągu po ucieczce z walącego się imperium carów. Nazajutrz kochankowie mieli rozstać się na zawsze...

Audytorium składało się tym razem z przedstawicieli trzech kast: z proletariuszy, z przyszłych inżynierów oraz inteligentów. Odtwarzałem namiętne sceny w ciemnym przedziale pociągu pędzącego przez wymarłe miasteczka i spalone mosty. Słuchano zachłannie. Na pewno łatwiej im było wyobrazić sobie dwoje zakochanych w pociągu niż Prezydenta Republiki z metresą w pałacu... A że chciałem dać satysfakcję amatorom słownych gier, zatrzymałem pociąg w jakimś prowincjonalnym mieście. Bohater opuszcza szybę w oknie i zwraca się do kilku przechodniów na peronie, pytając o nazwę miejscowości. Nikt nie może udzielić mu informacji. Było to miasto bez nazwy! Zaludnione przez cudzoziemców. Westchnienie satysfakcji rozległo się w grupie estetów. Ja zaś, stosując zręczny *flashback*, wróciłem do przedziału, żeby przypomnieć o wędrownej miłości ekstrawaganckich kochanków... W tym momencie ponad zasluchanym tłumem ujrzałem rozczochraną lepetynę Paszki. Minęło

kilka chwil, zanim odezwał się swoim huczącym chropowatym basem:

— No i co? Jesteś zadowolony? Tym dupkom tylko tego potrzeba. Już się ślinią od twoich bajerów...

W pojedynkę nikt nie ośmieliłby się Paszki pokroić. Ale tłum dysponuje własną odwagą. Głośno wyrażano oburzenie. Chcąc uspokoić umysły, rzekłem tonem pojednawczym:

— Przecież to nie bajery, Paszka! To opowieść autobiograficzna. Ten facet naprawdę uciekł z Rosji po rewolucji, z kochanką... Zamordowano go później w Paryżu...

— A dlaczego im nie opowiesz, co się działo na dworcu, he?

Milczałem zaskoczony. Uświadomiłem sobie, że inaczej opowiadałem tę historię mojemu koleźce wałkoniowi. Rankiem zakochani znaleźli się nad brzegiem Morza Czarnego, w mieście zatopionym w śniegu; w opustoszałej kawiarni pili parującą herbatę przy oszronionym oknie... Po wielu latach zobaczyli się znów w Paryżu i wyznali sobie, że tych parę godzin porannych jest im droższe niż wszystkie wzniosłe miłości w ich życiu. Tak, matowy szary poranek, stłumione sygnały mgłowe i dwoje uciekinierów w sercu śmiercionośnej burzy dziejowej...

Właśnie tę dworcową kawiarnię miał na myśli Paszka... Z kłopotu wybawił mnie dzwonek. Chłopcy zgasili papierosy i hurmem ruszyli do klasy. Ja zaś, oszołomiony, pomyślałem, że żaden z moich stylów — ani ten przeznaczony dla pro-

letariuszy, ani ten schlebiający technokratom, ani nawet akrobacje werbalne uwielbiane przez intelektualistów — nie, żaden z tych moich stylów nie mógł odtworzyć tajemnych uroków śnieżnego poranka na brzegu otchłani Czasów, jego światła, jego ciszy... Kolegów zresztą wcale by to nie zainteresowało! Byłoby zbyt zwyczajne, pozbawione erotyzmu, intrygi, gry słów.

Wracając ze szkoły przypomniałem sobie, że jeszcze nie opowiedziałem kolegom o Prezydencie czekającym na ukochaną przy ciemnym oknie Pałacu Elizejskiego. Samotny, oko w oko z jesienią nocą, a gdzieś tam, w mrocznym zadeszczonym świecie, woalka na twarzy kobiety połyskuje skraplającą się mgłą. Ale kto chciałby słuchać opisu jesiennej nocy i wilgotnej woalki?

Raz i drugi, zawsze nieporadnie, Paszka ponawiał próby wyrwania mnie z nowego środowiska. Któregoś dnia zaproponował wspólne łowienie ryb nad Wołgą. Z miną lekko pogardliwą odmówiłem w obecności wszystkich innych. Stał chwilę przy nas, opuszczony, pełen wahania, dziwnie kruchy mimo silnej postury... Przydybał mnie kiedyś w powrotnej drodze do domu i prosił o książkę Spivalskiego. Obiecałem. Naza jutrz wywietrzało mi to z głowy.

Byłem zbyt pochłonięty nową kolektywną rozrywką. Wesolą Górką.

Tak nazywano w naszym mieście ogromny dancing pod gołym niebem na jednym ze wzgórz nad

Wołgą. Prawie nie umieliśmy tańczyć. Ale kołysanie się w rytm muzyki miało w istocie inny cel: trzymać w ramionach dziewczęce ciało, dotykać go, oswajać. Żeby później nie odczuwać strachu. Wieczorem na Wesołej Górcie nasze ekipy nie dzieliły się już na klasy i koterie. Wszyscy byliśmy równi, zjednoczeni tym samym gorączkowym pragnieniem. Tylko żołnierze na przepustce stanowili odrębną grupę. Patrzyłem na nich z zazdrością.

Pewnego wieczoru usłyszałem, że ktoś mnie woła z gąszczu drzew. Uniosłem głowę: zobaczyłem Paskę! Parkiet był otoczony wysokim drewnianym płotem. Za nim rozciągał się dziki, gęsto zadrzewiony teren, ni to las, ni to zapuszczony park. Na grubym konarze klonu, sterczącego nad płotem, zobaczyłem Paskę...

Zszedłem właśnie z parkietu, gdzie niechcący otarłem się o pierś mojej partnerki... Po raz pierwszy tańczyłem z tak dojrzałą dziewczyną. Zwilgotniały mi dłonie na jej plecach. Wskutek niespodziewanej fioritury orkiestry zrobiłem fałszywy krok i pierś przyłgnałem do jej piersi. Efekt był silniejszy niż wylądowanie elektryczne! Wstrząsnęła mną delikatna elastyczność kobiecej piersi. Dreptałem w kółko, nie słysząc muzyki. Zamiast ładniutkiej twarzy dziewczyny widziałem przed sobą świetlisty owal. Kiedy przestano grać, partnerka opuściła mnie bez słowa, wyraźnie urażona. Prześliznąłem się między parami, stąpając po parkiecie jak po lodzie...

Musiałem być sam, oprzytomnieć, odetchnąć.

Zapуściłem się w alejkę biegnącą wzdłuż sali tańca. Wiatr od Wołgi orzeźwiał moje rozpalone czoło. „A jeśli to ona umyślnie wpadła na mnie” — pomyślałem nagle. Może chciała, bym przekonał się, jak jędrne ma piersi, i w ten sposób rzucała mi wyzwanie, którego ja, nieśmiały i naiwny, nie potrafiłem rozszyfrować. Kto wie, czy nie przegapiłem życiowej szansy!

Zmrużyłem powieki jak dziecko, które po rozbiciu szklanki zamyka oczy w nadziei, że chwilo-
wa ciemność przywróci poprzedni stan rzeczy: dlaczego orkiestra nie miałaby znów zagrać tej piosenki, dlaczego nie miałbym odszukać mojej partnerki, żeby powtórzyć wszystkie gesty aż po końcowy porozumiewawczy uścisk? Nigdy jeszcze i nigdy już nie odczuję tak intensywnie obecności ciała kobiecego, tak bliskiego i zarazem tak dalekiego.

Z tej sentymentalnej rozterki wyrwał mnie głos Paszki spomiędzy liści. Spojrzałem w górę. Uśmiechał się, pólżąc na grubej gałęzi.

— No, włącz! Zrobię ci miejsce — rzekł podkurczając nogi.

Niezdarny i ociężały w mieście, Paszka odmie-
niał się na łonie natury. Teraz przypominał ol-
brzymiego kocura, który wypoczywa przed noc-
nymi łowami.

W innych okolicznościach zignorowałbym je-
go zaproszenie. Ale pozycja Paszki była niezwyk-
ła i ponadto czułem się przyłapany na gorącym
uczynku. Jak gdyby on ze swej gałęzi podsluchi-
wał moje gorączkowe myśli! Wyciągnął do mnie

rękę, wspiałem się i siadłem obok niego. To drzewo było prawdziwym punktem obserwacyjnym.

Falowanie setek splecionych ciał wyglądało z lotu ptaka całkiem inaczej. Absurdalnie (szurający nogami tłum), a jednocześnie dostrzegało się w tym pewną logikę. Ciała krążyły, na krótko zlepiały się z sobą, po skończonej piosence rozłączały się, znów krążyły, niekiedy te same pary tańczyły po kilka razy. Z naszego drzewa mogłem ogarnąć wzrokiem cały parkiet i dostrzec wszystkie miłosne zagrywki: rywalizacje, wyzwania, zdrady, miłość od pierwszego wejrzenia, zerwania, wyjaśnienia, bójki, tłumione w zarodku przez czujną straż porządkową. Zwłaszcza zaś pożądanie górujące nad muzyką i rytuałem tańca. Z tej magmy ludzkiej wyłowiłem dziewczynę, o której pierś się otarłem. Przez chwilę śledziłem jej drogę od partnera do partnera...

Właściwie coś mi to widowisko przypominało. „Życie!” — podszeptał mi jakiś dyskretny głos i powtórzyłem po cichu: „Życie!”... To samo splatanie ciał opanowanych żądzą, skrywaną w niezliczonych komediach. Życie... „A gdzie ja jestem w tej chwili?” — odgadywałem, że z odpowiedzi na moje pytanie narodzi się jakaś niezwykła prawda zdolna wyjaśnić wszystko, raz na zawsze, definitywnie.

W alejce rozległy się okrzyki — to chłopcy z mojej klasy wracali do miasta. Uchwyciłem się gałęzi, gotów do skoku. Powstrzymał mnie głos Paszki, niepewny, zabarwiony cierpką rezygnacją:

— Poczekaj, niech tylko zgaszą reflektory, zobaczysz, będzie mnóstwo gwiazd! A jak wleziemy wyżej, zobaczysz Strzelca...

Nie posłuchałem go. Zeskoczyłem z drzewa. Ziemia, pokryta płataniną grubych korzeni, raziła mnie w stopy. Puściłem się biegiem, żeby dogonić kolegów, którzy oddalali się, żywo gestykulując. Miałem ochotę powiedzieć im o mojej partnerce z pięknym biustem, dowiedzieć się, co o tym myślą, oszołomić się słowami. Chciałem jak najszybciej powrócić do życia. I ze złośliwą radością sparodiowałem odpowiedź na dziwne pytanie, które przed chwilą sobie postawiłem: „Gdzie jestem? Gdzie byłem? Ależ na gałęzi obok tego durnia Paszki. Obok prawdziwego życia”.

Dziwnym przypadkiem (a, jak już wiedziałem, rzeczywistość jest ciągiem niewiarygodnych powtórek, czego wystrzegają się autorzy powieści, uważając to za poważny mankament) spotkaliśmy się obaj nazajutrz, Paszka i ja. Z zażenowaniem, jakiego doświadcza dwaj kamraci, którzy wieczorem, otworzywszy na oścież serca i dusze, wysłuchali wzajem swoich poufnych, egzaltowanych i sentymentalnych zwierzeń... po czym spotykają się w sceptycznej jasności ranka.

Wałęsałem się w pobliżu zamkniętego jeszcze dancingu; dochodziła szósta. Za wszelką cenę chciałem pierwszy zatańczyć z wczorajszą partnerką. Przesądnie wierzyłem, że czas się cofnie i uda mi się posklejać rozbitą szklanę.

Paszka wychynął z zarośli parku, zobaczył mnie i zawahał się, nim skinął mi głową. Niósł sprzęt rybacki. Z apetytem przeżuwał kawałki razowca, które wyskubywał z trzymanego pod pachą bochenka. Po raz drugi poczułem się jak złapany na gorącym uczynku. Obrzucił wzrokiem moje modne spodnie poszerzane u dołu i jasną koszulę z szerokim wykładanym kołnierzykiem. Zrobił pożegnalny ruch głową i odszedł. Odetchnąłem z ulgą. Ale Paszka nagle zawrócił i rzekł nieco szorstkim tonem:

— Chodź, coś ci pokażę! Chodź, nie pożałujesz...

Gdyby zatrzymał się czekając na odpowiedź, pozbyłbym się go byle mruknięciem. On jednak nie zwolnił kroku i ani spojrzął w moim kierunku. Niezdecydowanym krokiem ruszyłem za nim.

Zeszliśmy na brzeg Wołgi, minęliśmy olbrzymie portowe dźwigi, doki, magazyny kryte falistą blachą. Znaleźliśmy się na rozległym terenie wśród porzuconych łodzi, zardzewiałych konstrukcji żelaznych, wśród piramid zbutwiałych belek. Wewnątrz pała stoczonego przez robaki Paszka schował wędkę i siatkę i zaczął przeskakiwać z łodzi na łódź. Przesadziliśmy stary prom, kilka pomostów i kładek, które miękko uginały się pod naszymi nogami. Nie zdawałem sobie zresztą sprawy, kiedy opuściliśmy stały ląd i weszliśmy na pływającą wyspę utworzoną ze szczątków flotylli. Czepiałem się oberwanych poręczy, dałem susa przez coś w rodzaju dżonki, pośliznąłem się na wilgotnej tratwie...

W końcu zatrzymaliśmy się w kanale o spadzi-
stych brzegach porośniętych czarnym bzem. Na ca-
łej powierzchni kanału tłoczyły się kadłuby łó-
dzi, burta przy burcie, w fantazyjnym nieładzie.
Siedliśmy na ławce barki, nad którą wznosił się
bok na pół spalonej szalupy. Wyciągając szyję,
zobaczyłem w górze na jej pokładzie napiętą linę
koło kabiny; strzępy wypłowiałej tkaniny koły-
sały się lekko — bielizna susząca się tu od lat...

Wieczór był gorący, parny. Zapach wody mie-
szał się z mdłą wonią bzu. Od czasu do czasu środ-
kiem Wołgi przepływał statek, wysyłając do ka-
nału serię leniwych fal. Nasza barka zaczyna-
ła tańczyć, ocierając się o burtę szalupy. Na pół
zatopione cmentarzysko odżywało. Słysząc było
zgrzyt stalowej liny, dźwięczny plusk wody pod
jakimś pontonem, szum trzciny.

— Cóż to za wspaniałe parawan! — zawołałem,
nie orientując się zbyt dobrze, co znaczy ten ter-
min w języku żeglarskim.

Paszka zerknął na mnie trochę zakłopotany, ale
się pohamował. Wstałem, spieszyłem się na We-
sołą Górkę... Zatrzymał mnie, szarpiąc gwałtow-
nie za rękaw, i odezwał się nerwowym szeptem:

— Poczekaj! Zaraz tu będą!

Rozległy się czyjeś kroki. Najpierw kłapanie
butów po rozmiękłym gliniastym brzegu, potem
głuche dudnienie na drewnianej kładce. I wresz-
cie metaliczny tupot nad naszymi głowami, na
pokładzie szalupy... Z jej wnętrza dobiegły nas
stłumione głosy.

Paszka wyprostował się na całą wysokość i przy-

warł do burty szalupy. Dopiero teraz zauważyłem w niej trzy iluminatory. Rozbite szyby zatkano od środka kawałkami sklejk, na których widniały cienkie nacięcia ostrzem żyłki. Nie ruszając się z miejsca Paszka dał mi znak, żebym go naśladował. Uczepiłem się stalowej wręgi opasującej kadłub i stanąłem przy lewym iluminatorze. Środkowy pozostawał nie zajęty.

To, co zobaczyłem przez szparkę, było zarazem banalne i niezwykle. Kobieta, której dostrzegłem jedynie górną część tułowia i otoczoną jasnymi loczkami głowę z profilu, rozłożyła szeroko ramiona na stole; dłonie miała nieruchome, twarz spokojną, a nawet senną. Dziwić mogła tylko jej obecność w szalupie. Choć mimo wszystko... Bez przerwy kiwała lekko głową, jak gdyby potakując niewidzialnemu rozmówcy.

Opuściłem mój posterunek i spojrzałem na Paszkę. Byłem zawiedziony. „Ostatecznie, co tu jest do oglądania?” Ale on, z pięściami przyciśniętymi do łuszczącej się burty, nie odrywał czoła od okienka.

Przesunąłem się więc do sąsiedniego iluminatora, wtykając nos w szczelinę między dwiema deszczułkami...

Doznałem wrażenia, że nasza barka tonie, osuwa się w głąb zatłoczonego kanału, a burta szalupy, przeciwnie, wznosi się ku niebu. Rozgorączkowany, trzymałem się kurczowo szorstkiej wręgi, usiłując przywołać wizję, która mnie przed chwilą oślepiła.

Były to nagie pośladki kobiece, białe i masyw-

ne. Tak, biodra klęczącej kobiety, widziane wciąż z profilu; jej nogi, łydki, których grubość mnie przeraziła, i dół grzbietu, przecięty krawędzią szczeliny. Za tym ogromnym zadem klęczał żołnierz w rozpiętych portkach, w wymiętej bluzie. Obiema rękami podciągał do siebie biodra kobiety, jak gdyby chciał wśliznąć się w zwały cielska, jednocześnie je odpychając całym sobą.

Barka rozkołysała się pod moimi stopami. Statek płynący w dół Wołgi wzburzył spokojną wodę w kanale.

Silniejsza fala pozbawiła mnie równowagi. Żeby nie upaść, zrobiłem krok w lewo i stanąłem przy pierwszym okienku. Oparłem czoło o stalową framugę. W szczelinie pojawiła się ta sama kobieta z twarzą obojętną i senną. Łokcie trzymała na czymś, co przypominało obrus, była w białej bluzce i wciąż lekko kiwała głową, w roztargnieniu oglądając swoje palce...

Ten pierwszy iluminator. I ten drugi. Kobieta sennie przymykająca ciężkie powieki, fryzura i ubranie bardzo pospolite. I ta inna. Nagi biały wypięty tyłek, do którego starał się wtargnąć mężczyzna — jakże wąły przy tym ogromnym cieiele! — grube uda, leniwy ruch bioder. W mojej młodej oszołomionej głowie nie mogłem połączyć z sobą dwóch obrazów. Nie sposób złożyć w całość tej górnej i tej dolnej części kobiecego ciała. Byłem tak podniecony, że burta szalupy zdawała się rozplaszczać pode mną. Leżąc na niej niczym jaszczurka podpełzłem do okienka z nagą kobietą. Ciągle tam była, ale jej potężne pośladki pozostawały

stawały nieruchome. Żołnierz, widziany teraz en face, zapiął bez pośpiechu guziki, co nie szło mu sprawnie. Obok drugi żołnierz, niższy od kolegi, klękał przed białym zadem. Gesty miał bardziej nerwowe, szybsze, niepewne. Ale gdy zaczął napierać brzuchem na ciężkie białe półkule, zachowywał się podobnie. Obaj w ten sam sposób zabierali się do rzeczy.

Ciemne płatki latały mi przed oczami. Nogi się pode mną uginały. Dyszałem urywanie, od łomotu mego serca w piersi, przyciśniętej do zardzewiałego metalu, wibrowała echem cała szalupa. Nowy przyływ drobnych fal rozkiwał barkę. Burta szalupy znów strzeliła w niebo, ja zaś, pozbawiony jaszczurczej zwinności, ześliznąłem się w stronę pierwszego iluminatora. Kobieta w białej bluzce potrząsała machinalnie głową, przypatrując się swoim rękami. Widziałem, jak paznokciem zdrapuje resztki lakieru na kciuku...

Ich kroki rozległy się teraz w odwrotnym kierunku: buty zastukały na pokładzie, zabębniły na kładce, poczłapały po mokrej glinie. Nie patrząc na mnie, Paszka skoczył z barki na wilgotny pomost, a stamtąd na brzeg kanału. Puściłem się za nim miękkimi susami niczym szmaciana marionetka.

Na brzegu usiadł, zzuł buty, podwinął do kolan spodnie i wszedł do wody roztrącając wysokie łodygi trzciny. Odgarnął rzęsę wodną i długo ochlapał sobie twarz, wydając pomruki zadowolenia, które z daleka można było wziąć za okrzyki rozpacz.

Wielki to był dzień w jej życiu. Po raz pierwszy miała oddać się w ten czerwcowy wieczór któremuś ze swych młodych przyjaciół, któremuś z chłopców bawiących się na Wesolej Górze.

Była raczej drobna. W tłumie nikt nie zwróciłby uwagi na jej pospolitą twarz. W błękitnym świetle latarni ulicznych czy w blasku reflektorów Wesolej Górki mogła uchodzić za blondynkę; za dnia jej włosy odzyskiwały naturalny kolor jasnorudy.

Zaledwie przed kilkoma dniami odkryłem, czym jest praktyka miłosna. Obserwowałem mrowisko ludzkie na parkiecie — tworzą się tu grupki, rozłączają się i łączą pary, wirują, ocierają się o siebie, podniecają i w końcu młodzi, wyroiwszy się, spieszą do poznania tajemnicy tego, co ja uważałem za głupio proste, a nieraz za baśniowo zagadkowe i głębokie — miłości.

Piła jak inni ukradkiem w zaroślach na zboczu wzgórza. Gdy jej kompania rozbiła się na pary, została sama, przypadek arytmetyczny nie zapewnił jej partnera. Pary rozbiegły się. Czuła lekki zawrót głowy. Nie była przyzwyczajona do alkoholu i wypila za dużo, żeby okazać gorliwość, ze strachu, że nie dorówna innym, i chcąc stłumić lęk przed tym wielkim dniem... Wróciła na parkiet, nie bardzo wiedząc, co począć z własnym ciałem, którego każda cząsteczka drżała z podniecenia i niecierpliwości. Ale już wygaszano reflektory.

To wszystko miałem odgadnąć później... Natomiast tamtego wieczoru widziałem tylko mło-

dziutką dziewczynę przechadzającą się w ciemnym zakątku parku, dokoła bladego kręgu światła latarni. Niby ćma nocna pochwycona w jasny promień. Dziwił mnie jej sposób poruszania się: szła jakby po linie, sztywno i jednocześnie krokiem lekkim, zwiewnym. Zrozumiałem, że każdym gestem walczy z omroczeniem. Twarz miała skupioną. Mobilizowała wszystkie siły, żeby nie upaść, nie dać nic po sobie poznać, obracać się w tym świetlistym kręgu aż do chwili, kiedy czarne drzewa przestaną się chwiać, podrywać się do skoku na jej widok, trzepotać dźwięcznie gałęziami.

Podszedłem bliżej. Znalazłem się w niebieskim kręgu latarni. Jej ciało (czarna spódniczka i jasna bluzka) skupiło całe moje pragnienie. Tak, od razu przeistoczyła się w kobietę, jakiej od dawna pożałowałem. Pomimo jej chwiejnych ruchów, pomimo rysów otępiałych od alkoholu, pomimo tego, co w jej twarzy i postaci powinno było mnie razić, a co teraz wydawało mi się piękne.

Krążąc dokoła latarni potrafiła mnie i uniosła oczy. Na jej twarzy zobaczyłem kolejno pojawiające się maski: strach, gniew, uśmiech. I zwyciężył uśmiech, niewyraźny, skierowany jakby nie do mnie, do kogoś innego. Wzięła mnie pod ramię. Zeszliśmy ze wzgórza.

Najpierw paplała coś bez przerwy. Jej młody zapijaczony głos nie panował nad tonacją. Z szepetu przechodził niemal w krzyk. Uczepiona mego ramienia potykała się od czasu do czasu i wtedy rzucała jakieś przekleństwo, z udanym pośpie-

chem zakrywając sobie usta dłonią. Albo też, niespodziewanie, wyrywała się naprzód, z miną obrażoną, aby po chwili znów się do mnie przytulić. Domyślałem się, że gra wcześniej przygotowaną komedię miłosną — chciała udowodnić partnerowi, że nie jest byle kim. Ale po pijanemu plątała wątki. Ja zaś, kiepski aktor, milczałem zdominowany przez tę kobiecość tak szybko osiągalną, a zwłaszcza przez halucynacyjną łatwość, z jaką ofiarowuje mi się to ciało. Sądziłem dotychczas, że tę ofiarę poprzedzą długie zaloty, tysiące słów, kunsztowny flirt. Milczałem, czując pod ramieniem miazdżoną pierś dziewczęcą. A moja rozaplana towarzyszka to odrzucała awanse przedsięwziętego fantoma, wydymając policzki i udając, że się dąsa, to znów owiewała wyimaginowanego amanta spojrzeniem, które miało być tęskne, a było całkiem po prostu zmaćcone pod wpływem wina i podniecenia.

Zaprowadziłem ją do jedyne miejsce, gdzie nasza miłość mogła znaleźć azyl — do pływającej wyspy, na której wczesnym latem podglądałem z Paszką prostytutkę i żołnierzy.

W ciemności zmyliłem kierunek. Po długiej wędrówce wśród uspijonych łodzi zatrzymaliśmy się na starym promie, którego połamana poręcz zanurzona była w wodzie.

Tu dziewczyna raptem zamilkła. Chyba z wolna trzeźwiała. Wobec jej napiętego oczekiwania stałem bez ruchu. Nie wiedziałem, co powinienem zrobić. Przyklęknąłem, obmacałem deski, wrzuciłem do kanału plataninę lin i wyschnię-

tej algi. Przy tym sprzątaniu musnąłem ręką nie chcący jej łydkę. Od dotknięcia moich palców dostała gęsiej skórki.

Nie odzywała się aż do samego końca. Z przymkniętymi oczami, jakby nieobecna, oddawała mi swoje ciało wstrząsane leciutkim dreszczem... Moje pospieszne ruchy niewątpliwie sprawiały jej ból. Ten wymarzony akt rozdrobnił się na mnóstwo niezręcznych, poronionych manipulacji. Chciałoby się rzec, że miłość nasza podobna była do gwałtownej, nerwowej obmacywanki. Kolana, łokcie zachowywały dziwną anatomiczną nieruchomość.

Rozkosz była jak płomień zapałki na lodowatym wietrze — ogień zdążył tylko oparzyć palce i zgasł pozostawiając w oczach oślepiający punktik.

Próbowałem ją całować (myślałem, że to należy do rytuału), moje usta napotkały jej obrzmiałe, pogryzione wargi...

Ale najbardziej przeraziło mnie to, że w sekundę potem nie były mi już potrzebne jej wargi ani spiczaste piersi pod otwartą bluzką, ani jej szczupłe uda, na które szybkim gestem ściągnęła spódniczkę. Jej ciało było mi obojętne, było bezużyteczne. Zaspokoiwszy zmysły, wystarczałem sam sobie. „Na co ona czeka, leżąc tutaj półnaga?” — myślałem zirytowany. W plecy uwierały mnie twarde deski, dłonie paliły od kilku wbitych drzazg. Wiatr nabrał ciężkiego smaku zastałej wody.

Może jednak doznałem tej nocy chwilowego

zapomnienia, może prześniłem króciutki sen. Bo nie dostrzegłem zbliżającego się statku. Rozwarliśmy powieki, gdy łyskający światłami biały olbrzym wznosił się nad nami. Byłem przekonany, że znaleźliśmy kryjówkę w głębi którejś z zatoczek pełnych zardzewiałego żelastwa. A było wręcz przeciwnie. Po ciemku zabrnęliśmy na sam koniec przylądka, sięgającego prawie do połowy rzeki. Trzypokładowy statek wolno płynął w dół Wołgi i z nienacka wyrósł nad starym promem. Od ciemnego nieba odcinały się sylwetki ludzkie. Tańczono na górnym, rzęsiście oświetlonym pokładzie. Spowily nas ciepłe tony tanga. Okna kabin, bardziej dyskretnie oświetlonych, zdawały się pochylać, abyśmy mogli zajrzeć do intymnego wnętrza. Wzburzone fale były tak potężne, że prom opisał półkole; od gwałtownego poślizgu zakręciło nam się w głowie. Mieliśmy wrażenie, że statek nas okrąża swymi światłami i swoją muzyką... W tym momencie dziewczyna pochwyciła moją rękę i przywarła do mnie. Żar jej ciała trzymałem w dłoniach, niby drgające ciało ptaka. Jej ramiona i kibić miały giętkość nenufarów, które kiedyś zrywałem, puszczając z prądem kilka oślizłych lodyg.

Ale echo tanga ucichło. Statek zniknął w ciemności. Płynąc do Astrachania zabierał z sobą noc. Powietrze nasycalo się niepewną bladością. Ogarnęło mnie zdumienie, że stoję tak pośrodku wielkiej rzeki w nieśmiałym blasku rodzącego się dnia, na mokrych deskach promu. Kontury portu zarysowywały się coraz wyraźniej.

Nie czekała na mnie. Nawet nie spojrzawszy w moją stronę, zaczęła przeskakiwać z łodzi na łódź. Uciekała w dzikim popłochu niczym baletnica po nieudanym debiucie. Z zamartwionym sercem patrzyłem na jej skaczącą ucieczkę. Mogła pośliznąć się na wilgotnym drewnie, mogła trafić na pękniętą kładkę, mogła utonąć między dwiema barkami, których burty zewrą się nad jej głową. Mocą mojego spojrzenia utrzymywałem ją w tym locie przez mgłę poranną.

Wreszcie zobaczyłem ją na brzegu. Piasek chrząścił łagodnie pod jej stopami. Odchodziła dziewczyna, z którą przed kwadransiem byłem tak blisko. Szarpnął mną nie znany dotychczas ból: oto odchodzi kobieta, zrywając niewidzialne więzy, jakie nas jeszcze łączą. I tam, na pustym brzegu, staje się znów istotą niezwykłą — kobietą ukochaną, która uniezależnia się ode mnie, kobietą obcą, która zaraz zacznie rozmawiać z innymi, uśmiechać się do innych... Żyć.

Odwróciła się posłyszawszy, że ją doganiam. Była blada, włosy miała rudawe, jak to teraz zauważyłem. Nie uśmiechała się, patrzyła na mnie bez słowa. Zapomniałem już, co chciałem jej powiedzieć przed chwilą, kiedy wilgotny piasek pod jej obcasami chrząścił mi jeszcze w uszach. „Kocham cię!” — byłoby kłamstwem niewybaczalnym. Tylko jej czarna wymięta spódniczka, tylko jej wątle jak u dziecka ramiona znaczyły dla mnie więcej niż wszystkie „kocham cię” tego świata. Zaproponować jej randkę na dziś czy na jutro było rzeczą nie do pomyślenia. Nasza noc powinna

być jedyną nocą. Niepowtarzalną jak zjawą statku, jak nasz krótki sen, jak jej ciało w świeżości wielkiej drzemiącej rzeki.

Staralem się jej to powiedzieć. Mówilem o chrzęszczącym piasku, o jej samotności na pustym brzegu, o tym, jak jej kruchość tej nocy przypominała mi łodygi nenufarów. I nagle z przejmującym uczuciem szczęścia pomyślałem, że muszę jej opowiedzieć o balkonie Charlotte'y, o naszych stepowych wieczorach, o trzech eleganckach spacerujących w jesienny poranek na Polach Elizejskich...

Skrzywiła się pogardliwie, ale i z pewnym zaniepokojeniem. Wargi jej drżały.

— Chory jesteś, czy co? — przerwała mi w pół słowa, mówiąc przez nos, jak dziewczęta z Wesołej Górki, kiedy chcą się pozbyć natrętów.

Skamieniałem. Ruszyła ku pierwszym zabudowaniom portowym i znikła w ich gęstym cieniu. Przed wejściem do zakładów pojawiali się już robotnicy.

Kilka dni później, podczas zbiorowej wyprawy na Górkę, usłyszałem rozmowę moich szkolnych kolegów, którzy nie spostrzegli, że stoję w pobliżu. Jakaś dziewczyna z ich paczki — mówili — skarżyła się, że jej partner nie umiał się kochać (wyrazili to w formie znacznie wulgarniejszej), i przekazała im komiczne szczegóły („Skonać można ze śmiechu” — zapewniał jeden z nich). Słuchałem więc, ciekaw rewelacji erotycznych, gdy

nagle ktoś rzucił nazwisko pechowego kochanka. Francuz... Byłem raczej dumny z tego przydomka. Wśród ogólnego chichotu pochwyciłem jeszcze dialog, a ściślej naradę, dwóch przyjaciół: „Zajmiemy się nią dzisiaj po tańcach. Do spółki, zgoda?”

Odgadłem, że umowa dotyczy rudowłosej dziewczyny. Opuściłem mój kąt i skierowałem się do wyjścia. Wtedy mnie zobaczyli, „Francuz, Francuz” — pobiegły za mną szepty, nim zagłuszyła je orkiestra.

Nazajutrz, nikogo nie uprzedziwszy, pojechałem do Saranzy.

3

Jechałem do tej sennej miejsciny zagubionej w sercu stepów, żeby zniszczyć Francję Charlotte’y. Należało raz na zawsze skończyć z tą Francją, która uczyniła ze mnie dziwaczego odmienca, niezdolnego żyć w realnym świecie.

W moim pojęciu owemu niszczeniu Francji powinny towarzyszyć wściekłe krzyki, głośny wybuch gniewu, najdosadniej wyrażający mój bunt. Okrzyki nie obrosły jeszcze w słowa. Słowa miały nadejść, tego byłem pewny, gdy tylko napotkam spokojny wzrok Charlotte’y. Na razie krzyczałem milczeniem. Tylko obrazy bezładnym barwnym korowodem przesuwwały mi się przed oczami.

Widziałem błysk binokli w miękkim półcieniu wielkiego czarnego samochodu. Beria wybiera na swoją noc ciało kobiece. A nasz sąsiad z przeciwka, poczciwy, uśmiechnięty emeryt, podlewa

kwiatki na balkonie, zasłuchany w jazgot tranzystora. A w naszej kuchni mężczyzna z tatuowanymi ramionami wspomina zamrożone jezioro z nagimi trupami. A wszyscy ci ludzie w wagonie trzeciej klasy, który uwoził mnie do Saranzy, jakby nie zauważali tych rozdzierających serce paradoksów. Żyli nadal. Spokojnie.

Chciałem wykrzyczeć przed Charlotte'ą te obrazy. I czekać na jej odpowiedź. Chciałem, żeby się z nich wytłumaczyła, żeby się usprawiedliwiła. Bo przecież to ona wszczepiła we mnie francuską wrażliwość — swoją własną — i skazała mnie na trudne życie między dwoma światami.

Powiedziałbym jej o moim ojcu, o „dziurze” w jego czaszce, o tym małym kraterze, gdzie pulsowało życie. I o mojej matce, po której odziedziczyliśmy lęk przed nieoczekiwanym dzwonkiem u drzwi w świąteczne wieczory. Oboje umarli. Podświadomie miałem żal do Charlotte'y, że ich przeżyła. Miałem do niej żal, że zachowywała się tak obojętnie na pogrzebie mojej matki. I miałem do niej pretensję o to, że w Saranzie wiodła życie bardzo europejskie, rozsądne i uładzone. Ucieleśniała w moich oczach Zachód, Zachód racjonalny i chłodny, do którego Rosjanie żywili nieuleczalną urazę. I Europę, która ze swej cywilizacyjnej twierdzy przyglądała się pobłażliwie naszym nieszczęściom, nieszczęściom barbarzyńców — wojnom pochłaniającym miliony ofiar, rewolucjom, których scenariusze sama dla nas pisała... W moim młodzięcym buncie wiele było z tej wrodzonej nieufności.

Przeszczep francuski, choć myślałem, że go odrzuciłem, tkwił jednak we mnie i przeszkadzał mi w ocenie rzeczywistości. Przepoławiał tę rzeczywistość. Jak ciało kobiety oglądanej przez dwa iluminatory: kobieta w białej bluzce, spokojna i bardzo wulgarna, i ta inna — ogromny tyłek, którego użyteczność cielesna skazywała niemal na bezużyteczność resztę ciała.

A przecież wiedziałem, że to ta sama kobieta. Zupełnie jak rozdarta rzeczywistość. Przeszczep francuski mącił mi wzrok, dawał złudzenie optyczne jak po przepiciu, dublując świat przez oszukańczo żywy miraż...

Mój krzyk dojrzewał. Obrazy, zamieniając się w słowa, przesuwały się coraz szybciej. Beria mruzczał do kierowcy: „Dodaj gazu! Dogoń ją... Chcę zobaczyć...”, mężczyzna w kostiumie Dziadka Mroza aresztowany w noc sylwestrową, spalona wioska rodzinna mego ojca, chude ramiona mojej młodej partnerki, dziecięce ramiona z błękitnymi żyłkami — i wymowne w swej zwierzęcej sile pośladki kobiety zeskrobującej czerwony lakier z paznokci, podczas gdy ktoś bierze w posiadanie dolną część jej ciała, i „torebka z Pont-Neuf”, i „Verdun”, i cały ten francuski galimatias przyćmiewający moją młodość.

Na stacji w Saranzie rozglądałem się chwilę po peronie. Odruchowo szukałem wzrokiem sylwetki Charlotte'y. Zły na siebie, zakpiłem z własnej głupoty. Tym razem nikt nie mógł na mnie

czekać. Babka nie spodziewała się mojej wizyty. Przyjechałem zresztą wieczorem, a rokrocznie latem zjawiałem się zawsze rano. Pociąg, nieprawdopodobnie długi, za długi i za ciężki jak na prowincjonalną stacyjkę, już ruszał wolno w drogę do Taszkientu, ku krańcom imperum. Urgencz, Buchara, Samarkanda — te nazwy dźwięczały w mojej głowie, budząc tęsknotę za Orientem, pokusę silną i bolesną dla każdego Rosjanina.

Teraz wszystko było inaczej.

Drzwi zastałem otwarte. W tamtych czasach zamykano się tylko na noc. Pchnąłem drzwi niczym we śnie. Bardzo dokładnie wyobrażałem sobie ten moment, znałem każde słowo, które wypowiem, każdy zarzut, który babce postawię...

A jednak wszystkie te słowa gdzieś uleciały, kiedy usłyszałem ciche skrzypnięcie drzwi, tak znajome jak głos kogoś bliskiego, kiedy wciągnąłem w płuca przyjemny, lekki zapach tego mieszkania. Miałem tylko w uszach parę strzępów planowanego wrzasku.

— Beria! I staruszek spokojnie podlewający mieczyki! I kobieta przecięta na dwoje! I wojna, o której się już nie pamięta. I gwałt na tobie! I waliza syberyjska, którą wlokę za sobą jak więzień łańcuchy! I nasza Rosja, której ty, Francuzka, nie rozumiesz i nigdy nie zrozumiesz! I moja dziewczyna, którą dwóch łajdaków ma się „zająć”.

Nie dosłyszała moich kroków. Zobaczyłem ją siedzącą przy drzwiach balkonowych, pochylała się nad jasną sukienką, którą rozłożyła na kolnatch; jej igła połyskiwała (nie wiem, dlaczego w

mojej pamięci babka zawsze naprawiała jakiś koronkowy kołnierzyk)...

Dobiegł mnie jej głos. Nie był to śpiew, raczej powolna deklamacja, melodyjny szept, pauzowany w rytmie nie wyrażonych myśli. Tak, piosenka na poły nucona, na poły recytowana. W przegrzanym powietrzu wieczornym nutki dawały wrażenie świeżości, podobne do wysokich tonów klawesynu. Przez kilka sekund wydawało mi się, że to język obcy, niezrozumiały — nic mi nie mówiący. W minutę później rozpoznałem francuski... Charlotte nuciła bardzo powoli, od czasu do czasu wzdychała, pozwalając niezglębionej ciszy stepu wślizgiwać się między strofy.

Ta piosenka urzekła mnie w dzieciństwie, a teraz skupiła na sobie wszystkie moje urazy.

A w czterech kątach łóżka,
Pierwiosnków bukieciki...

„Tak, oczywiście — pomyślałem z gniewem — właśnie ta czułościowość francuska przeszkadza mi żyć!”

Wśród kwiatów spać będziemy
Do końca tego świata...

Nie, nie mogłem jej słuchać dłużej!

Wszedłem do pokoju, zawołałem z rozmyślną obcesowością i po rosyjsku:

— No i jestem! Założę się, że się mnie nie spodziewałaś!

Ku memu zdziwieniu i rozczarowaniu obrzuciła mnie spokojnym wzrokiem. W jej oczach do-

strzegłem owo niezawodne opanowanie, jakiego nabywamy przestając na co dzień z niebezpieczeństwem, lękiem, bólem.

Zadała mi kilka dyskretnych, pozornie błahych pytań, chcąc upewnić się, czy nie przybywam w charakterze zwiastuna tragicznych wieści, i wysłała na korytarz, aby telefonicznie zawiadomić moją ciotkę, że jestem w Saranzie. Znów byłem zaskoczony swobodą, z jaką rozmawiała z kobietą tak się od niej różniącą. Głos, którym przed chwilą nuciła starą francuską aryjkę, zaprawiła lekkim akcentem ludowym i potrafiła krótko wyjaśnić całą sytuację, tłumacząc moją ucieczkę zwykłą wakacyjną eskapadą. „Stara się nas naśladować — pomyślałem. — Parodiuje nas!” Spokój babki i jej rdzenna ruszczyzna zwiększyły moje rozgoryczenie.

Zacząłem śledzić każde jej słowo. Któreś z nich zdolne będzie doprowadzić mnie do wybuchu. Charlotte z pewnością zapyta, czy mam ochotę na bezy, nasz ulubiony deser, a wówczas zaatakuję wszystkie wydziwaczone przysmaki francuskie. Kiedy zaś zechce odtworzyć atmosferę naszych dawnych pogawędek i zacznie opowiadać o treserze psów z bulwaru nad Sekwaną, wtedy...

Ale Charlotte milczała, nie poświęcając mi wiele uwagi. Jak gdyby moja obecność w niczym nie zmieniła zwykłego klimatu jej samotnych wieczorów. Uśmiechała się z rzadka, ilekroć napotykała moje spojrzenie, i twarz jej znów poważniała.

Kolacja była zdumiewająco skromna. Nie do-

stałem ani bez, ani też żadnych innych smakołyków jadanych w dzieciństwie. Uświadomiłem sobie z przerażeniem, że słaba herbata i kromki razowego chleba stanowiły codzienne pożywienie Charlotte'y.

Po kolacji czekałem na balkonie, aż się zjawi. Te same girlandy kwiatów, ta sama bezkresność stepów zasnutych mgłą. Między dwoma krzaczkami róż to samo kamienne oblicze bachantki. Zdjęła mnie ochota, by cisnąć tę głowę przez poręcz, by powyrywać kwiaty, by krzykiem wstrząsnąć nieruchomą równiną. Tak, Charlotte zaraz wejdzie, usiądzie na niskim krzeselku, poloży na kolanach robótkę...

Weszła, ale zamiast usiąść na krzeselku, stanęła przy balustradzie obok mnie. W tej pozycji moja siostra i ja patrzyliśmy na step pogrążający się z wolna w nocy i słuchaliśmy opowiadań babki.

Tak, oparła łokcie na splekanej drewnianej poręczy ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń bez granic, zabarwioną przejrzystym fioletem. I nagle zaczęła mówić głosem dalekim, zamyślonym, jakby zwracała się nie do mnie, lecz do kogoś innego.

— Jakie to dziwne, wiesz... Przed tygodniem spotkałam pewną kobietę. Na cmentarzu. Jej syn leży w tej samej alei co twój dziadek. Mówiliśmy o nich, o ich śmierci, o wojnie. O czym zresztą można mówić przy mogiłach? Jej syn został ranny miesiąc przed końcem wojny. Nasi żołnierze maszerowali już na Berlin. Modliła się co dzień (była wierząca albo stała się wierząca podczas oczekiwania na syna), modliła się, żeby go zatrzy-

mano w szpitalu jeszcze przez tydzień, przez trzy dni... Zginął na ulicach Berlina w ostatnich walkach... Już w Berlinie... Opowiadała mi o tym bardzo zwyczajnie. Nawet łzy jej były zwyczajne, kiedy wspominała o swoich modlitwach... I wiesz, co mi ta historia przypomniła? Rannego żołnierza w naszym szpitalu, tego, który bał się wracać na front i po nocach rozjářtrzał swoją ranę gąbką... Przyłapałam go na tym, zameldowałam naczelnemu lekarzowi. Założyliśmy mu gips i wkrótce wyzdrowiał, wzięli go na front... Widzisz, wtedy wszystko wydawało się takie proste, takie słuszne. A teraz trochę się w tym gubię. Przeżyłam życie i nagle okazuje się, że muszę je na nowo przemyśleć. Może uznasz to za głupie, nieraz jednak stawiam sobie pytanie: „Czy nie ja wysłałam na śmierć tego chłopca?” Może gdzieś w głębi Rosji jakaś matka modliła się co dzień, żeby syna jak najdłużej trzymali w szpitalu. Tak jak ta kobieta z cmentarza. Nie wiem... Nie mogę zapomnieć jej twarzy. Rozumiesz, to czysty nonsens, ale teraz mi się zdaje, że usłyszałam w jej głosie coś niby wyrzut. Nie umiem sobie tego wytłumaczyć...

Urwała, długą chwilę stała nieruchomo, z szeroko rozwartymi oczami, w tęczęwkach odbijał się jeszcze blask zgasłego słońca. Patrzyłem na nią z boku, niezdolny odwrócić głowy, wyprostować ramion, rozkurczyć zaciśniętych palców...

— Przygotuję ci łóżko — rzekła w końcu babka i opuściła balkon.

Otrząsnąłem się, rozejrzałem dokola ze zdzi-

wieniem. Niskie krzeselko Charlotte'y, lampa z turkusowym abażurem, kamienna, uśmiechnięta bachantka, wąski balkonik zawieszony nad ciemnym stepem — jakież to wszystko kruche! W popłochu przypomniałem sobie, że pragnąłem zniszczyć ten efemeryczny kadr... Balkon stawał się coraz mniejszy — jak gdybym patrzył na niego z coraz większej odległości — tak, stawał się całkiem mały i bezbronny.

Suchy, gorący wiatr zaatakował nazajutrz Saranżę. Na rogach ulic prażonych słońcem powstawały niewielkie tornada pyłu. Potem rozlegała się potężna detonacja — orkiestra wojskowa grała na głównym placu; przez upalne powietrze przedzierały się aż do domu Charlotte'y fragmenty popisowej muzyki. Gdy nagle zapadała cisza, słyszano się chrzęst piasku, którym wiatr obsypywał szyby, i natrętne brzęczenie muchy. Był to pierwszy dzień manewrów, odbywały się parę kilometrów od Saranży.

Mieliśmy za sobą długi marsz. Najpierw przez miasteczko, później przez step. Charlotte rozmawiała ze mną spokojnie i swobodnie, jak wczoraj wieczorem na balkonie. Jej słowa rozpływały się w radosnym zgiełku orkiestry, a kiedy wiatr z nagłą ustawał, dźwięczały dziwnie czysto w słonecznej pustce i ciszy.

Opowiadała mi o swoim krótkim pobycie w Moskwie, dwa lata po wojnie. Jasnym popołudniem majowym szła splątanymi uliczkami Kras-

noj Presni, które prowadziły w dół, ku rzece Moskwie. Czuła się jak rekonwalescentka, odzyskiwała siły po wojnie, zapominała o strachu i nawet — do czego nie odważała się przed sobą przyznać — o śmierci Fiodora, a właściwie o jego codziennej, uporczywej nieobecności... Mijały ją dwie kobiety, pochwyciła ostatnie słowa wypowiedzi jednej z nich: „Te samowary”... „Piło się z nich kiedyś dobrą herbatę” — pomyślała Charlotte. Gdy znalazła się na placu przed targowiskiem — drewniane budy i kramy otaczał parkan z grubych desek — zrozumiała swoją pomyłkę. Beznogi mężczyzna, usadowiony w czymś, co wyglądało jak skrzynka na kółkach, przeciął jej drogę, unosząc w górę kikut jedyne ramienia.

— Hej, ślicznotko! Rubelka dla inwalidy!

Wyminęła go instynktownie, bo zdawało się, że raptem wychynął wprost z ziemi. I wówczas zauważyła, że dokoła parkanu roi się od kalekich żołnierzy — od „samowarów”. Tocząc się w swoich skrzynkach, zaopatrzonych w kauczukowe kółka lub w zwykłe żelazne rolki, osaczali ludzi przy wyjściu z targowiska, prosili o pieniądze i tytoń. Jedni ich wspomagali, inni odchodzili pospiesznie, jeszcze inni rzucali przekleństwo, dodając tonem moralizatorskim: „Przecież państwo was utrzymuje... Wstydu nie macie!” Inwalidzi byli przeważnie młodzi, niektórzy wyraźnie podpici. Wszyscy mieli przenikliwe oczy, z odrobiną szaleństwa w spojrzeniu... Kilka skrzynek skierowało się w stronę Charlotte’y. Beznodzy mężczyźni wprawiali w ruch swoje pojazdy odpychając się

kijami od zdeptanej ziemi, pomagając sobie gwałtownymi podrzutami tułowia. Pomimo tych wysiłków wyglądało to raczej na grę.

Charlotte zatrzymała się, pospiesznie wyjęła z torebki banknot i podała go pierwszemu, który się zbliżył. Nie mógł go odebrać — u jedynej lewej ręki nie miał palców. Stracił banknot do skrzynki i nagle, rozkołysawszy się, lekko dotknął kikutem jej kostki. Wzrok, który na nią podniósł, był pełen rozpaczy...

Nie od razu zorientowała się w tym, co teraz nastąpiło. Zobaczyła tylko, jak podjeżdża ku niemu inwalida bez nóg, ale mający obie zdrowe ręce, i ściąga z wózka wymięty banknot. Krzyknęła: „Ach!” i znów otworzyła torebkę. Ale jednoręki, najwyraźniej zrezygnowany, obrócił się plecami do napastnika i ruszył w górę stromej uliczki, której szczyt stykał się z niebem... Chwilę namyślała się niezdecydowana — biec za nim? Dać mu pieniądze? Kilka „samowarów” skierowało wózki w jej stronę; poczuła się nieswojo. Opanował ją strach, a także wstyd. W monotonnym rozgwarze targowiska usłyszała krótki chrapliwy krzyk.

Odwróciła się gwałtownie. Wizja była szybsza od błyskawicy. Jednoręki żołnierz zjeżdżał uliczką w dół z ogłuszającym turkotem kulkowych łożysk. Sterował skrzynką, raz po raz odpychając się od ziemi kikutem. W ustach, wykrzywionych straszliwym grymasem, trzymał ściśnięty między zębami nóż. Ten, który go obrabował, ledwie zdążył sięgnąć po kij. Oba wózki zderzyły się, trysnęła krew. Charlotte zobaczyła jeszcze, jak dwóch

innych zbliża się do jednorękiego, który nie przestaje potrząsać głową, dźgając nożem przeciwnika. Poszły w ruch inne noże. Zewsząd dochodziły wrzaski i wycia. Skrzynki obijały się o skrzynki. Przechodnie, zaskoczeni tą powszechną walką, nie odważali się interweniować. Jakiś inwalidu, zjeżdżający ze szczytu uliczki, wpadł z rozpędu w sam środek kłębowiska okaleczonych ciał. W zwartych szczękach połyskiwała brzytwa. Charlotte usiłowała podejść bliżej, ale walczyli tuż przy ziemi, należałoby podpełznąć, by ich powstrzymać. Przeraźliwie gwizdząc nadbiegali już milicjanci. Widzowie ocknęli się i oddalali pospiesznie. Niektórzy schronili się w cieniu topoli, aby obejrzeć finał zapasów. Charlotte zauważyła pochyloną kobietę, która wywlekała spośród splątanych kadłubów jednego z „samowarów”. „Ljosza, obiecałeś, że tu nie przyjdiesz — mówiła błagalnie. — Obiecałeś!” I odeszła unosząc kalekę jak dziecko w ramionach. Charlotte chciała przekonać się, czy jednoręki inwalida jest jeszcze na pobojuwisku. Odepchnął ją milicjant...

Szliśmy wprost przed siebie, coraz dalej od Saranzy. Wojskową orkiestrę przytłumiła stopowa cisza. Szumiała tylko trawa na wietrze. I w tej nieskończoności świetlistej, rozedrganej od upału zabrzmiał znów głos Charlotte'y.

— Nie, oni nie bili się o te ukradzione pieniądze, nie! Wszyscy to tak rozumieli. Bili się... bili

się, żeby zemścić się na życiu. Za jego okrucieństwo, za jego głupotę. Za to majowe niebo nad ich głowami... Bili się, jakby chcieli z kogoś zakpić, wzgardzić kimś, kto w tym samym jedynym życiu zezwolił na istnienie wiosennego nieba i kalekich ciał...

„Stalin? Bóg?” — omal nie zapytałem, ale w stepowej aurze te słowa byłyby cierpkie, trudne do wymówienia.

Nigdy jeszcze nie zapuszczaliśmy się tak daleko. Saranza dawno już zlała się z falującym, zamglonym horyzontem. Bezcelowa eskapada była nam obojgu potrzebna. Za moimi plecami, prawie fizycznie, wyczuwałem sunący cień moskiewskiego targowiska. Doszliśmy w końcu do nasypu kolejowego. Tory wyznaczały surrealistyczną granicę tej nieograniczonej przestrzeni, pozbawionej innych punktów odniesienia, prócz słońca i nieba. Ciekawe, że pejzaż odmieniał się po drugiej stronie wału. Trzeba było obejść kilka jarów, gigantycznych uskoków o piaszczystym podłożu, żeby zejść w dolinę. I tu nagle, między kępami wierzb, rozbłysła woda. Uśmiechając się do siebie, zawołaliśmy jednogłośnie:

— Sumra!

Daleki dopływ Wołgi, jedna z dyskretnych, zagubionych w bezmiarze stepów rzeczulek, znanych tylko dlatego, że wpadają do potężnej rzeki.

Pod osłoną wierzb przesiedzieliśmy aż do wieczoru... Dopiero w drodze powrotnej Charlotte dokończyła swoją historię.

— Władze miały wreszcie dość tych wszystkich

kalek na placu, ich krzyków, bójek. Zwłaszcza że ten widok szpecił obraz wielkiego zwycięstwa. Wiesz, ludzie wolą żołnierza, kiedy jest dzielny i uśmiechnięty... albo jeśli zginął na polu chwały. A tamci... Krótko mówiąc, pewnego dnia sprowadzono ciężarówki i milicjanci zaczęli ładować na nie inwalidów, wyrwawszy ich ze skrzynek. Jak wrzuca się bierwiona na tielegę. Słyszałam od kogoś w Moskwie, że wywieziono ich na którąś z wysp na jeziorach północnych. Przerobiono dla nich dawne leprozorium... Jesienią starałam się dowiedzieć, gdzie to jest. Chciałam zgłosić się tam do pracy. Wiosną znalazłam się w tym północnym okręgu, gdzie powiedziano mi, że na wyspie nie ma ani jednego inwalidy, a leprozorium zostało ostatecznie zamknięte. Był to zresztą przepiękny zakątek. Wszędzie sosny i sosny, ogromne jezioro, powietrze niezwykle czyste...

Po godzinie marszu odezwała się z niewesołym uśmiechem:

— Zaczekaj, trochę sobie posiedzę...

Usiadła na zeschniętej trawie i wyciągnęła przed siebie nogi. Machinalnie zrobiłem jeszcze parę kroków i zawróciłem. Po raz drugi zobaczyłem, jakby z dużej wysokości czy z bardzo wysoka, siwowłosą kobietę w prostej satynowej sukience, kobietę siedzącą pośrodku niezmierniej przestrzeni, która rozciąga się od Morza Czarnego po Mongolię i którą nazywamy stepem. Moja babka... Widziałem ją z dystansu, w innym czasie; wczoraj wziąłem to za rodzaj złudzenia optycznego, jakie wywołuje napięcie nerwowe. Uwie-

rzyłem, że udało mi się aż do dna zgłębić oszałamiające wyobcowanie, które Charlotte często musiała odczuwać, wyobcowanie wręcz kosmiczne. Jej Francja, jej młodość, bardziej odległe niż białe księżyc, pozostały w innym układzie gwiazdowym, pod innym niebem...

Uniosła twarz. Oczy jej wydały mi się większe niż zwykle. Mówiła po francusku. Dźwięczność tego języka wibrowała jak ostatnie przesłanie z dalekiej galaktyki.

— Wiesz, Alosza, nieraz mam wrażenie, że wcale nie rozumiem życia tego kraju... Tak, ciągle jestem cudzoziemką. A przebywam tu ponad pół wieku. Te „samowary”... Nie rozumiem. I niektórzy ludzie zaśmiewali się patrząc na ich bijatykę!

Zamierzała wstać, więc zerwałem się, żeby jej podać rękę. Uśmiechnęła się, chwyciła moje ramię. Kiedy pochylałem się nad nią, wypowiedziała niemal szeptem kilka krótkich słów; zaskoczył mnie ich szczyry i poważny ton. W myślach przetłumaczyłem te słowa na rosyjski i chyba tak je zapamiętałem: złożyły się na długie zdanie, chociaż po francusku streszczały tylko jeden migawkowy obraz — jednoręki „samowar”, wsparty plecami o pień ogromnej sosny, spoglądający w milczeniu na rozbłyśki fal między drzewami...

W przekładzie na rosyjski, który utrwałem w pamięci, głos Charlotte'y dodawał tonem usprawiedliwienia: „A czasem zdaje mi się, że rozumiem ten kraj lepiej, niż rozumieją go sami Rosjanie. Bo noszę w sobie twarz tego żołnierza...

od tyłu lat. Bo odgadłam, jak jest samotny na brzegu jeziora...”

Podniosła się i wolno ruszyła naprzód, trzymając się mego ramienia. Czułem, że nad moim ciałem, nad moim oddechem traci władzę ten agresywny, nerwowy chłopak, który wczoraj przyjechał do Saranzy.

Tak rozpoczęło się nasze lato, moje ostatnie lato spędzone w Saranzie, w domu Charlotte’y. Następnego dnia obudziłem się ze świadomością, że nareszcie jestem sobą. Opanował mnie wielki spokój, niosący ukojenie, a zarazem gorycz. Nie musiałem już szamotać się, wybierać między tożsamością rosyjską i tożsamością francuską. Zaakceptowałem siebie.

Prawie wszystkie dni spędzaliśmy teraz nad Sumrą. Wychodziliśmy wczesnym rankiem, zabierając dużą manierkę z wodą, chleb i ser. Wracaliśmy wieczorem, korzystając z pierwszych świeżych powiewów.

Droga, odkąd ją poznaliśmy, nie dłużyła nam się tak bardzo. W rozslonecznionej monotonii stepu było mnóstwo znaków orientacyjnych: palików, żerdzi, tyczek; i szybko nauczyliśmy się je rozpoznawać. Granatowy blok z daleka iskrzył się miką. Ławica piasku przypominała małą pustynię. Miejsca porośnięte cierniami należało omijać. Kiedy znikala nam z oczu Saranza, wiedzieli-

śmy, że zaraz oderwie się od horyzontu linia nasypu kolejowego i zabłysną szyny. Po przekroczeniu tej granicy byliśmy już niemal u celu; za jarami, przecinającymi step niczym transzeje, wyczuwaliśmy bliskość rzeczki. Zdawała się nas oczekiwać.

Charlotte sadowiła się z książką w cieniu wierzby nad samą wodą. A ja aż do zmęczenia nurkowałem, niezliczną ilość razy pokonywałem wszerz rzeczkę wąską i niezbyt głęboką. Wzdłuż jej brzegów ciągnął się łańcuszek wysepek pokrytych sztywną trawą, gdzie jednak starczało miejsca, by się położyć i wyobrazić sobie, że jest się na bezludnej wyspie pośrodku oceanu.

Potem, rozwalony na piasku, wsłuchiwałem się w niezmaconą ciszę stepu... Nasze rozmowy nie potrzebowały pretekstu, zdawały się płynąć z prądem Sumry, rodziły się w szumie długich wierzbowych liści. Charlotte, z rękami na otwartej książce, patrzyła w dal, za rzekę, w stronę spalonej słońcem równiny; nie pozostawiała bez odpowiedzi moich pytań bądź, uprzedzając je, intuicyjnie nawiązywała do nich w swych opowieściach.

Podczas tych długich letnich popołudni na stepie, gdzie każde źdźbło trawy aż dzwoniło od suchości i skwaru, poznałem fakt z życia Charlotte'y, który kiedyś przede mną ukrywano. A także to, czego wówczas moja dziecięca inteligencja nie potrafiła zrozumieć.

Dowiedziałem się, że żołnierz Wielkiej Wojny, który wcisnął jej do ręki odłamek pocisku zwany „Verdun”, był rzeczywiście jej adorato-

rem, pierwszym mężczyzną w jej życiu. Z tą tylko poprawką, że nie spotkali się w dniu uroczystej defilady 14 lipca 1919 roku, lecz w dwa lata później, na kilka miesięcy przed wyjazdem Charlotte'y do Rosji. Dowiedziałem się ponadto, że ów żołnierz w niczym nie przypominał wąsatego bohatera z piersią obwieszoną medalami, którego sfabrykowała nasza naiwna wyobraźnia. Był raczej chudy, blady, o smutnych oczach. Często kaszlał. Miał chore płuca, padł ofiarą pierwszych niemieckich ataków gazowych. I nie wystąpił z defilujących szeregów, by podejść do Charlotte'y z kamykiem zwanym „Verdun”. Dał go swojej ukochanej jako talizman, a działo się to na dworcu w dniu jej wyjazdu do Moskwy. Był przekonany, że się wkrótce zobaczą.

Opowiadała mi też o gwałcie... Z zupełnym spokojem, jak gdyby mówiła: „Oczywiście, ty już wiesz, o co chodzi. To już dla ciebie nie sekret”. Pospiesznie, z udaną nonszalancją, potwierdziłem serią: „Tak, tak”. Bardzo się bałem, że gdy wstanę po usłyszeniu tej historii, zobaczę inną Charlotte'ę, inną twarz z niezatartym piętnem kobiety zgwałconej. Ale w mój mózg wraził się najpierw rozbłysk światła.

Mężczyzna w turbanie, odziany w coś niby płaszcz, za gruby i za ciepły, z uwagi zwłaszcza na rozgrzany piasek pustyni. Skośne oczy o spojrzeniu ostrym jak ostrze brzytwy, twarz koloru miedzi, okrągła i złana potem. Jest młody. Go-

rażkuje się, usiłując wyciągnąć zza pasa zakrzywiony puginał; przy drugim boku ma strzelbę. Kilka sekund zda się trwać całe wieki. Bo pustynię i człowieka o gwałtownych ruchach dostrzega tylko mała cząstka spojrzenia przez szparkę między rżęsami. Kobieta rozciągnięta na ziemi, w podartej sukni, z włosami w nieładzie, przysypanymi piaskiem, stanowi jakby nierozzerwalny fragment pustynnego krajobrazu. Czerwona strużka spływa z jej lewej skroni. Ale kobieta żyje. Kula drasnęła jej skórę nad czołem i zaryła się w piasek. Mężczyzna napina mięśnie, wygina się, żeby sięgnąć po broń. Puginał, którego szuka, prześliznął się razem z pasem na biodra, gdy przed chwilą z szeroko rozwartymi połamiami płaszcza gwałcił miażdżone ciało... Ze złością szarpie pas, rzucając nienawistne spojrzenia na nieruchomą twarz leżącej. Chciałby, żeby jej śmierć była bardziej fizyczna — poderżnięte gardło, krew wsiąkająca w piasek. Słyszy rżenie koni. Odwraca się. Jego towarzysze są już daleko. Ich sylwetki na grzbiecie pagórka wyraźnie odcinają się na tle nieba. Mężczyzna czuje się nagle dziwnie samotny: pustynia w wieczornym mroku i on, i ta umierająca kobieta. Spluwa z wściekłością, spiczastym końcem buta trąca bezwładne ciało i wskakuje na siodło zwinny jak ryś stepowy. Kiedy cichnie odgłos końskich kopyt, kobieta powoli otwiera oczy. I zaczyna oddychać, z wahaniem, jak gdyby utraciła wprawę w oddychaniu. Powietrze ma smak kamieni i krwi...

Głos Charlotte'y zmieszał się z lekkim poświ-

stywaniem wierzbowych gałęzi. Zamilkła. Rozmyślałem o wściekłości młodego Uzbeka. Owładnęła nim przemożna chęć poderżnięcia jej gardła, odebrania życia temu ciału. Z przenikliwością dorosłego już mężczyzny rozumiałem, że nie chodzi tu o zwykłe okrucieństwo. Przypomniałem sobie pierwsze chwile po dopełnionym akcie miłosnym, gdy ciało, tak niedawno pożądane, staje się nagle niepotrzebne, bezużyteczne, przykre dla oka, niemile w dotyku, prawie że wrogie. Przypomniałem sobie młodziutką dziewczynę nocą, na promie: istotnie, miałem do niej żal, że jej już nie pragnę, że jestem zawiedziony, że muszę ją tolerować przylepioną do mego ramienia... Doprowadzając tę myśl aż do końca, obnażając samczy egoizm, który przerażał mnie, a jednocześnie pociągał, rzekłem sobie: „W gruncie rzeczy kobieta powinna zniknąć po akcie miłosnym!” I znów zobaczyłem w wyobraźni rozdygotaną rękę szukającą sztyletu.

Wyprostowałem się gwałtownie i obróciłem ku Charlotte'cie. Chciałem zadać jej pytanie męczące mnie od wielu miesięcy: wciąż je w duchu układałem i zmieniałem tysiąc razy. „Powiedz mi jednym słowem, jednym zdaniem, czym jest miłość?”

Ale Charlotte odezwała się pierwsza, sądząc zapewne, że uprzedza moje pytanie znacznie bardziej logiczne.

— Wiesz, dlaczego ocalałam? A ściślej, co mnie uratowało? Jeszcze ci o tym nie mówiono?

Spojrzałem na nią. Wspomnienie o gwałcie ani

trochę nie zmieniło jej rysów. Na twarzy Charlotte'y tańczyły tylko cienie i słoneczne blaski sączone przez liście wierzb.

Uratował ją sajdak, antylopa pustynna z nozdrzami ogromnymi jak przycięta trąba słonia i — dla kontrastu — z wielkimi oczami o spojrzeniu tkliwym i zalęknionym. Charlotte często widywała stado antylop na pustyni... Kiedy zdołała się podnieść, zobaczyła sajdaka, wolno wspinającego się na piaszczystą wydmnę. Poszła jego śladem bez namysłu, instynktownie — to zwierzę było jedyną boją na morzu rozfalowanych piasków. Niczym we śnie (liliowe powietrze dawało złudzenie próżni marzeń sennych) zbliżyła się do sajdaka. W słabym świetle zmierzchu zobaczyła na piasku czarne plamy — krew. Antylopa upadła, po czym, gwałtownie potrząsając głową, poderwała się, stanęła na chwiejnych nogach, kilka razy podskoczyła niezdarnie. Znowu upadła. Była śmiertelnie ranna. Czyżby ci sami ludzie, którzy chcieli zabić ją, Charlotte'ę? Możliwe. Zaczynała się wiosna. Noc była lodowata. Charlotte skuliła się przywierając do boku zwierzęcia. Sajdak leżał bez ruchu. Po skórze przebiegały mu drgawki, świszczący oddech przypominał ludzkie westchnienia, szeptane słowa. Charlotte, zdrętwiała z zimna i bólu, często budziła się w nocy i słyszała ten nieprzerwany szept, którym zwierzę usiłowało coś powiedzieć. Ocknąwszy się w środku nocy, zauważyła z przerażeniem iskrę połyskującą tuż obok na piasku. Gwiazda spadająca z nieba... Schyliła się; było to wielkie, rozwarte oko

sajdaka — w zalanym łzami oku odbijała się wspinała, delikatna plejada gwiazd... Charlotte przeżyła moment, kiedy przestało bić serce zwierzęcia, które uratowało jej życie... Rankiem pustynia pokryła się szronem. Charlotte stała parę minut nad martwym sajdakiem. Potem z trudem zaczęła wspinać się na wydmę. Gdy znalazła się na szczycie, jej głośnie „Ach!” rozdzwoniło się w porannym powietrzu. W dole rozciągało się jezioro zaróżowione od pierwszych promieni słońca. To tam chciała dojść antylopa. Tego samego dnia wieczorem znaleziono Charlotte'ę siedzącą na brzegu.

Na ulicach Saranzy, po zapadnięciu nocy Charlotte dorzuciła wzruszający epilog do swojej historii.

— Twój dziadek — rzekła cicho — nigdy o tym nie wspominał. Nigdy... I kochał twego wuja, Siergieja, jak rodzzonego syna. Może nawet bardziej. Mężczyźnie trudno pogodzić się z takim faktem, zwłaszcza gdy chodzi o pierwsze dziecko. No i, jak wiesz, Siergiej nie jest podobny do nikogo z rodziny. Nie, nigdy o tym nie mówił...

Jej głos drżał lekko. „Kochała Fiodora — pomyślałam całkiem zwyczajnie. — Ten kraj, w którym tyle się nacierpiała, uważała za swój własny dzięki Fiodorowi. I jeszcze go kocha. Po długich latach samotności. Kocha go poprzez ten nocny step, poprzez tę nieskończoność rosyjską, kocha go...”

Miłość objawiła mi się w całej swojej bolesnej prostocie. Niewytłumaczalna. Niewyraźalna. Jak

plejada gwiazd odbijająca się w oku śmiertelnie zranionego zwierzęcia, pośrodku pustyni pokrytej lodem.

Pewien lapsus odsłonił mi przypadkowo fakt, zgoła szokujący: język francuski nie był już tym językiem, którym się dotychczas posługiwałem...

Przejęzyczyłem się pytając o coś babkę. Trafiłem na pułapkę słowną, jakich nie brak we francuszczyźnie. Na dwie bliźniacze formy *percepteur*—*précepteur* czy *décerner*—*discerner*. Perfidne duety, tak ryzykowne jak *luxe*—*luxure*, wywoływały dawniej kpiny mojej siostry i dyskretną korektę Charlotte'y...

Tym razem nie chodziło o podsunięcie mi właściwego wyrazu. Po krótkim wahaniu sam się poprawiłem. Wrażenie, znacznie większe niż chwilowe potknięcie, wywarła na mnie piorunująca świadomość: mówię w obcym języku!

Mój wielomiesięczny bunt nie minął bez konsekwencji. Nie dlatego, że teraz straciłem łatwość wypowiedzenia się po francusku. Zrywałem więź z tym językiem. Będąc dzieckiem jednoczyłem się z dźwięczną substancją babcinej mowy. Wchłaniałem ją. Nie zastanawiałem się, dlaczego to coś, co żyje wonne i kolorowe, niekiedy występuje w rodzaju męskim, brzmi twardo i zgrzytliwie jak kryształ, odpowiednio do swej nazwy: *cwietok*, a kiedy indziej występuje w rodzaju żeńskim, przybierając miękkość i ciepło kobiecego ciała: *une fleur*.

Później miałem się porównać do stonogi, która zapytana o technikę swego tańca, natychmiast zmyliła kolejność ruchów, zazwyczaj instynktowych, i poplątały jej się niezliczone odnóża.

Mój przypadek nie był aż tak beznadziejny, ale w dniu, gdy zdarzył mi się ten lapsus, kwestia techniki okazała się nieodzowna. Język francuski stał się bowiem instrumentem i, posługując się nim, mierzyłem skuteczność jego działania. Tak, był narzędziem niezależnym ode mnie i używałem go zdając sobie od czasu do czasu sprawę z niezwykłości tego faktu.

Moje odkrycie, chociaż tak zbijające z tropu, dało mi dogłębne wyczucie stylu. Ów język-narzędzie, sterowany, szlifowany, doskonalony — mówiłem sobie — jest niczym innym tylko zapisem literackim. Już w anegdotach francuskich, którymi przez cały rok bawiłem kolegów, wyczuwałem pierwszy szkic języka powieściowego. Czyż nie manipulowałem słowami, żeby dogodzić raz proletariuszom, raz estetom? W potoku słów, zalewających świat, literatura objawiała się jako ustawiczne zadziwienie. Francuski, mój „babci-ny język ojczysty”, był — co wiedziałem obecnie — ideałem języka zadziwiania.

...Tak, do dzisiaj przytrafia mi się, że podczas ożywionej rozmowy po francusku nagle przypominam sobie daleki dzień spędzony nad brzegiem ginącej w stepie rzeczki i znów ogarnia mnie zdziwienie na widok siwiejącej damy o wielkich spokojnych oczach i jej wnuka, którzy najprościej w świecie gawędzą po francusku w sercu pustej

równiny, spalonej słońcem i bardzo rosyjskiej w swoim nieskończonym osamotnieniu... Ponownie widzę tamtą scenę i, zaskoczony, że mówię po francusku, zaczynam plątać się, bełkotać... Rzecz zdumiewająca, a raczej zupełnie logiczna: zdaje mi się, że w podobnych momentach, miotając się między dwoma językami, widzę i czuję bardziej intensywnie niż kiedykolwiek.

Możliwe, że w tym samym dniu, gdy pomyliłem *précepteur* z *percepteur* i znalazłem się w milczącej strefie międzyjęzycznej, zauważyłem również urodę babki...

Sama myśl o tej jej urodzie wydawała mi się najpierw nieprawdopodobna. W tamtych czasach każda kobieta rosyjska po pięćdziesiątce była „babuszką”, istotą, której nie sposób podejrzewać o kobiecość, szczególnie zaś o urodę. A co dopiero powiedzieć: „Moja babka jest ładna”!

Charlotte jednak, mogąca wtedy mieć sześćdziesiąt cztery czy sześćdziesiąt pięć lat, była piękna. Czytała pod wierzbą na stromym piaszczystym brzegu Sumry. Gałęzie rzucały na jej suknię siateczkę z blasków i cieni. Posrebrzane włosy upięła w kok na karku. Raz i drugi spoglądała na mnie z łagodnym uśmiechem. Starąłem się dociec, co w tej twarzy, w tej bardzo prostej sukience promieniuje pięknem, którego istnienie trochę mnie żenowało.

Nie należała do kobiet „nie wyglądających na swój wiek”. Rysy jej nie odznaczały się tym wy-

zywającym pięknem, jakie mają twarze „zadbanych” pań, toczących nieprzerwaną walkę ze zmarszczkami. Nie ukrywała swego wieku. Ale proces starzenia się nie zniekształcił ani jej rysów, ani sylwetki. Patrzyłem na czysty owal jej twarzy, na mieniające się srebrem włosy, na lekko opalone ramiona i bosc stopy, zanurzone w opieszale płynącej wodzie... I z niezwykłą radością stwierdziłem, że nie ma żadnej różnicy między kwiecistą tkaniną jej sukni a cieniem, który plamiło słońce. Kontury jej postaci zacierały się niedostrzegalnie w świetlistym powietrzu, oczy jej, jak na akwareli, odbijały blask nieba; ruch jej palców, gdy odwracała kartki książki, rozsnuwał się w kołysaniu długich gałęzi wierzby... A więc to stapianie się z naturą było tajemnicą jej urody!

Tak, jej twarz, jej ciało nie kurczyło się przerażone nadchodzącą starością, ale wchłaniało słoneczny wiatr, ostre zapachy stepu, ożywczą świeżość wierzb. A jej obecność w pełni harmonizowała z tym rozległym pustkowiem. Charlotte była tam i w monotonii udręczonej skwarem równiny wszystko z sobą współbrzmiało: melodyjny szum rzeczki, cierpka woń wilgotnej gleby, przenikliwy zapach suchych traw, gra światła i cieni pod drzewami. Moment niezrównany, jedyny w jednostajnym szeregu dni, lat, czasów...

Moment, który nie przemija.

Odkrywałem piękność Charlotte’y. I, niemal równocześnie, jej samotność.

Tego dnia leżąc nad Sumrą, słuchałem, jak mó-

wi o książce, którą zabierała na nasze wyprawy. Odkąd popełniłem mój sławetny lapsus, nie mogłem oprzeć się pokusie i podczas rozmowy obserwowałem, w jaki sposób babka zawiaduje swoją francuszczyzną. Porównywałem jej język z językiem czytanych autorów, z językiem francuskich gazet, rzadko pojawiających się w naszym kraju. Znałem wszystkie właściwości języka babki, ulubione zwroty, charakterystyczny dla niej rytm, słownictwo, a nawet zdania naznaczone patyną czasu — kolorytem belle époque...

Bardziej niż te lingwistyczne konstatacje zaskoczyła mnie tym razem inna myśl. „Już od pół wieku ten język żyje w zupełnej izolacji, bardzo rzadko używany, stykający się z rzeczywistością obcą jego naturze, niczym roślina, która z uporem chce zapuścić korzenie na gołej przybrzeżnej skale...” Francuszczyzna Charlotte’y zachowała nadzwyczajny wigor, była zwięzła i czysta, miała bursztynową przejrzystość, jakiej nabywają starzejące się wina. Ten język przetrwał śnieżne syberyjskie burze, żar piasków Azji Środkowej. I ciągle jeszcze dźwięczy nad brzegiem rzeki wijącej się wśród bezmiernego stepu...

Tamtego dnia zdałem sobie także sprawę z samotności tej kobiety, z samotności w całej jej rozpaczliwej i codziennej prostocie. „Nie ma do kogo mówić — myślałem z przerażeniem. — Nie ma z kim rozmawiać po francusku...” Zrozumiałem, co znaczyło dla niej tych kilka wspólnie spędzonych tygodni. Zrozumiałem, że przedziwo słowne, język francuski, dla mnie tak naturalny, ze-

rwie się po moim wyjeździe; przez okrągły rok zastąpi je szelest kartek, cisza i język rosyjski. I wyobraziłem sobie Charlotte'ę, idącą samotnie ciemnymi uliczkami Saranzy zagrzebanej w śniegu.

Nazajutrz zobaczyłem na podwórku Charlotte'ę rozmawiającą z opojem i rozrabiaką Gawryliczem. Ławka była już pusta. Dzieci schowały się za topolami. Zaciekawieni mieszkańcy wyglądali przez okna: ta dziwaczna Francuzka nie bała się zbliżyć do potwora! Znów pomyślałem o jej osamotnieniu. Zapieкло mnie pod powiekami. „Oto jej życie. Podwórko, pijany Gawrylicz, a naprzeciw wielka czarna «izba» ze stłoczonymi w niej rodzinami...” Charlotte wróciła, trochę zasapana, ale uśmiechnięta, ze łzami radości w oczach.

— Wiesz — zawołała po rosyjsku, jak gdyby zabrakło jej czasu, by przeskoczyć z jednego języka na drugi — Gawrylicz mówił mi o wojnie, bronił Stalingradu, na tym samym froncie co twój ojciec! Często mi o tym wspomina. A teraz opowiadał o jednej bitwie nad Wołgą. Mieli zdobyć wzgórze zajęte przez Niemców. Mówi, że jeszcze nigdy nie widział takiego galimatiasu: płonące czołgi, poszarpane ciała, ziemia we krwi. Wieczorem na tym wzgórzu została ich garstka żywych. Zszedł nad rzekę, miał straszliwe pragnienie. I co zobaczył? Spokojną wodę, biały piasek, trzciny i małe rybki, które na jego widok zaraz się rozpierzchły. Jak w dzieciństwie, jak w jego wiosce...

Słuchałem i Rosja, kraj, gdzie żyła samotnie, nie wydawała mi się już wrogo nastawiona do jej

„francuskości”. Ze wzruszeniem pomyślałem, że ten olbrzym Gawrylicz, moczymorda o rozgoryczonym spojrzeniu, nie odważyłby się nikomu zwierzyć ze swych uczuć. Każdy by mu się zaśmiał w nos. Stalingrad, wojna, a tu raptem trzcina i rybki! Nikt na podwórku nie zadałby sobie fatygi, by go wysłuchać — co ciekawego mógłby ten pijak powiedzieć? Zwierzył się Charlotte’cie. Z ufnością, pewny, że ona go zrozumie. Ta Francuzka bliższa mu w owej chwili niż ci wszyscy ludzie, którzy liczyli na darmowy spektakl. Patrzył na nich posępnie, zżymając się w duchu: „Gapią się jak w cyrku...”, i nagle spostrzegł Charlotte’ę dźwigającą torbę z zakupami. Wyprostował się, pozdrowił ją, twarz mu pojaśniała. „A wiecie wy, Szarlota Norbertowna — zaczął bez wstępu — pod nogami to my mieliśmy nie ziemię, tylko posiekane mięso. Od wybuchu wojny czegoś takiego nie oglądałem. No a wieczorem, kiedy wykończyliśmy Niemców, pobiegłem nad Wołgę. I tam... jakby wam to powiedzieć...”

Rankiem, wychodząc nad Sumrę, mijaliśmy wielką czarną „izbę”. Brzęczało w niej jak w ulu. Olej wściekle syczał na patelniach, duet damsko-męski prowadził kłótnię, muzykę z kilku radioodbiorników przekrzykiwały głosy ludzi... Zerknąłem na babkę, uniosłem brwi i skrzywiłem się drwiąco. Z łatwością odgadła, co miał znaczyć mój grymas. Ale nie interesowało jej chyba czarne mrowisko.

Dopiero gdy byliśmy na stepie, odezwała się do mnie po francusku:

— Poszłam tam zimą z lekarstwem dla dzielnej Frosji, wiesz, dla tej babuszki, która pierwsza ucieka przed Gawryliczem... Panowały wtedy straszliwe mrozy. Ledwie uporałam się z drzwiami...

Ciągnęła dalej swoją historyjkę, a ja z rosnącym zdumieniem czułem, jak dźwięki, zapachy i światło, przyćmione mgłą wielkich chłodów, nasycają jej słowa... Potrząsa klamką, póki nie rozkruszy lodu na framudze, i wreszcie drzwi ustępują niechętnie, wydając przeraźliwe skrzypienie. Znajduje się wewnątrz ogromnej „izby”, przed szczerniałymi schodami, które wiodą na pierwsze piętro. Stopnie pojękują żałośnie pod jej nogami. Korytarz jest zagracony, stare szafy, kartonowe pudła ustawione wzdłuż ścian, rowery; zakurzone, zmatowiałe lustra kroją ciasną przestrzeń na fragmenty iluzorycznej perspektywy. Swąd palonego drwa miesza się z chłodnym powietrzem, które wniosła w fałdach swego płaszcza... Zobaczy ją na drugim końcu korytarza: młodą kobietę z niemowlęciem w ramionach koło okna pokrytego spiralami lodu. Nieruchoma, z lekko przechyloną głową, patrzy na płomienie skaczące za szeroko rozwartymi drzwiczkami wielkiego pieca, który zajmuje cały róg korytarza. Zimowy zmierzch, błękitny i przejrzysty, przygasa z wolna za oszronionym oknem...

Babka umilkła.

— Było to oczywiście złudzenie, sam rozumiesz... — podjęła z odrobiną wahania. — Ale ona miała taką bladą, taką delikatną twarz. Podob-

ną do kwiatów na szybach, powiedziałabym... Jak gdyby jej rysy oderwały się od tych ornamentów ze szronu. Nigdy nie widziałam tak subtelnej piękna. Tak, to była ikona malowana na lodzie...

Dłuższy czas szliśmy w milczeniu. Step wciągał nas w swój bezmiar ćwierkaniem koników polnych. Ani ten suchy dźwięk, ani upał nie mogły sprawić, bym pozbył się z płuc lodowatego powietrza wielkiej czarnej „izby”. Widziałem oszronione okno, niebieskawe iskierki kryształu, młodą kobietę z dzieckiem. Charlotte mówiła po francusku. Francuski język wszedł do „izby”, która mnie zawsze przerażała swoim życiem ponurym, ciężkim, bardzo rosyjskim. I nagle w jej głębinach zabłysło światłem jakieś okienko. Tak, mówiła po francusku. Mogłaby mówić po rosyjsku. W niczym by to nie zmieniło odtwarzanego momentu. Istnieje zatem rodzaj języka pośredniego. Język uniwersalny! Znow pomyślałem o tym zagubieniu się między dwoma językami, co odkryłem dzięki memu ówczesnemu lapsusowi, o języku „zadziwiania”...

I właśnie tego dnia po raz pierwszy przeszła mi mózg podniecająca myśl: „A gdyby tak można było wyrazić ten język na piśmie?”

Któregoś popołudnia na brzegu Sumry naszła mnie myśl o śmierci Charlotte’y. A raczej, przeciwnie, pomyślałem, że ona nigdy nie umrze, że jest to niemożliwe...

Skwar był wtedy wyjątkowo dokuczliwy. Char-

lotte zdjęła sandały i, podciągawszy do kolan sukienkę, brodziła po wodzie. Leżąc na jednej z wysepek, patrzyłem, jak posuwa się wzdłuż brzegu. Zdawało mi się ponownie, że z bardzo dużej odległości widzę i ją, i biały piasek, i step. Tak, jakbym siedział w koszu balonu. W ten sposób (o czym dowiem się znacznie później) obserwujemy miejsca i twarze, gdy nieświadomie odsuwamy je w przeszłość. Tak, patrzyłem na nią z ułudnej wyżyny, z przyszłości, ku której parły mnie wszystkie moje młode siły. Szła krokiem rozmarzonej, beztroskiej dziewczyny. Otwartą książkę zostawiła pod wierzbą. I nagle w rozbłysku światła ukazało mi się całe jej dotychczasowe życie. Seria pulsujących, błyskawicznych obrazów. Francja z początku stulecia, Syberia, pustynia i znów śnieżne przestrzenie, wojna, Saranza... Nigdy jeszcze nie miałem okazji prześledzić historii kogoś, kto żyje, od początku do końca, by sobie powiedzieć: to życie jest zamknięte. Nic już nie zaistnieje w życiu Charlotte'y, nic prócz Saranzy, prócz stepu. I prócz śmierci.

Podniosłem się i z mojej wysepki bacznie przyglądałem się kobiecie wolno idącej z prądem rzeki. Nieznana radość rozsadzała mi serce. „Nie, ona nie umrze!” — szepnąłem. Zapragnąłem dowiedzieć się natychmiast, skąd bierze się we mnie ta pewność, ufność tak niezwykła, zwłaszcza w roku naznaczonym śmiercią moich rodziców.

Ale zamiast szukać logicznego wyjaśnienia, dałem się porwać wartkiemu strumieniowi bezładnych wizji: poranek paryski w rozśłonecznionej

mgle, zapach lawendy wdzierający się z wiatrem do wagonu, krzyk kukuszek w ciepłym powietrzu wieczornym. Charlotte, patrząca na pierwszy śnieg witany w groźną noc wojenną, i Charlotte w chwili obecnej — szczupła kobieta w białej chusteczce na siwiejących włosach, beztrąsko brodząca po jasnej wodzie rzeczki w głębi niezmiernych stepów...

Te wizje-momentary wydawały mi się nietrwałe, a jednocześnie zdolne trwać wiecznie. W tajemniczy sposób upewniały mnie, że śmierć Charlotte'y jest niemożliwa. Doznałem wrażenia, że spotkanie z młodą kobietą w czarnej „izbie” przy oszronionym oknie — „z ikoną malowaną na łodzi”! — i opowieść Gawrylicza o trzcini i rybkach po wieczornej bitwie, tak, nawet te dwa rozbieżne potwierdzały, że śmierć Charlotte'y jest niemożliwa. I — co w tym wszystkim było rzeczą najcudowniejszą — nie musiałem tego tłumaczyć, wykazywać, uzasadniać. Przyglądałem się Charlotte'cie, która wyszła na brzeg i siadła na swoim ulubionym miejscu pod wierzbą. W duchu powtarzałem sobie oczywistą prawdę: „Nie, żaden z tych momentów nie przeminie”...

Kiedy wróciłem do babki, podniosła na mnie wzrok i rzekła:

— Wiesz, dziś rano przepisałam dla ciebie dwie różne wersje tłumaczenia sonetu Baudelaire'a. Przeczytam je. Posłuchaj. To cię zabawi...

Przekonany, że chodzi o jedną z ciekawostek stylistycznych — Charlotte lubiła je wybierać z lektur, często w sensie zagadek — skoncentro-

walem się, żeby błysnąć moją znajomością literatury francuskiej. Jak mogłem wówczas przewidzieć, że sonet Baudelaire'a będzie dla mnie prawdziwym wyzwoleniem?

W istotcie bowiem przez te letnie miesiące myślałem obsesyjnie o kobiecie; kobieta zawładnęła niepodzielnie moimi zmysłami. Nie miałem pojęcia, że właśnie przeżywam bolesny okres przejściowy od pierwszej — nierzadko ledwie zasmakowanej — miłości cielesnej do tych, które potem nastąpią. Owa transformacja jest często mniej wyraźna niż przejście od niewinności do pierwszego kontaktu z ciałem kobiety.

Nawet w tak zapadłej dziurze jak Saranza towarzyszyła mi kobieta — nieuchwytna, powielana w setkach egzemplarzy. Mniej rzucająca się w oczy, dyskretniejsza niż w dużych miastach, ale tym bardziej prowokująca. Ot, choćby ta dziewczyna, którą minąłem na zapyłonej, rozgrzanej słońcem uliczce. Wysoka, dobrze zbudowana, tryskająca zdrowiem; podobne okazy widuje się na prowincji. Bluzka ciasno opinała jej krągłe piersi. Minispódniczka sięgała połowy tęgich ud. W białych lakierkach na wysokich obcasach szła dość niepewnie. Modne wdzianko, makijaż, nierówne kroki — na pustej ulicy była zjawiskiem wręcz surrealistycznym. Wrażenie to potęgowało się wskutek obfitości ciała i niemal zwierzęcej zmysłowości ruchów. W ciche, skwarne popołudnie. W sennym miasteczku... Jak to sobie wyth-

maczyć? Wbrew woli obejrzałem się ukradkiem: masywne, wygładzone opalenizną łydki, uda, oba pośladki falowały przy każdym kroku. A więc w martwej Saranzie — pomyślałem — musi być jakiś pokój, jakieś łóżko, na którym wyciągnie się to ciało, by rozkładając nogi przyjąć w pochwę inne ciało. Oczywiścieść tej konstatacji wprawiała mnie w osłupienie. Jakież to było naturalne, a zarazem niewiarygodne!

Kiedy indziej ukazało mi się wieczorem w oknie pulchne, nagie ramię kobiece. Kręta uliczka, przytłoczona ciężkimi koronami nieruchomych drzew i bardzo białe pulchne, obnażone aż po plecy ramię, kolebiące się przez kilka sekund, tyle czasu, ile potrzeba na zaciągnięcie muślinowej firanki. Z tego gestu odgadłem — w sposób zaiste przedziwny — zniecierpliwienie podnieconej kobiety i zrozumiałem, w jakim celu zasłania firanką ciemne wnętrze pokoju... Nawet wyczułem pod wargami świeżą gładkość białego ramienia.

Każde z takich spotkań kończyło się dla mnie nagłym wezwaniem: musisz natychmiast uwieść te nieznajome, osiąść je, uzupełnić korowód wyśnionych ciał. Bo chybiona okazja jest klęską, niepowetowaną stratą, pustką, którą inne ciała mogły tylko częściowo wypełnić. Moje rozgorączkowanie stawało się w podobnych chwilach nie do zniesienia!

Nigdy nie odważyłem się poruszać z babką tego tematu. Nie odważyłbym się zwłaszcza powiedzieć jej o przepołowionej kobiecie z szalupy ani o nocy z pijaną partnerką. Czy Charlotte zauwa-

żyła moją rozterkę? Tak, z pewnością. Nie potrafiłaby sobie wyobrazić prostytutki podglądanej przez iluminator ani rudowłosej dziewczyny na starym promie — orientowała się jednak, jak „daleko zaszedłem” w erotycznym doświadczeniu. Podświadomie — dzięki moim pytaniom, wykrętom, udanej obojętności wobec spraw drastycznych, a nawet dzięki mojemu milczeniu — szkicowałem własny portret nowicjusza w sztuce kochania. I sam o tym nie wiedziałem, jak ktoś, kto zapomina, że gesty, które chce zataić, powtarza jego cień na ścianie.

Tak tedy, słuchając babki rozprawiającej o sonecie Baudelaire’a, sądziłem, że całkiem przypadkowo pojawia się już w pierwszej strofie kobieta.

W ciepły wieczór jesienny, gdy przymykam oczy
I wdycham twoich piersi zapachy gorące,
Widzę brzegi szczęśliwe, gdzie jarzy się słońce
I swoje monotonne blaski z nurtem toczy. ★

— Widzisz — ciągnęła babka, przeplatając francuszczyznę cytatami rosyjskimi — u Briusowa ten wers zaczyna się: „W pewien wieczór jesienny, z zamkniętymi oczyma”... i tak dalej. U Balmon-ta: „Gdy przymykając oczy w parny wieczór let-ni”... Według mnie i jeden, i drugi upraszcza Baudelaire’a. Ponieważ, sam rozumiesz, „w ciepły wieczór jesienny” to bardzo szczególny moment w sonecie, bo nagle, w pełni jesieni, niczym łaskę niebios otrzymujemy ciepły wieczór, wyjąt-

kowy, świetlny nawias między deszczami i nędzą tego życia. Obaj tłumacze zdradzili ideę Baudelaire'a: „wieczór jesienny”, „wieczór letni”, toż to płaskie, bezduszne. U autora wieczór wprowadza magię, wiesz, trochę jak łagodne dni późnej jesieni...

Rozwijała swój komentarz, zaprawiając go odrobina dyletantyzmu, którym rozmyślnie maskowała dumę ze swej rozległej wiedzy. Ale ja wsłuchiwałem się jedynie w melodię jej głosu, na przemian to francuską, to rosyjską.

Przestało mnie zadręczać ciało kobiety swoją wszechobecnością, swoją niezmierną wielokrotnością. Wielki spokój, jaki mnie ogarnął, miał w sobie przejrzystość „ciepłego jesiennego wieczoru”. I czystość niespiesznej, prawie melancholijnej kontemplacji ciała pięknej kobiety, poddającej się błogiemu zmęczeniu po spełnionym akcie miłosnym. To ciało rozłącza aurę wspomnień, zapachów, światła...

Rzeczka wzdęła się, zanim dotarła do nas burza. Oprzytomnieliśmy, gdy fale obijały się już o korzenie wierzb. Niebo zrobiło się fioletowe, czarne. Step zjeżył się tworząc oślepiające sinoblade pejzaże. Ostra kwaskowata woń przeniknęła nas wraz ze świeżością pierwszych kropel deszczu. Charlotte zwinęła serwetkę, na której jedliśmy śniadanie, i kończyła swój wykład.

— Ostatecznie jednak w wersji zamykającym całość mamy prawdziwy paradoks przekładowy. Briusow góruje tu nad Baudelaire'em. Tak, Baudelaire mówi o śpiewie marynarzy na wyspie zro-

dzonej z „zapachu twojej gorącej piersi”. A Briusow słyszy „wielojęzyczne okrzyki żeglarzy”. Wspaniale jest to, że rosyjski może się posłużyć jednym przymiotnikiem. Okrzyki w różnych językach są znacznie żywsze od „śpiewu marynarzy” i od nieco pretensjonalnego romantyzmu, trzeba przyznać... Widzisz, właśnie o tym mówiliśmy któregoś dnia: tłumacz prozy jest niewolnikiem autora, tłumacz poezji jest rywalem autora. W sonecie poza tym...

Nie zdążyła dokończyć. Potoki wody sięgnęły naszych stóp, uniosły ubrania, kilka kartek papieru, sandały babki. Nabrzmiałe deszczem niebo runęło na step. Ratowaliśmy to, co dało się jeszcze uratować. Chwyciłem moje spodnie i koszulę, które pofrunęły, ale na szczęście zaczepiły się o gałęzie wierzb; w samą porę wyłowilem sandał babki. Potem kartki — były to obie wersje przekładu. Nawałnica szybko je zmieniła w kulki papieru splamione atramentem.

Nie zdawaliśmy sobie sprawy z własnego lęku: potężny grzmot zagłuszył wszystkie myśli. Trąby wodne zamknęły nas w granicach naszych rozdygotanych ciał. Z niebywałą ostrością czuliśmy, że nasze bezbronne serca zalewa potop jednoczący niebo z ziemią.

W parę minut później zaświeciło słońce. Z wysokiego brzegu podziwialiśmy step. Zdawał się oddychać, drgał mnóstwem tęczowych iskierek. Wymieniliśmy uśmiechy i spojrzenia. Charlotte straciła białą chustkę; pociemniałe sploty mokrych włosów opadały jej na plecy. Na rzęsach

błyszczały krople deszczu. Suknia oblepiała jej ciało. „Jaka ona młoda. I jaka piękna. Mimo wszystko...” — mówił we mnie ten nie kontrolowany głos, który nas nie słucha, który nas żenuje swoją absolutną bezniuansową szczerością, ale wyraża to, co podlega cenzurze przemyślanych słów.

Zatrzymaliśmy się przed nasypem kolejowym. Z oddali nadjeżdżał długi pociąg towarowy. W tym miejscu zasapany konwój często przystawał, tarasując na krótko naszą ścieżkę. Bawiła nas ta przeszkoda, spowodowana zapewne przez zwrotnicę lub semafor. Gigantyczny mur z wagonów, pokrytych pyłem, parował w słońcu. Stękanie lokomotywy mąciło ciszę stepu. Za każdym razem walczyłem z pokusą, by nie czekając na odjazd pociągu przeleźć pod wagonami, ale Charlotte zapewniała mnie, że już słyszy gwizdek. Nieraz, jeśli przedłużało się czekanie, wdrapywaliśmy się na otwarte platformy, powszechnie wówczas używane do przewożenia towarów, i zeskakiwaliśmy po drugiej stronie torów. Taka szybka przeprawa napędzała nas radosnym podnieceniem, bo a nuż pociąg ruszy i uwiezie nas w nieznaną baśniową krainę?

Tym razem nie mogliśmy czekać. Przemoknięci do suchej nitki, musieliśmy wrócić do domu przed nocą. Wspiąłem się pierwszy. Babka uchwyciła się mojej ręki i gdy już była na stopniu, pociąg ruszył. Ja mógłbym jeszcze wyskoczyć. Ale nie Charlotte... Stanęliśmy przy klapie, owiewał nas coraz silniejszy wiatr, nasza ścieżka znikła w bezmiarze stepu.

Nie byliśmy zaniepokojeni. Przecież pociąg zatrzyma się na którejś ze stacji. Doznałem nawet wrażenia, że Charlotte jest zadowolona z niespodziewanej przygody. Spoglądała na równinę, która zmartwychwstawała po burzy. Fruwające na wietrze włosy zasłaniały jej twarz. Odgarniała je szybkim ruchem. Świeciło co prawda słońce, ale nie ustawały przelotne deszczyki. Charlotte uśmiechała się do mnie poprzez siateczkę lśniących kropel.

To, co przydarzyło mi się na rozkołysanej wśród stepu platformie, można by porównać do zachwytu dziecka, które po długiej, zmudnej obserwacji splątanych linii rysunku odnajduje w nich jakąś ukrytą postać bądź przedmiot. Dostrzega je i arabeski nabierają dla niego nowego sensu, nowego życia...

Podobnie działo się z moim wewnętrznym wizerowaniem. Oto nagle przejrzałem! A raczej całym sobą odczułem świetlistą więź między tym momentem pełnym tęczowych iskierek i momentami, jakie już kiedyś przeżyłem: odległy wieczór z babką, rzewny okrzyk kukuszek, potem ranek w Paryżu, osnuty w mojej wyobraźni słoneczną mgiełką, noc na promie z moją pierwszą dziewczyną, którą trzymałem w objęciach, kiedy wyrósł przed nami wielki parowiec, wieczorne rozmowy w dzieciństwie, w innym, zdawałoby się, życiu... Z tych połączonych z sobą momentów powstał szczególny świat, mający własny rytm, własne powietrze, własne słońce. Niemalże inna planeta, gdzie śmierć kobiety o wielkich szarych

oczach była wprost nie do pomyślenia. Gdzie ciało kobiety zapowiadałoby długi ciąg wymarzonych przeżyć. Gdzie mój język „zadziwiania” byłby dla wszystkich zrozumiały.

Ta planeta była tym samym światem, który rozprzestrzenił się z biegiem naszego wagonu. Tak, ta sama stacja, na której pociąg wreszcie znieruchomiał. Ten sam opustoszały peron, zmyty ulewą. Ci sami nieliczni przechodnie z codziennymi kłopotami. Ten sam świat, ale widziany inaczej.

Pomagając babce wysiąść, usiłowałam określić bliżej to „inaczej”. Tak, żeby zobaczyć tę inną planetę, trzeba było postępować w szczególny sposób. Ale w jaki?

— Chodź, musimy coś zjeść — przerwała Charlotte moje rozmyślenia, kierując się w stronę restauracyjki, która mieściła się w budynku stacyjnym.

Pusta sala, stoliki bez nakrycia. Usiedliśmy przy otwartym oknie. Niewielki placzyk otaczały drzewa. Na fasadach domów mieszkalnych powiewały długie czerwone wstęgi ze sloganami ku chwale Partii, Ojczyzny, Pokoju... Zasepiony kelner oznajmił nam, że burza zerwała trakcję elektryczną i restauracja jest nieczynna. Już zamierzałam wstać, kiedy Charlotte ponowiła prośbę z tą przynaglającą grzecznością, która dzięki swym niemodnym frazom — a wiem, że zapożyczała je z francuskiego — robiła zawsze wrażenie na Rosjanach. Kelner wahał się chwilę i odszedł, wyraźnie zbity z tropu.

Przyniósł danie zadziwiająco proste: ze dwanaście plasterków kiełbasy na talerzyku i wielki, cienko pokrojony ogórek kiszony. Ale, co ciekawsze, postawił przed nami butelkę wina. Nigdy nie jadłem podobnego obiadu. Sam kelner chyba zauważył, jak niezwykle jest ten zimny posiłek i jak niezwykle stanowimy parę. Uśmiechnął się i coś tam wymamrotał na temat pogody; chciał zapewne poniewczasie usprawiedliwić przyjęcie, jakie nam zgotował.

W sali nie było nikogo prócz nas. Wiatr wpadający przez okno przynosił zapach mokrych liści. Na niebie piętrzyły się chmury, szare i fiołkowe w promieniach zachodzącego słońca. Od czasu do czasu z szuraniem kół przejeżdżał po wilgotnym bruku jakiś samochód. Każdy łyk wypitego wina wzbogacał te odgłosy i barwy o nowe treści: świeża ociężałość drzew, połyskliwe szyby obmyte deszczem, czerwień haseł na murach domów, oślizły jęk kół, niebo jeszcze burzliwe. Czułem, że wszystko, co przeżywam w tej sali, odrywa się od teraźniejszości, od stacji, od nieznanego miasta, od codzienności jego bytowania...

Ciężkie listowie, czerwone plamy na fasadach, wilgotny asfalt, pisk opon, niebo szaro-fiołkowe. Obróciłem się ku babce. Już jej nie było...

I nie była to sala restauracyjna na stacji zagubionej w głębi stepów. Była to kawiarnia paryska, a za oknem wiosenny wieczór. Niebo szare i fiołkowe, jeszcze burzliwe, pisk samochodowych

kół na wilgotnym asfalcie, świeżo rozkwitłe kasztany, czerwone story restauracji po drugiej stronie placu. I ja, dwadzieścia lat później, ja, na nowo rozpoznający tamtą gamę kolorów, na nowo przeżywający tamten odnaleziony moment. Naprzeciw mnie młoda kobieta z francuskim wdziękiem podtrzymuje błąhą rozmowę. Patrząc na jej uśmiechniętą twarz, raz po raz potakuję głową. Kobieta jest mi bardzo bliska. Lubię jej głos, jej sposób myślenia. Znam jej kształtne ciało... „A gdyby tak opisać jej tamten moment sprzed dwudziestu lat, w głębi stepu, na pustej stacji?” — zastanawiam się i wiem, że tego nie zrobię.

A wtedy, dwadzieścia lat temu, Charlotte już wstaje, poprawia włosy, przegląda się w szybie owartego okna i wychodzimy. A wraz z przyjemnym smakiem cierpkiego wina na moich wargach ulatniają się słowa, których nigdy nie ośmieliłbym się wypowiedzieć. „Jeśli jest jeszcze tak piękna, pomimo siwych włosów i tylu przeżytych lat, to dlatego, że jej oczy, twarz, ciało przeniknięte są tymi momentami światła i piękna...”

Charlotte wychodzi ze stacji. Idę za nią upojony tym nie wyrażonym odkryciem. Noc zapada nad stepem. Noc, która trwa już od lat dwudziestu w Saranie mojego dzieciństwa.

Widziałem się znów z babką dziesięć lat potem, przed moim wyjazdem za granicę. Spędziliśmy razem ledwie parę godzin. Zjawiłem się w Saranie późnym wieczorem, a wczesnym rankiem wy-

ruszałem do Moskwy. Była to chłodna noc w końcu jesieni. Dla Charlotte'y była nocą wszystkich niepokojących wspomnień o wyjazdach, o pożegnaniach... Nie spaliśmy. Parzyła dla mnie herbatę; krążyłem po jej mieszkaniu, które wydawało mi się dziwnie małe i dziwnie wzruszające wskutek wiernej obecności znajomych przedmiotów.

Miałem dwadzieścia pięć lat. Byłem zachwycony podróżą. Wiedziałem, że jadę na długo. Albo raczej, że pobyt w Europie będzie dłuższy niż przewidziane dwa tygodnie. Zdawało mi się, że mój wyjazd zburzy spokój naszego drętowego imperium, że będzie się tu mówiło tylko o mojej ucieczce i że mój pierwszy gest, pierwsze słowo, wygłoszone po drugiej stronie granicy, otworzy nową epokę. Przesuwały mi się przed oczyma obce twarze, wyśnzione krajobrazy, ekscytacje spowodowane niebezpieczeństwem.

Ten mój młodzieńczy egoizm sprawił, że lekko rozbawionym tonem zwróciłem się do babki:

— Przecież i ty mogłabyś wyjechać za granicę! Do Francji, na przykład... To by ciebie nie nęciło, hę?

Nie zmieniając wyrazu twarzy spuściła wzrok. Usłyszałem melodyjne pogwizdywanie czajnika, chrzęst śnieżnych kryształków bijących w ciemną szybę.

— Wiesz — odezwała się wreszcie ze zmęczonym uśmiechem — w 1922 roku, kiedy wybrałam się na Syberię, przeszłam pieszo połowę, a może trzecią część drogi. To tak, jak stąd do Paryża.

Widzisz więc, że nie musiałabym korzystać z waszych samolotów...

Znów uśmiechnęła się i zajrzała mi w oczy. W jej żartobliwym głosie pochwyciłem jednak ton głębokiej goryczy. Zmieszałem się, wziąłem papierosa, wyszedłem na balkon.

I dopiero tam, nad lodowatą ciemnością stepu, zrozumiałem w końcu, czym była Francja dla mojej babki.

IV

I

A we Francji omal nie zapomniałem całkowicie o Francji Charlotte'y.

Dwadzieścia lat dzieliło mnie tej jesieni od czasów Saranzy. W dniu, w którym nasza radiostacja nadała ostatnią audycję po rosyjsku, zdałem sobie sprawę z tej odległości, z owych sakramentalnych „w dwadzieścia lat później”. Wieczorem, opuszczając redakcję, wyobraziłem sobie nieskończoną przestrzeń między niemieckim miastem a Rosją śpiącą pod śniegiem.

Strefa nocy, jeszcze wczoraj rozbrzmiewająca naszymi głosami, wypełniała się głuchym szumem oniemiałych fal... Cel dysydenckich i wywrotowych audycji został osiągnięty. Śnieżne imperium budziło się, otwierało dla reszty świata. Niebawem zmieni się jego ustrój, historia, granicę. Narodzi się inny kraj. Nie byliśmy już potrzebni. Zamykano radiostację. Koledzy żegnali się z sobą hałaśliwie, z przesadną serdecznością, i każdy odchodził w swoją stronę. Niektórzy chcieli podjąć nowe życie, nie ruszając się z miejsca, inni

pakowali bagaże zamierzając osiedlić się w Ameryce. Jeszcze inni, mniej realistycznie nastawieni, marzyli o powrocie do kraju, gdzie porwałaby ich burza śniegowa sprzed dwudziestu lat... Nikt nie miał złudzeń: zamykała się nie tylko radiostacja, zamykała się cała nasza epoka. Wszystko, co powiedzieliśmy i napisali, co wywalczyliśmy i obronili, wszystko, co kochaliśmy, czego lękaliśmy się i nienawidzili — należało do tej epoki. Staliśmy przed pustką, podobni do figur woskowych w muzeum osobliwości, do reliktyw zmarłego imperium.

W pociągu uwożącym mnie do Paryża starałem się określić, czym były dla mnie lata spędzone daleko od Saranzy. Wyznaniem, czyli sposobem egzystencji? Tępą koniecznością przetrwania? Życiem połowicznie przeżytym, w sumie zmarnowanym? Wymykał mi się sens tych lat. Próbowiałem więc ocenić je według tego, co w życiu mężczyzny liczy się jako pewne wartości: uwolniłem się od dojmującego uczucia wyobcowania („Teraz już znam cały świat!” — mówiłem sobie z chłopięcą dumą), kochałem kobiety...

Wspomnienia były jednak bezbarwne, ciała kobiet dziwnie drętwe. Przez mrok pamięci przebijają się nieraz z uporczywością właściwą oczom manekinów.

Nie, te lata były tylko długą podróżą; od czasu do czasu udawało mi się odnajdywać jej cel. Wymyśliłem go sobie przed wyjazdem albo po drodze, albo nawet po przyjeździe, kiedy musiałem

wytłumaczyć moją obecność tego dnia, w tym mieście, w tym, a nie w innym kraju.

Tak, podróż znikąd donikąd. Gdy zaś miejsce, do którego trafiłem, zaczynało się do mnie przyzwyczajać, wciągając mnie w przyjemną rutynę swoich dni, już je musiałem opuszczać. Ta podróż miała dwa czasy: czas przyjazdu do obcego miasta i czas wyjazdu z miasta, którego mury zaczynały dopiero ożywiać się pod moim spojrzeniem... Przed sześcioma miesiącami przybyłem do Monachium i wychodząc z dworca rzekłem sobie ze sporą dozą praktycyzmu, że trzeba poszukać hotelu, a później mieszkania położonego możliwie najbliżej nowego miejsca pracy w radiu...

W Paryżu miałem przelotne złudzenie prawdziwego powrotu — w sąsiedztwie dworca, na ulicy ledwie budzącej się ze snu, w ten zamglony poranek, zobaczyłem przez otwarte okno wnętrza mieszkania, oddychające zwykłym codziennym spokojem — dla mnie było to wnętrze tajemnicze, z zapaloną na stole lampą, ze starą komodą z ciemnego drewna, z obrazem trochę odstającym od ściany. Przeszedł mnie nagły dreszcz, tak bardzo znane i bliskie wydało mi się ciepło intymnego wnętrza. Wspiąć się na schody, zapukać do drzwi, rozpoznać czyjaś dawno nie widziana twarz, dać się poznać... Szybko pozbyłem się tego wrażenia, kładąc je na karb sentymentalnej słabostki włóczęgi...

Życie stało się raptem jałowe. Czas jakby zamarł w bezruchu. Objawiał się tylko zdzieraniem obcasów na wilgotnym asfalcie, serią odgłosów, znanych wkrótce na pamięć, które przeciągi od rana do wieczora roznosiły po hotelowych korytarzach. Okno mego pokoju wychodziło na burzową kamienicę. Tapetowana ściana sterczała jeszcze wśród gruzów. Na tym kolorowym szczątku wisiało lustro bez ramy, a w lustrze kawałek płytkego nieba. Każdego ranka, uchylając firanki, zadawałem sobie pytanie, czy i dziś zobaczę w lustrze nikłe odbicie nieba. Krótka chwila suspensu miała ten sam rytm zastygłego czasu, do którego coraz bardziej przywykałem. Przyzwyczajałem się również do myśli, że pora skończyć z takim życiem, pora zerwać kruchą więź z jesiennymi dniami, z miastem, może nawet przyzwyczajałem się do myśli o samobójstwie... I kiedy pewnego ranka usłyszałem potężny huk walącej się ściany, kiedy zza firanek ujrzałem dymiącą kurzem otchłań, myśl o tym wszystkim wydała mi się cudownym finałem gry.

Przypominam sobie parę następnych dni... Siedziałem na ławce przy bulwarze; mżyło. Trawiony gorączką, prowadziłem wewnętrzny dialog między przerażonym chłopcem i mężczyzną; dorosły, sam pełen niepokoju, usiłował pocieszyć dziecko, przemawiał z udaną beztroską. Mówił, że mogę wstać i wrócić do kafejki, wypić jeszcze jeden kieliszek wina i posiedzieć godzinkę w ciep-

le. Mogę zejść w zawiesziste ciepło metra. Mogę też przenocować w hotelu, choć nie mam już na hotel pieniędzy. A jeśli to mi się nie powiedzie, mogę wejść do apteki na rogu bulwaru, usiąść w skórzanym fotelu, nie ruszać się i milczeć, póki ludzie nie zgromadzą się wokół mnie... Wtedy szepnę: „Proszę mnie zostawić jeszcze chwilę w spokoju, w tym świetle, w tym cieple. Pójdę sobie, przyrzekam”.

Chłodne powietrze nad bulwarem zgęstniało, zaczął kropić drobny, cierpliwy deszcz. Podniosłem się z ławki. Głos dorosłego umilkł. Głowę otaczał mi kokon z gorącej waty. Z daleka wymi-
nałem przechodnia, idącego z małą dziewczynką. Bałem się, że dziewczynkę przestraszy mój widok: paliła mnie rozogniona twarz, dygotałem z zimna. Schodząc na jezdnię potknąłem się o kra-
wężnik i zamachałem ramionami niczym linosko-
czek. Omal nie wpadłem pod hamującą taksówkę. Otarłem się dłonią o drzwiczki. Kierowca za-
dał sobie trud, by opuścić szybę i bluznąć prze-
kleństwem. Widziałem jego gryms, ale słowa do-
cierały do mnie powoli jak przez watę. I nagle olśniła mnie prosta myśl: „Oto czego mi trzeba! Szoku, zderzenia z metalem, tylko znacznie moc-
niejszego. Żeby roztrzaskał mi czaszkę, gardło, piersi. Jeden wstrząs i zaraz potem nieskończona cisza”. Gwizdki policyjne rozdarły mgłę, która paliła mi twarz. Pomyślałem, całkiem bez sen-
su, że goni mnie policjant. Przyspieszyłem kro-
ku, brnąc po rozmiękłym trawniku. Dusilem się. Moje pole widzenia pokryło mnóstwo drobnych,

kanciastych płaszczyzn. Pragnąłem ukryć się w jakiejś norze, niczym zwierzę.

Natchnęła mnie ta wielka brama otwarta na zamgloną pustkę szerokiej alei, u schyłku dnia, w matowym powietrzu zdawała się płynąć między dwoma rzędami drzew. Ale natychmiast wypełniły ją ostre gwizdki. Skręciłem w wąskie przejście, pośliznąłem się na jakiejś gładkiej płycie; osłaniały mnie teraz dziwaczne szare sześciiany. Byłem zmęczony, kucnąłem za jednym z nich. Gwizdki rozlegały się jeszcze przez chwilę, w końcu ucichły. W oddali zgrzytnęła zamykana krata bramy. Na porowatym sześciennym kamieniu widniał napis: „Dzierżawa wieczysta... Nr... Rok 18...”. Nie od razu zrozumiałem, co to znaczy.

Zza drzew dobiegł mnie pojedynczy gwizd, potem rozmowa. Dwaj mężczyźni, dwaj dozorczy zbliżali się aleją ku bramie.

Wyprostowałem się powoli. Pomimo wyczerpania i depresji wywołanej początkiem choroby, uśmiechałem się chyba kącikami warg: „Szyderstwo rzeczy tego świata winno stać się ich naturą. Na tej samej zasadzie co prawo grawitacji”.

Wszystkie bramy cmentarne były już zamknięte. Okrążyłem grobowiec, za którym dopiero co siedziałem. Z łatwością otworzyłem drzwi opatrzone małymi szybkami. Wnętrze było dość przestronne. Kamienna posadzka sucha i czysta, choć zakurzona i gdzieniegdzie usłana zwiędłymi liśćmi. Nie mogłem dłużej utrzymać się na nogach. Usiadłem, potem wyciągnąłem się jak długi. W ciemności potrąciłem o jakiś drewniany przed-

miot. Obmacałem go. Był to klęcznik. Oparłem głowę na zdartym welwecie. Dziwne, tkanina zachowywała ciepło, jak gdyby ktoś tu przed chwilą klęczał...

Przez dwa kolejne dni opuszczałem moje schronienie tylko po to, aby się umyć i kupić chleb. Nie zwlekałem z powrotem, kładłem się znowu i zapadałem w gorączkowe majaczenia, przerywane jedynie gwizdkami dozorców krótko przed zamknięciem bram. Wielki portal frontowy zgrzytał we mgle, redukując mój świat do czterech poro-
wanych ścian, których mogłem dotknąć, rozrzucając na krzyż ramiona. W świetle mlecznych szybek wsłuchiwałem się w ciszę, dźwięcząca, jak mi się zdawało, pod kamiennymi płytami, na których leżałem.

Zagubiłem się w datach i dniach. Ale pamiętam to popołudnie, kiedy poczułem się lepiej i ociąża-
łym krokiem, mrużąc oczy przed słońcem, wraca-
łem... do domu. Do domu? Właśnie tak to sobie w duchu rzekłem i byłem zaskoczony. Wybuch-
nąłem śmiechem, dostałem takiego ataku kaszlu, że oglądano się za mną na ulicy. Więc ten ponad
stuletni grobowiec w odludnym zakątku cmen-
tarza — pozbawiony mogił dostatecznie sław-
nych, by je honorować! — to mój dom! Ze zdu-
mieniem uświadomiłem sobie, że tego określenia
nie używałem od dzieciństwa....

Tegoż popołudnia, gdy jesienne słońce oświe-
lało moją kryjówkę, zacząłem odczytywać in-

skrypcje na marmurowych tabliczkach zdobiących ściany. Mała kapliczka cmentarna należała do dwóch rodzin: Belval i Castelot. Lakoniczne epitafia na tabliczkach podawały skrócone dzieje ich członków.

Byłem jeszcze bardzo osłabiony. Po odczytaniu paru napisów w głowie mi huczało, osuwałem się na ziemię sapiąc z wysiłku. „Urodzony 27 września 1837 w Bordeaux. Zmarł 4 czerwca 1888 w Paryżu”. Może rozpiętość tych dat przyprawiała mnie o zawrót głowy. Z wrażliwością wizjonera przenikałem zawarty między nimi czas. „Urodzony 6 marca 1849. Powołany przez Boga 12 grudnia 1901”. Każdą z tych pauz wypełniały hałasy, postacie, zdarzenia splatające historię z literaturą. Obrazy płynęły potokiem, niemal raniąc mnie boleśnie swoją ostrością i realizmem. Słyszałem szelest długiej sukni damy wsiadającej do fiakra. Prostym gestem zgarniając suknię, przywoływała wszystkie dni przeżyte przez tłum anonimowych kobiet, które kochały, cierpiały, patrzyły w to samo niebo, oddychały tym samym powietrzem... Namacalnie wprost odczuwałem nadętą sztywność notabli w czarnych strojach: słońce, główny plac w prowincjonalnym mieście, przemówienia, emblematy republikańskie, jeszcze tak świeże... Wojny, rewolucje, wrzenie ludowe, święta utrwały się na przeciąg sekundy, wyrażane jedną postacią, dźwiękiem, głosem, piosenką, salwą, poematem, emocją — i potok czasu znów zaczynał płynąć między datą urodzin i datą śmierci. „Urodzona

26 sierpnia 1861 w Biarritz. Zmarła 11 lutego 1922 w Vincennes...”

Posuwałem się od epitafium do epitafium: „Kapitan dragonów Jej Cesarskiej Wysokości. General dywizji. Malarz Historii, attaché wojskowy: Afryka, Italia, Syria, Meksyk. Intendent Generalny. Przewodniczący Rady Państwa. Literatka. Były referendarz Senatu. Porucznik 224 pułku piechoty... Krzyż Wojenny z Palmami. Poległ za Francję...” Cienie Cesarstwa, które ongi promieniało na cztery strony świata... Napis najświeższy był najkrótszy: „Francuzka, 2 listopada 1952 – 10 maja 1969”. Szesnaście lat. Cóż tu jeszcze można napisać?

Usiadłem na posadzce, przymknąłem oczy. Wibrowały we mnie te wszystkie żywoty. Nie próbowałem tego bliżej sformułować, szepnąłem tylko:

— Odgaduję klimat ich dni i ich śmierci. I tajemnicę narodzin w Biarritz, 26 sierpnia 1861. Niepojętą osobliwość tych narodzin, właśnie w tym dniu, przed z górą stu laty. I dostrzegam delikatność twarzy młodziutkiej dziewczyny, która znikła 10 maja 1969 roku, odczuwam to jak emocję intensywnie przeżytą... Życie tych nie znanych ludzi jest mi bliskie.

Wyszedłem w środku nocy. Kamienne ogrodzenie nie było w tym miejscu wysokie. Ale połą płaszcza zaczepiłem o żelazne kolce na krawędzi muru. Niewiele brakowało, a wylądowałbym na ziemi. Oko latarni ulicznej kreśliło w ciemności niebieski znak zapytania. Zeskoczyłem na grubą

warstwę suchych liści. Ten skok trwał całe wieki, miałem wrażenie, że znalazłem się w obcym mieście. Domy o tej nocnej porze stawały się monumentami opuszczonego grodu. Powietrze pachniało wilgotnym lasem.

Ruszyłem w dół pustą aleją. Zresztą wszystkie ulice, jakimi szedłem, były spadziste, chyba po to, by mnie wciąż popychać w głąb nieprzeniknionej megapolii. Z rzadka mijały mnie samochody, uciekały stąd, pędziły wprost przed siebie. Jakiś włóczęga poruszył się na swoim legowisku, wysunął głowę zza kartonowych pudeł; oświetlił go neon przeciwległej wystawy. Był to Afrykanin, miał ciężkie spojrzenie obłąkanego, który godzi się ze swym obłądem. Powiedział coś do mnie. Schyliłem się, ale nic nie zrozumiałem. Mówił pewnie językiem swego kraju... Kartonowy schron pstrzył się od hieroglifów.

Kiedy szedłem przez most na Sekwanie, niebo zaczynało blednąć. Moje kroki przypominały teraz kroki somnambulika. Opuściło mnie radosne podniecenie rekonwalescenta. Doznawałem złudzenia, że po kolana tonę w gęstym jeszcze cieniu domów. Owijały się one wokół mnie — to zawrót głowy wykrzywiał perspektywę. Kamienice, skupione wzdłuż nabrzeży i na wyspie, były gigantyczną dekoracją filmową po wygaszeniu reflektorów. Już nie mogłem sobie przypomnieć, dlaczego opuściłem cmentarz.

Na drewnianym pomoście obróciłem się kilkakrotnie. Czyżbym istotnie słyszał, że ktoś za mną idzie? A może to łomotanie krwi w skroniach?

Echo spotężniało na stromej uliczce, która niosła mnie jak tobogan. Okręciłem się dokoła własnej osi. Zdawało mi się, że pod arkadą znika sylwetka kobiety w długim płaszczu. Przystanąłem. Zabrakło mi sił, oparłem się o mur. Świat rozpadał się, mur ustępował pod dotknięciem mojej dłoni, z białych fasad domów zaczęły skapywać okna...

Niczym za sprawą cudu pojawiła mi się przed oczyma szerniała metalowa plakietka. Nie mogłem oderwać od niej wzroku. Jak ktoś, kto bojąc się popaść w pijaństwo bądź w obłąd, chwytą się byle maksymy, której prawda, banalna i niezbita, może go zatrzymać po tej stronie rzeczy... Parokrotnie odczytałem tabliczkę wiszącą metr nad ziemią:

PRZYBÓR WODY. STYCZEŃ 1910.

...To nie wspomnienie, to życie. Nie, niczego nie odtwarzałem. Żyłem. Przeżywałem wizję pozornie bardzo ubogą. Ciepło drewnianej poręczy balkonu zawieszzonego w letnim powietrzu wieczornym, przenikliwa, ostra woń ziół, daleki, smutny gwizd lokomotywy, cichy szelest kartek książki na kolanach kobiety siedzącej wśród kwiatów. Jej siwiejące włosy. Jej głos... I szelest kartek i głos niktą nagle w szumie długich wierzbowych gałęzi — bo już jestem nad brzegiem rzeczki zagubionej w słonecznym bezmiarze stepu. Patrząc na siwowłosą kobietę, swobodnie brodzącą po wodzie, wydaje się taka młoda! Wrażenie tej jej młodości przenosi mnie na platformę wagonu, który toczy się po równinie rozmigotanej słońcem

i deszczem. Kobieta naprzeciw mnie uśmiecha się, odgarnia z czoła mokre kosmyki włosów. Jej rzęsy mieniają się tęczowo w blaskach zachodu.

PRZYBÓR WODY. STYCZEŃ 1910. Zamgloną ciszę przerywa plusk wody przy burcie płynącej łodzi... Dziewczynka z twarzą przyciśniętą do szyby wpatruje się w blade lustro zalanej ulicy. Jakże głęboko przeżywam milczący poranek w paryskim mieszkaniu na początku stulecia... A ten poranek ustępuje z kolei miejsca innemu, bo już chrzęści żwir w alei ozłacanej jesiennymi liśćmi. Trzy wytwornisie w długich jedwabnych sukniach, w szerokich kapeluszach strojnych w woalki i pióra oddalają się, zabierając z sobą ten moment, to słońce i aurę minionej epoki... I jeszcze jeden poranek: Charlotte (teraz ją rozpoznaję) na ulicach Neuilly, miasta jej lat dziecięcych, u boku mężczyzny, któremu z zaskłopotaniem i radością służy za przewodniczkę... Widzę każdy kamień bruku odbijający światło poranka, widzę każdy kołyszący się listek na drzewach; oczyma tego mężczyzny oglądam obce miasto i ulice, tak dobrze znane Charlotte'cie.

Zrozumiałem wówczas, że dzięki Atlantydzie mojej babki nauczyłem się od wczesnego dzieciństwa wyławiać tajemnicze współbrzmienie momentów pojawiających się na przestrzeni wieków. Najpierw stanowiły one jakby inne życie obok mojego życia, niewidzialne, niewyobrażalne, niewyraźne. Przypominałem wtedy stolarza, który przez cały dzień obrabia nogi krzesła czy hebluje deski i nie zauważa, że strużyny na

podłodze układają się w piękny koronkowy wzór, połyskujący żywicą. Ten ornament przyciągnie dziś promień słońca, które zajrzy przez wąskie, zawalone narzędziami okno, a jutro zajaśnieje niebieskawym refleksiem śniegu.

Właśnie to życie niewyraźne było teraz istotne. Musiałem sprawić — jeszcze nie wiedziałem jak — by się we mnie rozwinęło. Poprzez cichą pracę pamięci musiałem wyuczyć się każdej gamy każdego z momentów i zapewnić im wieczność w rutynie codziennych gestów, w zamęcie banałów. Należało żyć z przekonaniem o tej wieczności.

Wróciłem na cmentarz tuż przed zamknięciem bram. Był jasny wieczór. Siadłem na progu kapliczki i zacząłem pisać w dawno nie używanym notesie z adresami:

Moja sytuacja pozagrobowa jest idealna nie tylko dlatego, że dzięki niej odnajdę istotne życie, ale i dlatego, że je odtworzę posługując się stylem, który jeszcze wymyślę. A raczej stylem, który odtąd będzie sposobem życia. Nie będę przeżywał innego życia, będę przeżywał momenty życia odradzającego się na papierze.

Z braku papieru mój manifest miał się wkrótce urwać. Pisanie odgrywało bardzo ważną rolę w moim projekcie. W górnolotnym wyznaniu wiary twierdziłem, że wyłącznie dzieła poczęte na skraju mogiły lub spoza grobu oprą się próbie Czasu. Odwoływałem się do epilepsji jednych twórców, do astmy i korkowych ścian drugich,

do wygnania, bardziej izolującego od mogiły, do jeszcze innych dowodów... Nadęty ton mojego credo szybko opadł. Podejmie je brulion, który zamierzałem kupić nazajutrz za ostatnie pieniądze; na pierwszej stronie napiszę całkiem po prostu:

CHARLOTTE LEMONNIER. NOTY BIOGRAFICZNE.

Rankiem opuściłem na zawsze grobowiec rodziny Belvalów i Castelotów... Obudziłem się w nocy i niczym kula świetlna przecięła mi mózg myśl, nieprawdopodobna, absurdalna. Musiałem wypowiedzieć ją na głos, żeby ocenić jej niezwykłą realność:

— A jeśli Charlotte jeszcze żyje?...

Zdumiony wyobraziłem sobie, jak wchodzi na swój ukwiecony balkonik, pochyla się nad książką... Od wielu lat nie miałem żadnej wiadomości z Saranzy. Charlotte mogła tam nadal żyć jak przedtem, jak w okresie mego dzieciństwa. Przekroczyła już chyba osiemdziesiątkę, ale wiek nie dosięgał jej w mojej pamięci. Dla mnie wciąż była taka sama.

I wtedy zarysowało się to marzenie. Wywołane pewnie przez sen, który mnie zbudził: odnaleźć Charlotte'ę, sprowadzić ją do Francji.

Nierealność projektu zrodzonego w głowie włóczęgi, który leżał na posadzce grobowca, była dostatecznie ewidentna, bym to jeszcze usiłował wykazać. Na razie postanowiłem nie wdawać się w szczegóły, żyć nadzieją przechowywaną w głębi każdego dnia. Żyć tą nadzieją.

Nie mogłem ponownie zasnąć. Otuliwszy się płaszczem wyszedłem z kapliczki. Ciepła późna jesień ustąpiła przed północnym wiatrem. Patrzyłem na niskie chmury, które stopniowo szarzały. Przypomniałem sobie niewesoły żart Charlotte'y: powiedziała, że po tylu wędrówkach przez rozległe obszary Rosji nie byłoby dla niej czymś niemożliwym pójść piechotą do Francji...

Początkowo, w czasie długich miesięcy bledzenia i włóczęgi, mój szalony pomysł zakrawał na żalostną brawurę. Mogłem tylko widzieć w wyobraźni czarno ubraną kobietę, która wczesnym ciemnym rankiem zimowym wchodzi do pogranicznego miasteczka. Dół jej płaszczka jest zbryzgany błotem, wielka chusta wilgotna od mgły. Otwiera drzwi kafejki na rogu uśpionego placu, siada koło okna przy kaloryferze. Właścicielka podaje jej szklankę herbaty, kobieta patrzy przez okno na spokojny mur pruski i mówi cicho: „To Francja... Wracam do Francji. Po... po całym życiu”.

2

Wyszedłem z księgarni, wyszedłem z miasta i znalazłem się na moście łączącym oba brzegi rozświetlonej Garonny. Myślałem o stosowanym ongi w filmach dobrym, starym triku: w ciągu paru sekund pokonywano długie lata z życia bohaterów. Akcja urywała się i na czarny ekran wypełzała wiadomość, która zawsze mnie ujmo-

wała absolutną szczerością: „W dwa lata później” lub „Minęły trzy lata”. Kto teraz odważyłby się na tak niemodny chwyt?

A jednak gdy w opustoszałej księgarni prowincjonalnego miasta, ciężko dyszącego w upale, zobaczyłem na etalażu moją pierwszą książkę, doznałem podobnego wrażenia: „Minęły trzy lata”. Cmentarz, grobowiec Belvalów-Castelotów i ta książka w kolorowej okładce pod plakacikiem: „Nowe powieści francuskie”.

Przed wieczorem dotarłem do lasku na łąkach. Mógłbym tak iść — myślałem — dwa dni, może dłużej, przeczuwając za sosnowymi pagórkami wieczyste oczekiwanie oceanu. Dwa dni, dwie noce... Dzięki *Notom* czas stał się dla mnie wyjątkowo spójny. Byłem pogrążony w przeszłości Charlotte’y, ale bardziej intensywnie niż kiedykolwiek przeżywałem dzień dzisiejszy. Poprzez dawne krajobrazy nabierały szczególnego reliefu skrawki nieba między pękami sosnowych igieł i polana w blaskach zachodu, jakby rzeźbiona w bursztynie...

Rankiem, podejmując drogę (pień ściętej sosny ociekał żywicą — swoimi sokami, jak mówili tutejsi — a wczoraj tego nie zauważyłem), przypomniałem sobie, bez wyraźnego powodu, półkę w głębi księgarni: „Literatura Wschodniej Europy”. Stały tam moje poprzednie książki i — co przyprawiało mnie o megalomanię — wciśnięto je pomiędzy Lermontowa i Nabokowa. A z mojej strony chodziło tu całkiem zwyczajnie o mistyfikację literacką. Bo te książki pisane po francusku

odrzucałi wszyscy wydawcy. Byłem „zabawnym Rosjaninem, który zabrał się do pisania po francusku”! W przystępie rozpaczy wymyśliłem sobie tłumacza i wysłany rękopis przedstawiłem jako przekład z rosyjskiego. Tekst przyjęto, opublikowano i pochwalono tłumaczenie. Najpierw z goryczą, potem z uśmiechem powtarzałem sobie, że wciąż wisi nade mną klątwa francusko-rosyjska. Z tą tylko różnicą, że będąc dzieckiem musiałem ukrywać mój przeszczep francuski, obecnie zaś moja ruszczyzna była karygodna.

Wieczorem, zainstalowawszy się na noc, czytałem ostatnie stronicie *Not.* W zaznaczonym wczoraj fragmencie pisałem: „Dwuletni chłopczyk umarł w wielkiej izbie naprzeciw kamienicy, w której mieszkała Charlotte. Widzę, jak ojciec dziecka opiera o balustradę ganku podłużną skrzyneczkę, owiniętą czerwoną płachtą — małą trumienkę! Muszę natychmiast znaleźć jakieś miejsce na tej ziemi, pod tym niebem, gdzie potrafiłbym wyobrazić sobie, że chłopczyk żyje. Śmierć istoty ludzkiej, dużo młodszej ode mnie, stawia pod znakiem zapytania cały dookolny świat. Podchodzę do Charlotte’y. Dostrzega mój lęk i mówi coś bardzo prostego: — Pamiętasz, jesienią widzieliśmy wędrowne ptaki? — Tak, przeleciały nad podwórkiem i znikły. — Oczywiście, ale wciąż lecą do dalekich krajów, tylko my mamy za słabe oczy, by je zobaczyć. Podobnie dzieje się z tymi, którzy umierają...”

W półśnie słyszałem nieustanny szum gałęzi, potężniejszy niż zwykle. Jak gdyby silny wiatr nie

zacichał ani na chwilę. Rankiem zorientowałem się, że to szum oceanu. Wczoraj, zmęczony, zatrzymałem się bezwiednie na granicy lasu i piaszczystych wydm, obmywanych przez fale.

Spędziłem cały ranek na pustym wybrzeżu przyglądając się, jak lekko wzbiera przypyływ... Kiedy nastąpił odpływ, ruszyłem w drogę na bosaka po twardym wilgotnym piasku. Kierowałem się na południe. Myślałem o torebce, którą siostra i ja nazywaliśmy w dzieciństwie „torebką z Pont-Neuf”; zawierała ona kamyczki schowane w skrawkach papieru. Był tam „Fécamp”, „Verdun”, a także „Biarritz”, kojarzące się nam raczej z kwarcem niż z nieznanym miastem... Szedłem brzegiem oceanu i po dziesięciu czy dwunastu dniach odnalazłem miasto Biarritz, którego nieskończenie mała drobinka zawieruszyła się na nieskończonych stepach rosyjskich.

3

We wrześniu otrzymałem pierwsze wieści z Saranzy za pośrednictwem Alexa Bonda...

„Alex Bond” był w rzeczywistości rosyjskim biznesmenem, typowym reprezentantem generacji „nowych Rosjan”, którzy dawali się zauważać we wszystkich stolicach Zachodu. Okrawali oni swoje nazwiska na modłę amerykańską i często identyfikowali się z bohaterami powieści szpiegowskich lub z mieszkańcami kosmosu literatury science fiction lat pięćdziesiątych. Gdy pozna-

łem Alexa Bonda, alias Aleksieja Bondarczenkę, radziłem mu, żeby zamiast okaleczać własne nazwisko przetłumaczył je na francuski: Alexis Tonnelier. Bez cienia uśmiechu wymienił mi korzyści, jakie w interesach gwarantuje nazwisko krótkie i dźwięczne... Uzmysłowiłem sobie, że coraz mniej rozumiem Rosję oglądaną oczyma Bondów, Kondratów, Fedów...

Jechał do Moskwy i, wzruszony sentymentalnym charakterem mojej prośby, zgodził się zbożyć z drogi. Jechać do Saranzy, chodzić po jej ulicach, spotkać Charlotte'ę — wydawało mi się to jeszcze dziwniejsze niż odbyć podróż na inną planetę. Alex Bond wpadł tam „między dwoma pociągami”, jak mówił. I, nie mając pojęcia, kim dla mnie jest Charlotte, rozmawiał ze mną przez telefon tonem, jakim przekazujemy sobie wzajem nowinki po wakacjach.

— Ależ to zadupie, ta Saranza! Dzięki tobie poznałem głęboką Rosję, cha, cha! Wszystkie ulice kończą się w stepie. A ten step nigdzie się nie kończy... Ma się całkiem dobrze ta twoja babka, nie musisz się niepokoić. Tak, jeszcze bardzo aktywna. Nie zastałem jej w domu. Sąsiadka powiedziała, że jest na jakimś zebraniu. Mieszkańcy kamienicy założyli komitet pomocy czy coś w tym rodzaju, żeby ratować starą chatę na podwórzu, ma ze dwieście lat... I twoja babka... Nie, nie widziałem się z nią, spieszyłem się na powrotny pociąg, wieczorem musiałem za wszelką cenę być w Moskwie. Ale zostawiłem jej karteczkę... Możesz tam jechać. Teraz każdego wpuszczają. Cha,

cha, cha! Z żelaznej kurtyny zostało dziurawe sito, jak się to mówi...

Miałem jedynie papiery uchodźcy plus zezwolenie na wyjazd do „wszystkich krajów prócz ZSRR”. Nazajutrz po rozmowie z „nowym Rosjaninem” udałem się do prefektury policji, żeby rozpytać się o formalności związane z naturalizacją. Tłumilem w sobie myśl, uporczywie przychodzącą mi do głowy: „Trzeba odtąd stawić czoło niewidzialnemu biegowi czasu. W wieku Charlotte’y każdy rok, każdy miesiąc może okazać się ostatni”.

Z tego też względu nie chciałem ani pisać, ani telefonować. Przesądnie bałem się, że kilka niewłaściwych słów może udaremnić moje zamierzenia. Trzeba jak najszybciej uzyskać paszport francuski, jechać do Saranzy, przegadać parę wieczorów z Charlotte’ą i zabrać ją do Paryża. Zdawało mi się, że wszystkie te poczynania zrealizują się z błyskawiczną prostotą snu. Nagle jednak ten obraz zmaćił się i zacząłem grzęznąć w lepkiej magmie Czasu, która krępowała moje ruchy.

Pokrzepił mnie na duchu fakt, że w wymaganym dossier nie było żadnych dokumentów trudnych do zdobycia, żadnych pułapek biurokratycznych. Tylko wizyta u lekarza zostawiła mi przykre wrażenie. Badania nie trwały nawet pięciu minut i były dość powierzchowne... Stan mego zdrowia dawał się uzgodnić z narodowością francuską. Po osłuchaniu mnie lekarz powiedział, że bym schylił się nie zginając kolan i palcami rąk dotknął podłogi. Spiesznie wykonałem polecenie

i ta moja nadmierna gorliwość spowodowała, że poczułem się nieswojo. „Dziękuję, w porządku” — bąknął lekarz z zakłopotaną miną. Jak gdyby obawiał się, że z rozpędu powtórzę ukłon. Byle drobiazg w naszym zachowaniu gmatwa częstokroć najprostszą sytuację: oto dwaj mężczyźni w ciasnym gabinecie lekarskim w białym surowym świetle, jeden dotyka ziemi tuż przy nogach drugiego i nieruchomieje w tej pozycji, czekając, zdawałoby się, na aprobatę...

Już na ulicy pomyślałem o obozach, gdzie stosowano podobne testy podczas selekcjonowania więźniów. Ale ta bardziej niż przesadzona refleksja nie tłumaczyła mego złego samopoczucia.

Tłumaczyła je gorliwość, z jaką wykonałem komendę. Tę samą gorliwość wykazywałem uzupełniając dossier. Widziałem w tym wszystkim chęć przekonania kogoś o moich racjach. W kwestionariuszu napomknąłem o moim dalekim francuskim rodowodzie, chociaż nikt o to nie pytał. Tak, powoływałem się na Charlotte'ę, jak gdybym chciał z góry zapobiec wszelkim obiekcjom i rozproszyć ewentualny sceptycyzm. A teraz nie mogłem pozbyć się uczucia, że w pewnym sensie zdradziłem moją babkę.

Trzeba było czekać wiele miesięcy. Podano mi termin. Upływał w maju. I te wiosenne, jeszcze nierealne dni wypełniły się natychmiast niezwykłą jasnością, wyrywały się z kręgu miesięcy, żyły własnym rytmem, we własnym klimacie.

Nastąpiła dla mnie pora przygotowań, a zwłaszcza długich, milczących rozmów z Charlotte'ą. Idąc teraz ulicami miałem wrażenie, że oglądam je oczyma babki. Że widzę, tak jak ona widziała, pusty bulwar, gdzie poruszane wiatrem topole podawały sobie szeptem pilne wezwanie, że słyszę, tak jak ona słyszała, podzwaniający bruk na starym placu, którego prowincjonalny spokój w sercu Paryża budził tęsknotę za prostym, szczęśliwym bytowaniem.

Zrozumiałem, że w ciągu trzech lat życia we Francji ten mój projekt towarzyszył mi dyskretnie i nieprzerwanie. Po niejasnej wizji kobiety w czerni idącej pieszo do pogranicznego miasteczka moje marzenia podsuwały mi obecnie wizje bardziej wiarygodne. Widziałem siebie, jak oczekuję babki na dworcu, jak prowadzę ją do hotelu, w którym zamieszka na czas wizyty w Paryżu. Później, kiedy miałem już za sobą okres skrajnej nędzy, zacząłem przemyśliwać o bardziej komfortowym lokum niż pokój w hotelu — tam Charlotte będzie się czuła znacznie lepiej...

Te marzenia pomogły mi niewątpliwie znieść i nędzę, i upokorzenia, często bolesne, na które narażeni jesteśmy stawiając pierwsze kroki w świecie, gdzie książka — najczulszy na zranienie organ naszej istoty — jest towarem. Towarem na przetargach i wyprzedażach, produktem rozkładanym na ładach. Moje marzenia były odtrutką. A *Noty* schronieniem.

Kilkumiesięczne oczekiwanie zmieniło topografię Paryża. Jak na planach zaznaczających dzielnice różnymi kolorami — tak Paryż dzięki obecności Charlotte'y przybierał w moich oczach rozmaite barwy i odcienie. Wczesnym rankiem pewne ulice zachowywały w swej słonecznej ciszy echo jej głosu. Na tarasach kawiarni odgadywałem jej zmęczenie po spacerze. Jakiś dom, jakiś witraż osnuwał się pod jej spojrzeniem lekką patyną wspomnień.

Ta wyłoniona z marzeń topografia zostawiała sporo białych plam na kolorowej mozaice dzielnic. Podczas naszych przechadzek odruchowo omijałibyśmy zuchwalstwa architektury z lat ostatnich. Paryskie dni Charlotte'y byłyby za krótkie, nie zdążylibyśmy obłaskawić naszym spojrzeniem tych wszystkich nowoczesnych piramid, wszystkich wież ze szkła i obłąków, tkwiłyby one sztywno w dziwnym futurystycznym jutrze, które nie wносиłoby niepokoju do wiecznej teraźniejszości naszych spacerów.

Nie chciałem też pokazywać Charlotte'cie dzielnicy, w której mieszkałem. Alex Bond, kiedy mnie tu odwiedził, wykrzyknął drwiąco: „Ależ, ludzie kochani, nie jesteśmy już we Francji, jesteśmy w Afryce!” I wygłosił exposé przypominające mi wypowiedzi wielu „nowych Rosjan”. Czegóż tam nie było! Degeneracja Zachodu i bliski upadek białej Europy, inwazja nowych barbarzyńców (nie wyłączając nas, Słowian — dodawali gwoli sprawiedliwości), nowy Mahomet, który spali

wszystkie ich Beaubourgi, i nowy Czyngis-chan, który położy kres ich demokratycznym umizgom. Natchniony widokiem kolorowych, defilujących przed tarasem kawiarni, gdzie siedzieliśmy, nie przestawał perorować; apokaliptyczne przepowiednie mieszały mu się z nadzieją na odrodzenie Europy dzięki zastrzykowi młodej krwi barbarzyńców, groza powszechnej wojny etnicznej z wiarą w totalne wymieszanie się ras... Temat go pasjonował. Raz stawał po stronie konającego Zachodu, bo skórę miał białą i kulturę europejską, raz po stronie nowych Hunów. „No, mówcie sobie co chcecie, ale za dużo jest tych mieszańców!” — orzekł w końcu, zapominając, że przed chwilą im właśnie przypisywał zbawienie starego kontynentu...

Nasze wyśnione przechadzki okrężały z daleka ów galimatias intelektualny, jaki stwarzała rzeczywistość tej dzielnicy. Nie dlatego, że ci ludzie mogliby urazić wrażliwość Charlotte'y. Ona, emigrantka z krwi i kości, zawsze przebywała w środowiskach skupiających ludzi wielu narodowości, kultur, języków. Na obszarze całego imperium, od Syberii po Ukrainę, od rosyjskiej Północy po stepy poznała przedstawicieli wszystkich ras. Podczas wojny spotkała ich znowu w szpitalu, zrównanych w obliczu śmierci, w nagłej równości operowanych ciał.

Nie, nowa populacja starej paryskiej dzielnicy nie zrobiłaby na Charlotte'cie żadnego wrażenia. A nie chciałem, by tu przyszła, tylko dlatego że na ulicach nie usłyszałaby ani słowa po francusku.

Dla jednych kryła się w tym egzotyzmie obietnica nowego świata, dla drugich — klęska. Co do nas, nie szukaliśmy egzotyki ani w ludziach, ani w architekturze. Nasze wyobcowanie — myślałem — jeszcze by się przez to pogłębiło.

Paryż, który zamierzałem na nowo odkryć przed oczyma Charlotte'y, był niekompletny i nawet pod pewnymi względami iluzoryczny. Przypomniałem sobie fragment pamiętników Nabokowa; pisał on o swoim dziadku, przeżywającym ostatnie dni w łóżku, skąd mógł widzieć gałązki mimozy w świetle zachodzącego słońca. Uśmiechał się, przekonany, że jest wiosna, a on jest w Nicei. Nie podejrzewał, że umiera w Rosji, w środku zimy, i że lampa, ustawiona przez córkę za kotarą, daje mu to słodkie złudzenie...

Wiedziałem, że Charlotte, chociaż zaakceptuje moją marszrutę, zobaczy wszystko. Nie wprowadzi jej w błąd lampa ukryta za kotarą. Słyszałem jej komentarze, dowcipne i finezyjne, podkreślające agresywność jakiegoś dzieła sztuki. Zobaczy i moją dzielnicę, mimo że postaram się ją omijać. Przyjdzie tu sama, beze mnie, w poszukiwaniu domu na ulicy Ermitage, gdzie kiedyś mieszkał żołnierz Wielkiej Wojny, ten, który ofiarował jej żelazny odłamek pocisku nazywanego przez nas w dzieciństwie „Verdun”.

Wiedziałem również, że zrobię co w mojej mocy, by nie rozmawiać z nią o książkach. I że jednak będziemy o nich mówić często, nieraz do późna w nocy. Albowiem Francja, ukazująca się pośród stepów Saranzy, zawdzięcza swe narodziny książ-

kom. Tak, była krajem książkowym, na wskroś, złożonym ze słów; rzeki słów płynęły niczym strofy, w których kobiety szlochały w aleksandrynach, a mężczyźni pojedynkowali się na sirwenty. My, dzieci, odkrywaliśmy Francję poprzez jej literaturę, materię werbalną ukształtowaną w formę sonetu, cyzelowanego przez poetę. Zgodnie z naszą rodzinną mitologią we wszystkich wędrówkach babki towarzyszył jej mały tomik w zniszczonej okładce. Jako ostatnia więź z Francją. A może jako trwały instrument magii. „Ja znam taką melodię, za którą bym oddał...”, ileż to razy wśród śnieżnych pustkowi syberyjskich te wiersze budowały „zamek z cegieł” o kamiennych przyporach, z witrażami malowanymi czerwienią... Francja i literatura stanowiły dla nas jedno. A prawdziwa literatura była tą magią, której słowo, strofa, werset przenosiły nas w odwieczny moment piękna.

Miałem ochotę wyznać Charlotte'cie, że ta literatura umarła we Francji. I że wśród mnóstwa książek współczesnych, jakie pochłonałem zamknięty w mojej samotni pisarskiej, nie znalazłem ani jednej, którą mógłbym sobie wyobrazić w rękach babki siedzącej pośrodku syberyjskiej „izby”. Tak, otwarta książka, drobne lśnienie łez w oczach Charlotte'y...

Prowadząc imaginacyjne rozmowy z Charlotte'ą, byłem znów dorastającym chłopcem. Budził się mój młodzieńczy, stłumiony przez życie maksymalizm. Znów rozpoczynałem pogoń za dziełem absolutnym, unikalnym, marzyłem o książce,

która swoim pięknem przeistoczy świat. A głos babki, wyrozumiałej i uśmiechniętej, odpowiadał mi jak dawniej w Saranzie na balkonie:

— Czyżbyś zapomniał o ciasnych rosyjskich mieszkankach zawałonych książkami? Tak, książki pod łóżkiem, w kuchni, w przedpokoju, sięgające sufitu. I te książki nie do kupienia, które pożyczano sobie na jedną noc, które należało zwracać punktualnie o szóstej rano? I te inne, przepisywane w sześciu odbitkach... dostawaliście szóstą kopię maszynopisu, prawie nieczytelną, tak zwaną ślepą... Widzisz więc, że trudno porównywać... W Rosji pisarz był bogiem. Od pisarza oczekiwano i Sądu Ostatecznego, i Królestwa Niebieskiego... Czy kiedykolwiek pytał ktoś o cenę książki? Nie, bo ona nie miała ceny! Można było zrezygnować z pary butów i zimą odmrozić sobie nogi, ale kupowało się książkę...

Zawiesiła głos, jak gdyby chciała mi dać do zrozumienia, że kult książki w Rosji należy już do przeszłości.

— Ale ta książka unikalna, ta książka absolutna! Zarazem sąd i królestwo? — zawołał chłopiec, w którego się przeobraziłem.

Mój gorączkowy szept przerwał zmyśloną dyskusję. Zawstydzilem się, jakby mnie przyłapano na głośnym mówieniu do siebie. Stałem się znów tym, kim rzeczywiście byłem: człowiekiem gestykulującym pośrodku ciemnego pokoiku. Okno wychodzi na ceglany mur, nie potrzebna mu firanka ani żaluzja. Pokoik da się przemierzyć trzema krokami. Rzeczy piętrzą się tu i rozpychają:

stara maszyna do pisania, kuchenka elektryczna, krzesła, etażerka, prysznic, stół, widma ubrań rozwieszane na ścianach. A wszędzie papiery, fragmenty rękopisów, książki, które nadają zagraczonemu wnętrzu charakter konsekwentnego szaleństwa. Za szybami zapada deszczowa noc, w labiryncie zniszczonych domów płacze się arabska melodia, żalosna i zarazem wesoła. Gestykulujący człowiek ubrany jest w stary jasny płaszcz (bardzo tu zimno). Na rękach ma mitenki, nieodzowne, kiedy się pisze na maszynie w lodowatym pomieszczeniu. Mówi zwracając się do kobiety. Mówi do niej z pełnym zaufaniem, którym nie obdarza nawet własnego głosu. Pyta ją o dzieło unikalne, absolutne, bez obawy, że wyda się naiwny lub śmiesznie patetyczny. Ona mu odpowie...

Przed zaśnięciem pomyślałem, że przybywszy do Francji Charlotte będzie usiłowała pojąć, czym stała się literatura, której kilka dawnych pozycji reprezentowało dla niej na Syberii mikroskopijny archipelag francuski. Wyobrażałem sobie, że wchodząc wieczorem do mego pokoju, w którym zamieszka, zauważę na stole czy na parapecie okna otwartą książkę, ostatnią, jaką Charlotte przeczyta w czasie mojej nieobecności. Pochylę się i wzrok mój padnie na te linijki:

Był to istotnie najcieplejszy poranek tej zimy. Słońce świeciło jak w pierwszych dniach kwietnia. Szron topniał i mokra trawa lśniła niby skropiona rosą... Spędziwszy ten wyjątkowy ranek na wywoływaniu z pamięci tysiąca różnych rzeczy, z narastającą melancholią, pod

chmurnym zimowym niebem — zapomniałem o starym zagajniku i winorośli, w której cieniu zdecydował się mój los... Życ na podobieństwo tego piękna — oto czego pragnąłem. Czystość tego krajobrazu, jego przejrzystość i głębia, cudowne spotkanie z wodą — z kamieniem i światłem — oto jedyna wiedza, podstawowa moralność. Ta harmonia nie jest uludna. Jest realna i dlatego odczuwam taką potrzebę słowa...

4

Młodzi narzeczeni w przededniu zaślubin czy ludzie, którzy dopiero co zmienili mieszkanie, powinni być uszczęśliwieni, że odcięli się od codzienności. Mają chyba wrażenie, że parę świątecznych dni lub zabawny rozgardiasz po przeprowadzce będą trwać wiecznie, stając się samą substancją ich życia, lekką i pienistą.

Żyłem w podobnym upojeniu przez ostatnie tygodnie wyczekiwania. Rozstałem się z moim pokoikiem i wynająłem mieszkanie, zdając sobie sprawę, że pieniędzy starczy mi na cztery, pięć miesięcy. Tym się nie przejmowałem. Z pokoju przeznaczanego dla Charlotte'y widać było błękitnoszare dachy odbijające kwietniowe niebo. Zapożyczyłem się, by kupić meble, firanki, dywan i drobny sprzęt gospodarski, bez którego dotychczas się obywałem. Poza tym apartament był pusty, sypiałem na materacu. Jedynie przyszły pokój babki wyglądał na zamieszkały.

Im bliżej maja, tym większa stawała się moja beztroska; ogarnął mnie istny szal kupowania.

Zacząłem odwiedzać małe sklepiki ze starymi bibelotami, jakie według mnie mogły tchnąć ducha w nazbyt przeciętny pokój. U jednego z antykwariuszy znalazłem lampę stołową. Kiedy mi ją zapalił na pokaz, wyobraziłem sobie twarz Charlotte'y w świetle abażuru. Nie mogłem odejść bez lampy. Na etażerze ustawiłem stare tomiszczą ze skórzanymi grzbietami, roczniki pism ilustrowanych z początku stulecia. Na okrągłym stole, zajmującym środek tak udekorowanego pokoju, rozkładałem co wieczór nowe trofea: pół tuzina kiełiszczek, wysłużony mieszek, plik niegdysiejszych widokówek...

Powtarzałem sobie, że Charlotte nie zechce na dłużej opuścić Saranzy, zwłaszcza grobu Fiodora, i że w hotelu byłoby jej równie wygodnie jak w tym zaimprovizowanym muzeum, ale nie mogłem się już powstrzymać od gromadzenia rzeczy. Bo nawet ktoś wtajemniczony w magię pamięci, w sztukę odtwarzania minionych momentów, przywiązuje się do materialnych fetyszy przeszłości, jak prestidigitator, który nabywszy z woli Boga dar cudotwórstwa, woli zręczność swoich palców i walizę z podwójnym dnem, ponieważ mają one tę przewagę, że nie przeczą zdrowemu rozsądkowi.

A prawdziwa magia, o czym wiedziałem, przejawia się błękitnawym poblaskiem dachów, kruchością ulotnych linii za oknem, które Charlotte otworzy bardzo wczesnym rankiem, nazajutrz po przyjeździe. I muzyką francuskich słów, jakie zamieni z kimś na rogu ulicy...

Jednego z ostatnich wieczorów zaskoczyłem samego siebie na modlitwie... Nie była to, formalnie rzecz biorąc, modlitwa. Nigdy się żadnej nie nauczyłem, bo kiedy dorastałem, wpajano we mnie demaskatorski, bojowy ateizm, niemalże religijny w swej nieustrudzonej krucjacie przeciw Bogu. Nie, była to raczej nieudolna prośba dyletanta, zwrócona do nieznanego adresata. Przyłapawszy się na tym gorącym uczynku, natychmiast z siebie zakpiłem. Pomyślałem, że z uwagi na moje przeszłe życie mógłbym wykrzyknąć jak marynarz z bajki Woltera: „Cztery razy chodziłem po tym krzyżu podczas moich czterech podróży do Japonii!” Uznałem się za poganina, za bałwochwalcę. Moje kpiny nie potrafiły jednak uciszyć głosu, który szeptem odzywał się w głębi mojej duszy. Głos ten brzmiał trochę dziecinnie. Tak jakbym proponował anonimowemu rozmówcy pewien układ: będę żył jeszcze dwadzieścia czy nawet piętnaście lat, dobrze, zgoda, dziesięć, jeśli tylko urzeczywistnią się te odnalezione momenty...

Wstałem, pchnąłem drzwi do sąsiedniego pokoju. W półmroku wiosennej nocy pokój nie spał, ożywiony dyskretnym oczekiwaniem. Nawet stary wachlarz, nabyty przed dwoma dniami, zdawał się od długich lat leżeć na niskim, blado połyskującym blacie niskiego stolika.

Był to dzień szczęśliwy. Jeden z tych szarych leniwych dni zabłąkanych wśród świąt na począt-

ku maja. Rankiem umocowałem na ścianie w przedpokoju duży wieszak. Zmieściłby co najmniej dziesięć płaszczy. Toteż zadawałem sobie pytanie, czy będzie nam potrzebny w lecie.

Okno Charlotte'y było otwarte. Spomiędzy srebrzystych dachów prześwitywały tu i ówdzie wysepki wczesnej zieleni.

Dorzuciłem jeszcze parę zdań do moich *Not*, nawiązując do tego, co mi kiedyś w Saranie Charlotte opowiadała o swoim życiu w Paryżu po Wielkiej Wojnie Światowej. W okresie powojennym, który okazał się niezadługo okresem międzywojennym, czego się nikt nie spodziewał, wyczuwało się w atmosferze coś bardzo fałszywego. Jakieś sztuczne rozradowanie, chęć szybkiego zapomnienia. Dziwnie jej się to kojarzyło z hasłami ukazującymi się w gazetach w czasie wojny: „Ogrzewajcie się bez węgla!”, a obok tłumaczono, jak go można zastąpić papierem zbitym w kulki. Albo: „Gospodynie, pierzcie na zimno!” I szczyt wszystkiego: „Gospodynie, zupy bez gotowania!”... Charlotte sądziła, że po odnalezieniu na Syberii Albertyny powrócą razem do Paryża i zastaną Francję taką, jaką była przed wojną...

Dopisując te zdania mówiłem sobie, że już wkrótce będę mógł zarzucić Charlotte'ę pytaniami; uściślę wiele szczegółów, dowiem się na przykład, kim był mężczyzna we fraku na uciętej połowce jednej z naszych rodzinnych fotografii. I kim była kobieta w waciaku, której obecność w gronie wytwornych postaci z belle époque tak mnie kiedyś zdumiała.

Wychodząc z domu późnym popołudniem wjąłem ze skrzynki na listy kremową kopertę. Z nadrukiem Prefektury Policji. Zatrzymałem się na środku trotuaru. Spiesząc się, rozdarłem kopertę przy otwieraniu. Oczy rozumieją wcześniej niż umysł, zwłaszcza gdy chodzi o coś, czego umysł nie chce przyjąć do wiadomości. W tej krótkiej chwili niezdecydowania spojrzenie próbuje wedrzeć się w zwarte szeregi słów, jak gdyby mogło odmienić je, zanim myśl pochwyci ich znaczenie.

Litery rzuciły mi się w oczy, bijąc pociskami słów, strzępami zdań. W końcu ociężale wyłoniło się słowo najważniejsze, wydrukowane grubą spacjowaną czcionką, jakby wyznaczone do skandowania: ODMOWNIE. Potem, wraz z pulsowaniem krwi w skroniach, dotarły do mnie formułki uzasadnienia: „Sytuacja pańska nie upoważnia... w wyniku niedostarczenia nam...” Co najmniej kwadrans stałem bez ruchu, ze wzrokiem wlepionym w pismo. Wreszcie ruszyłem przed siebie, zapominając, dokąd zamierzałem pójść.

Jeszcze nie myślałem o Charlotte'cie. Myślałem o wizycie u lekarza, o kretyńskim skłonie aż do ziemi, o mojej żarliwości; wydawało mi się to teraz w dwójnasób chybione i upokarzające.

Dopiero wracając do domu, w pełni uświadomiłem sobie, co mnie spotkało. Powiesiłem kurtkę na wieszaku. Zza drzwi w głębi zobaczyłem pokój Charlotte'y... Więc to nie Czas (och, strzeżmy się wielkich liter!) zrujnował ostatecznie moje plany, lecz decyzja skromnego urzędnika, wy-

rażona w paru zdaniach na zadrukowanej kartce papieru. Decyzja człowieka, którego nigdy nie miałem poznać, który znał mnie wyłącznie z rubryk kwestionariusza. Do niego powinienem był kierować moje dyletanckie modlitwy...

Nazajutrz wysłałem odwołanie. „Prośbę o ponowne rozpatrzenie sprawy” — jak to określił urzędnik. Nigdy dotychczas nie napisałem listu, który byłby tak obłudny, tak idiotycznie wzniosły i jednocześnie tak błagalny.

Przestałem liczyć mijające dni. Maj, czerwiec, lipiec. Pozostawało jeszcze mieszkanie z innóstwem nagromadzonych tam drobiazgów, starych przedmiotów i emocji... a ja w tym muzeum, pozbawionym swego przeznaczenia, byłem niepotrzebnym kustoszem. Pozostawała mi nieobecność tej, na którą czekałem. Od dnia oficjalnej odmowy nie dorzuciłem do *Not* ani jednego słowa. Wiedziałem, że sama natura rękopisu zależy od spotkania z babką, od naszego spotkania — i wciąż uważałem je za możliwe.

W ciągu tych miesięcy często nawiedzał mnie pewien sen i budziłem się w środku nocy. Kobieta w długim ciemnym płaszczu wchodzi do pogranicznego miasteczka w cichy poranek zimy.

Stara to gra: wybieramy przymiotnik określający jakąś ekstremalną cechę, na przykład: *odrażający*. Po czym szukamy synonimu, który, choć znaczeniowo bliski, jest mniej dosadny; *ohydny*, jeśli chcecie. Kolejny przymiotnik musi być nie-

co słabszy. *Okropny...* I tak dalej, za każdym razem posuwamy się o stopień niżej, osłabiając pierwotną jakość: *uciążliwy, nieznośny, nieprzyjemny...* Aż w końcu docieramy tą drogą do *złego*, omijamy przymiotniki *mierny, średni, byle jaki* i znów zaczynamy piąć się w górę: *skromny, zadowolający, do przyjęcia, stosowny, przyjemny, dobry*. Po wyliczeniu tuzina następnych przymiotników otrzymamy: *wybitny, doskonały, wzniosły*.

Wiadomość, jaką dostałem z Saranzy na początku sierpnia, ulegała podobnej modyfikacji. Przekazana razem z paczuszką Alexowi Bondowi (zostawił on Charlotte'cie numer swego telefonu w Moskwie), miała już za sobą długą wędrówkę, podawana z ust do ust przez różne pośredniczące osoby. Po drodze osłabił się jej tragiczny sens, opadały emocje. I obcy głos w słuchawce powiedział mi tonem pogodnym:

— Mam dla pana drobną przesyłkę. Od... sam już nie wiem od kogo... krótko mówiąc, zmarła pańska krewna... W Rosji. Już pan o tym pewnie słyszał. Tak, przekazała pański testament, che, che...

Chciał żartobliwie powiedzieć „pański spadek”, „testament” był skutkiem pomyłki, niedbalstwa, jakie często zauważam u „nowych Rosjan”, którzy za główny środek porozumiewania się obrali język angielski.

Długo na niego czekałem w holu jednego z najlepszych hoteli paryskich. Zimna pustka zwierciadeł nad fotelami, ustawionymi po obu stronach

holu, harmonizowała z pustką mojego spojrzenia, moich myśli.

Nieznajomy wysiadł z windy, przepuszczając przed sobą wysoką, atrakcyjną blondynkę uśmiechającą się do wszystkich i do nikogo. Towarzyszył im mężczyzna o bardzo szerokich barach.

— Val Grig — przedstawił się nieznajomy i uścisnął mi rękę. — A to moja niewierna tłumaczka i mój wierny ochroniarz.

Wiedziałem, że muszę przyjąć zaproszenie do baru. Najlepszą formą podziękii za oddaną przysługę było wysłuchanie tego, co ma do powiedzenia Val Grig. Potrzebował mnie, żeby móc w pełni rozkoszować się i komfortem hotelu, i nowym statusem „międzynarodowego biznesmena”, i urodą „niewiernej tłumaczki”. Rozgadał się na temat własnych sukcesów i rosyjskiego bankructwa, chyba nie zdając sobie sprawy z komicznej zależności przyczyny od skutku. Tłumaczka, która niechybnie wysłuchiwała tych historii wiele razy, drzemała z otwartymi oczami. Ochroniarz, chcąc zapewne usprawiedliwić swoją obecność, przenikliwym wzrokiem obrzucał wchodzących i wychodzących gości. „Łatwiej by mi było — pomyślałem nagle — określić, co czuję do Marsjan niż do tych trojga”.

Pakiecik otworzyłem w wagonie metra. Wizytówka Alexa Bonda wypadła na ziemię. Załączał krótkie kondolencje i przepraszał, że nie dostarczył przesyłki osobiście (Tajwan, Kanada). Przede wszystkim jednak podawał datę śmierci Charlotte'y: 9 września ubiegłego roku!

Nie patrzyłem na nazwy mijanych stacji, oprzytomniałem dopiero na terminusie. Wrzesień zeszłego roku. Alex Bond był w Saranzie rok temu w sierpniu. W kilka tygodni później złożyłem podanie o naturalizację. Może właśnie wtedy babka umierała. I wszystkie moje zabiegi, wszystkie miesiące oczekiwania nastąpiły już po jej śmierci. Poza jej życiem. Bez żadnej możliwej więzi z tym zakończonym życiem... Paczuszkę, przechowywaną przez sąsiadkę, doręczono Bondowi wiosną. Na pakowym papierze Charlotte skreśliła parę słów: „Proszę oddać tę kopertę Aleksiejowi Bondarczence, który będzie łaskaw przekazać ją memu wnukowi”.

Wróciłem tym samym metrem. Rozrywając kopertę mówiłem sobie z bolesną ulgą, że to nie decyzja urzędnika zniszczyła ostatecznie moje plany. Ale Czas ze swoją zgryźliwą ironią. Czas, który przez swoje gierki i rozbieżności wciąż przypomina, że panuje nad nami niepodzielnie.

Koperta zawierała ze dwadzieścia kartek rękopisu, spiętych agrafką. Spodziewałem się listu pożegnalnego i zaskoczyła mnie ta objętość. Charlotte nie lubiła rozwlekłej pisaniny, mało wagi przywiązywała do namaszczonych frazesów. Nie zdecydowałem się na podjęcie lektury, przekartkowałem tylko pierwsze strony i nigdzie nie trafiłem na zdania w stylu: „Kiedy będziesz czytał te słowa, mnie już nie będzie”, a bałem się, że znajdę tu podobne zwroty.

List zresztą nie był do nikogo adresowany. Po-bieżnie przejrzałem tekst, skacząc od akapitu do

akapitu, i odniosłem wrażenie, że chodzi o jakąś historię nie mającą nic wspólnego z naszym życiem w Saranzie ani z naszą Francją-Atlantydą, ani z nieuchronnym faktem, o którym Charlotte pragnęła mnie delikatnie uprzedzić.

Po wyjściu z metra nie chciałem jeszcze wracać do domu i usiadłem na ogrodowej ławce, żeby do końca przekartkować list. Upewniłem się już, że relacja Charlotte'y, pisana jej drobnym wyraźnym pismem, wcale nas nie dotyczy. Była to historia jakiejś kobiety. Wskutek nieuwagi musiałem przeoczyć fragment wyjaśniający, jak się obie poznały. Mało mnie to jednak obchodziło. Bo dzieje tej kobiety nie różniły się od tragicznego losu wielu kobiet w epoce stalinowskiej, w epoce, która nami wstrząsała, gdy byliśmy młodzi, i której bolesna wymowa stępiła się z biegiem lat. Kobieta, córka kułaka, spędziła dzieciństwo na wygnaniu wśród moczarów zachodniej Syberii. Po wojnie, oskarżona o „propagandę antykołchozową”, znalazła się w obozie... Przebiegałem oczyma te kartki, jak stronice znanej mi na pamięć książki. Obóz, cedry ścinane przez więźniów stojących po pas w śniegu, zwykle, codzienne okrucieństwo strażników, choroby, śmierć. I miłość wymuszana siłą pod groźbą użycia broni lub dodatkowego przydziału do nieludzkiej pracy, i miłość kupowana za butelkę wódki... Dziecko, które ta kobieta wydała na świat, odbywało karę razem z nią. Takie było prawo. Dla matek z dziećmi przeznaczono w „obozie kobiecym” osobny barak. Kobieta zmarła zmiażdżona przez traktor,

na parę miesięcy przed nastaniem „odwilży” i przed amnestią. Dziecko miało wtedy dwa i pół roku.

Deszcz przegonił mnie z ławki. Ukryłem list Charlotte’y pod kurtką, puściłem się pędem do „naszego domu”. Przerwana opowieść wydała mi się bardzo typowa. Już przy pierwszych oznakach liberalizacji wszyscy Rosjanie zaczęli dobywać z głębokich schowków pamięci swoją ocen-zurowaną przeszłość. I nie pojmowali, że Historia obędzie się bez tych niezliczonych małych gułagów. Wystarcza jej ten jeden, monumentalny, uznany za klasyczny. Charlotte, wysyłając mi te świadectwa, dała się chyba — jak tylu innych — porwać upojeniu słowem nareszcie wyzwolonym. Wzruszająca bezskuteczność jej apelu sprawiła mi przykrość. Na nowo osądziłem wzdgardliwą obojętność naszych czasów. Kobieta uwięziona wraz z dzieckiem chwiała się na brzegu całkowitego zapomnienia, zatrzymywało ją tylko parę kartek rękopisu. A ona, Charlotte?

Pchnąłem drzwi. Przeciąg z głuchym kłaśnięciem zatrzasnął rozwarte okno w pokoju babki. Wszedłem tam, by je zamknąć...

Pomyślałem o jej życiu. Wiązało ono z sobą jakże różne epoki: początek wieku — okres niemalże archaiczny, nie mniej legendarny niż panowanie Napoleona — i koniec naszego wieku, koniec tysiąclecia. Wszystkie rewolucje, wojny, chybione utopie i celne terrory. Przeżywała to w cierpieniach i radościach swoich dni. I to intensywne, pulsujące życie popadnie wkrótce w niepa-

mięć. Jak maleńki gułag więźniarki i jej dziecka.

Stałem chwilę przy oknie Charlotte'y. W ciągu wielu tygodni wyobrażałem sobie spojrzenie, jakim ogarnie ona ten widok...

Wieczorem, raczej dla spokoju sumienia, zdecydowałem się przeczytać list do końca. Odnalazłem więźniarkę, okrucieństwa obozu i dziecko, które wniosło kilka pogodnych momentów w ten surowy skażony świat... Charlotte pisała, że władze udzieliły jej zezwolenia na wizytę w szpitalu, gdzie umierała kobieta...

Kartka, którą trzymałem w ręku, zmieniła się nagle w cienki, srebrzysty listek. Tak, oślepiła mnie metalicznym blaskiem, wydawała dźwięk chłodny, wysoki. Jedna z linijek rozbliły — rozżarzony drucik żarówki w ten sam sposób przecina naszą źrenicę. Charlotte w tym miejscu przeszła z rosyjskiego na francuski. Jak gdyby nie była już pewna swojej ruszczyzny. A może sądziła, że język francuski z innej epoki ułatwi mi zdobycie dystansu wobec tego, o czym mnie zaraz powiadomi.

„Ta kobieta nazywała się Maria Stiepanowna Dolina i była twoją matką. Chciała, żeby ci o tym nie mówić tak długo, jak to możliwe”.

Otworzyłem niewielką kopertę przypiętą do ostatniej stronicy. Była w niej fotografia, bez trudu ją poznałem: kobieta w czapie z opuszczonymi nausznikami, w waciaku. Na małym prostokącie z białego płótna, przyszytym koło rzędu guzików — numer. W jej ramionach dziecko okutane wełnianą chustą...

W nocy odnalazłem w pamięci pewną wizję: będąc dzieckiem uważałem, że jest ona czymś w rodzaju reminiscencji prenatalnej i że zawdzięcza ją moim przodkom francuskim, z czego byłem dumny. Widziałem w tym dowód mego francuskiego pochodzenia... Skraj lasu w słoneczny dzień jesienny, gdzieś w pobliżu wyczuwam obecność kobiety, w czystym powietrzu unoszą się nitki babiego lata... Teraz zrozumiałem, że las był w rzeczywistości niezmierną tajgą i że pełne uroku lato świętego Marcina kończyło się syberyjską zimą, trwającą dziewięć miesięcy. Babie lato, srebrzyste i zwiewne w mojej francuskiej wizji, to linie nowych drutów kolczastych, które jeszcze nie zdążyły zardzewieć. U boku matki przechadzałem się po terenie „kobiecego obozu”... Moje pierwsze wspomnienie z dzieciństwa.

Dwa dni później wyprowadziłem się z mieszkania. Właścicielka zjawiała się w przeddzień i załatwiliśmy polubownie całą sprawę: zostawiałem jej wszystkie meble i starocie zbierane przez tyle miesięcy...

Tej nocy niewiele spałem. O czwartej byłem już na nogach. Spakowałem plecak, żeby w tym samym dniu podjąć moją zwykłą marszrutę... Po raz ostatni rzuciłem okiem na pokój Charlotte'y. Swoją ciszą w szarym świetle poranka nie przypominał już muzeum. Nie wyglądał na nie zamieszkały. Po krótkim wahaniu zabrałem z parapetu okna stary tomik i wyszedłem.

Ulice były puste, zalane słońcem. W miarę jak posuwałem się naprzód, otwierały przede mną coraz to inne perspektywy.

Myślałem o *Notach*, które niosłem w plecaku. Dziś wieczorem lub jutro — mówiłem sobie — dopiszę fragment, jaki przypomniałem sobie w nocy:

Pewnego dnia, podczas ostatnich wakacji letnich w Saranzie, babka skręciła ze ścieżki wiodącej w step i weszła do zagajnika zaśmieconego powojennymi resztkami, zwanego przez mieszkańców Stalinką. Podążyłem za nią niepewnym krokiem, podobno łatwo było wpaść na minę w gąszczu Stalinki... Charlotte zatrzymała się na środku szerokiej polany i szepnęła: „Popatrz tylko!”. Zobaczyłem parę zielonych pędów sięgających nam po kolana. Wielkie, strzępiaste liście, wąsy czepiające się cienkich tyczek wbitych w ziemię. Mikroskopijne klony? Młode krzewy czarnej porzeczki? Ale dlaczego tak one cieszą Charlotte’ę? „To winorośl — odezwała się w końcu — prawdziwa. — Ach, tak...”

Nie spotęgowało to mojej ciekawości. Nie potrafiłem skojarzyć sobie tej skromnej roślinki z kultem wina w ojczyźnie babki. Przed jej sekretną plantacją w sercu Stalinki postaliśmy kilka minut...

Na wspomnienie winorośli ze Stalinki odczułem dotkliwy ból, a zarazem głęboką radość. Tej radości trochę się najpierw zawstydzilem. Charlotte umarła, na terenie zagajnika wybudowano stadion, wedle słów Alexa Bonda. Czyż mógł

istnieć bardziej namacalny dowód zniknięcia, totalnego, definitywnego? Ale radość ostatecznie zwyciężyła. Jej źródłem był moment przeżyty na polance, w powiewie stepowego wiatru, obok pogodnej milczącej kobiety, która stała przed czterema krzaczkami... pod ich liśćmi widziałem teraz młode grona...

Przerywając raz po raz marsz, oglądałem zdjęcie kobiety w waciaku. Domyślałem się już, co w jej rysach stanowi dalekie podobieństwo do osób z albumów mojej przybranej rodziny. To ten lekki uśmiech, wywoływany dzięki magicznemu zaklęciu Charlotte'y — *petite pomme!* Tak, kobieta przy drutach obozowych z pewnością wymówiła w duchu te zagadkowe sylaby... Przyjrzałem się uważnie jej oczom. „Muszę przyzwyczaić się do myśli, że ta kobieta, wówczas młodszą niż ja obecnie, jest moją matką” — pomyślałem.

Schowałem fotografię, poszedłem dalej. A kiedy myślałem o Charlotte'cie, jej obecność na sennych ulicach stała się oczywista, dyskretna i spontaniczna jak samo życie.

Brakowało mi jedynie słów, jakie mogą to wyrazić.